

ANDREA Camilleri



Wycieczka do Tindari



NOIR SUR BLANC

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

1

2

3

4

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

Od autora

Andrea Camilleri

**WYCIECZKA
DO TINDARI**

Przełożył
Krzysztof Żaboklicki

Noir sur Blanc

Warszawa 2012

Tytuł oryginału: LA GITA A TINDARI

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI

Korekta: LUCYNA DYCZKOWSKA, ELŻBIETA JAROSZUK, MACIEJ
KORBASIŃSKI

Projekt okładki: OLGIERD CHMIELEWSKI

Opracowanie graficzne serii: OLGIERD CHMIELEWSKI

Skład i łamanie: ZDZISŁAW POPŁAWSKI

Copyright © 2000 Sellerio Editore, Palermo

For the Polish edition

Copyright © 2007, Noir sur Blanc, Warszawa

Wydanie I elektroniczne

Warszawa 2012

ISBN 978-83-7392-403-1

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

Księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Zdawał sobie sprawę, że nie śpi, bo myślał logicznie, nie krążąc po absurdalnym labiryncie snu, i słyszał regularny chlupot fal, niesiony wietrzykiem wczesnego poranka. Z uporem jednak nie otwierał oczu. Wiedział, że gdy tylko to uczyni, dręczące go niezadowolenie wybuchnie i każe mu robić lub mówić głupstwa, których potem będzie żałował.

Z plaży dobiegło go czyjeś pogwizdywanie. „O tej porze — pomyślał — może to być tylko człowiek idący do pracy w Vigacie”. Znał melodię, ale nie przypominał sobie ani słów, ani tytułu piosenki. Jakie to zresztą miało znaczenie? Sam nigdy nie nauczył się gwizdać, nie pomagało nawet wsadzanie sobie palca w tyłek. „Wsadził palec w tyłek i ostro zagwizdał dobrze znany sygnał członkom miejskiej straży” — podśpiewywał tak czasem jego mediolański przyjaciel ze szkoły policyjnej, a on to zapamiętał. W podstawówce był bowiem nieszczęsną ofiarą koleżków, mistrzów w sztuce gwizdania pasterskiego, marynarskiego i góralskiego z wyszukanymi wariacjami. Koledzy! Oto przyczyna źle przespanej nocy! Wspomnienie kolegów i wiadomość, którą przeczytał w gazecie na krótko przed pójściem do łóżka: doktor Carlo Militello, nie mający jeszcze pięćdziesięciu lat, został mianowany prezesem drugiego pod względem ważności banku na wyspie. Redakcja składała najszczerze gratulacje nowo nominowanemu prezesowi, zamieszczono też jego fotografię: okulary w złotej z pewnością oprawce, garnitur od doskonałego krawca, nienaganna koszula, piękny krawat. Człowiek sukcesu, człowiek ładu, obrońca Wielkich Wartości (zarówno na giełdzie, jak i tych, które reprezentują Rodzina, Ojczyzna i Wolność). Montalbano dobrze go sobie przypominał, tego swojego koleżkę — nie ze szkoły podstawowej, tylko z 1968 roku!

„Powiesimy wrogów ludu na ich krawatach!” „Banki są tylko po to, żeby je rabować!” Carlo Militello słynął jako „Carlo Martello” — „Karol Młot”. Przezywano go tak dlatego, że, po pierwsze, przybierał pozę najwyższego wodza, a po drugie — że dla nieprzyjaciół miał słowa jak uderzenia młotem i jeszcze od nich silniejsze ciosy pięścią. Najbardziej nieprzejednany, najbardziej nieugięty — w porównaniu z nim Ho Chi Minn, na którego cześć tak chętnie wiwatowano w pochodach, wydawał się socjaldemokratycznym reformistą. „Karol Młot” zmuszał wszystkich do niepalenia papierosów, aby nie wzbogacać Państwowego Monopolu Tytoniowego, zezwalał natomiast na nieograniczoną konsumpcję napełnianych narkotykami skrętów. Utrzymywał, że towarzysz Stalin dobrze postąpił tylko w jednym momencie swojego życia: gdy zaczął rabować banki, aby zdobyć fundusze na potrzeby partii. „Państwo” było słowem, którego nienawidzili, działało na nich jak czerwona płachta na byka. Z tamtych czasów Montalbano zapamiętał przede wszystkim wiersz, w którym Pasolini brał w obronę policję atakowaną przez studentów manifestujących w Rzymie na alei Valle Giulia. Wszyscy jego towarzysze pluli na ten wiersz, on usiłował go bronić: „To przecież bardzo poetyckie”. „Karola Młota” powstrzymano w ostatniej chwili, inaczej dostałby od niego jeden z owych zabójczych razów pięścią w samą twarz. Dlaczego ten wiersz mu się wtedy spodobał? Czy dojrzał już w nim swoje przeznaczenie gliny? W każdym razie z upływem lat mógł stwierdzić, że jego towarzysze z mitycznego 1968 roku zaczynają „się zastanawiać”. W wyniku tego zastanawiania ich wściekłe zrywy najpierw złagodniały, później przekształciły się radykalnie w całkowitą dyspozycyjność. Obecnie, jeśli pominąć jednego, który od ponad dziesięciu lat z niezwykłą godnością znosił procesy i więzienie, choć ani nie popełnił, ani nie zlecił zarzucanego mu przestępstwa, oraz innego jeszcze, którego zamordowano w niejasnych okolicznościach, wszyscy doskonale się urządzili, przeskakując z lewicy na

prawicę, i znowu na lewicę, i znowu na prawicę. Byli redaktorami naczelnymi w prasie i w telewizji, wysokimi urzędnikami państwowymi, deputowanymi, senatorami. Nie udało im się zmienić społeczeństwa, wobec tego sami się zmienili. Może zresztą w ogóle nie musieli się zmieniać, bo w 1968 roku odgrywali tylko komedię w strojach i maskach rewolucjonistów. Z nominacją Karola eks-Młota Montalbano zupełnie nie mógł się pogodzić — przede wszystkim dlatego, że budziła w nim bardzo nieprzyjemną refleksję.

„A ty? Czy nie jesteś taki jak ci, których krytykujesz? Czy nie służysz temu państwu, które tak gwałtownie zwalczałeś w wieku osiemnastu lat? Czy nie zżera cię zawiść, bo płacą ci grosze, a tamci zbijają miliony?”

Stuknęła poruszona wiatrem okiennica. Nie, nie będzie zamykał okiennic, nawet gdyby sam Pan Bóg mu to kazał. Co za nudziarz z tego Fazia!

„Panie komisarzu, proszę wybaczyć, ale naprawdę szuka pan guza. Nie dość, że mieszka pan na uboczu w parterowym domku, to jeszcze zostawia pan w nocy otwarte okna! Ktoś, kto źle panu życzy... a takich nie brak... mógłby tu wejść, kiedy tylko by zechciał!”

Zanudzała go również Livia:

„Nie, Salvo, w nocy nie trzymaj otwartego okna!”

„A ty w Boccadasse nie śpisz może przy otwartym oknie?”

„To zupełnie co innego. Mieszkam przecież na trzecim piętrze, a poza tym w Boccadasse nie ma tyłu złodziei co tutaj”.

Jednak pewnej nocy Livia zadzwoniła do niego wzburzona, mówiąc, że kiedy wyszła do miasta, okradziono jej mieszkanie. Podziękował wtedy w duchu genueńskim złodziejom i nawet okazał zatroskanie, choć chyba w niedostatecznym stopniu.

Zaczął dzwonić telefon.

W pierwszej chwili Montalbano jeszcze mocniej zamknął oczy, ale na nic

się to zdało. Powinien był zatkać sobie uszy, wołał jednak wsunąć głowę pod poduszkę. Znowu bez skutku: dzwonienie dochodziło z daleka, słabo, ale nie ustawało. Klnąc, wstał z łóżka, przeszedł do drugiego pokoju, podniósł słuchawkę.

— Montalbano. Powinienem zapytać „kto mówi?”, ale nie zapytam. Nie jestem gotów.

Po drugiej stronie długo nikt się nie odzywał, potem rozległ się dźwięk odkładanej słuchawki.

A teraz, po tej dowcipnej wypowiedzi, co ma zrobić? Wrócić do łóżka i rozmyślać dalej o nowo mianowanym prezesie Interbanku, który kiedy był jeszcze towarzyszem „Młotem”, wysrał się publicznie na tacę pełną banknotów? Czy włożyć kąpielówki i popływać sobie w lodowatej wodzie? Wybrał to drugie rozwiązanie w nadziei, że kąpiel pomoże mu się uspokoić. Wszedł do morza i stanął na wpół sparaliżowany. Kiedy wreszcie zrozumie, że teraz, gdy ma prawie pięćdziesiątkę na karku, już na to nie pora? Na pewne rzeczy nie może już sobie pozwolić. Zasmucony skierował się ku domowi i z odległości około dziesięciu metrów usłyszał dzwonek telefonu. Trudno, trzeba pogodzić się z sytuacją. Na początek należy odpowiedzieć na telefon.

To był Fazio.

— Wytłumacz mi coś. Czy to ty dzwoniłeś do mnie przed kwadransem?

— Nie, panie komisarzu. To Catarella. Powiedział mi, że usłyszał od pana, że nie jest pan gotów. Oczekałem więc trochę i zadzwoniłem sam. Teraz jest pan gotów?

— Fazio, aleś ty dowcipny od samego rana! Jesteś sam w biurze?

— Nie, panie komisarzu. Zabili kogoś. Ciach!

— Co znaczy „ciach”?

— Że go zastrzelili.

— Nie. Pistolet robi „bum”, dubeltówka — „puk”, pistolet maszynowy — „tratata”, cios nożem — „ciach”.

— To było „bum”, panie komisarzu. Tylko jeden strzał, prosto w twarz.

— Gdzie jesteś?

— Na miejscu zbrodni; czy tak się mówi? Ulica Cavoura czterdzieści cztery. Wie pan, gdzie to jest?

— Wiem. Zastrzelili go w domu?

— Właśnie tam wracał. Zdążył jeszcze włożyć klucz do zamka w bramie. Leży na chodniku.

Czy można powiedzieć, że morderstwo zdarza się we właściwej chwili? Nie, nigdy — śmierć to przecież zawsze śmierć. Nie ulega jednak wątpliwości, że Montalbano, jadąc samochodem na ulicę Cavoura, czuł wyraźnie, iż poprawia mu się humor. Zagłębi się w śledztwo, pomoże mu to zapomnieć o mrocznych myślach, z którymi się obudził.

Po przybyciu na miejsce musiał utorować sobie drogę w tłumie. Choć dopiero niedawno zaczęło świtać, ciżba wzburzonych mężczyzn i kobiet zleciała się na ulicę jak muchy do łąjnia. Nie brakowało dziewczyny z dzieckiem na ręku, przyglądającym się tej scenie szeroko otwartymi oczyma. Metody wychowawcze młodej matki zdenerwowały komisarza.

— Wynocha wszyscy! — wrzasnął.

Kilka osób odeszło natychmiast, inne odepchnął Galluzzo. Słysząc było zawodzenie, rodzaj skowytu. Wydawała go pięćdziesięcioletnia kobieta w czerni, przytrzymywana siłą przez dwóch mężczyzn. Próbowwała rzucić się na trupa leżącego do góry brzuchem na chodniku, z twarzą nie do rozpoznania,

zmasakrowaną strzałem wymierzonym między oczy.

— Zabierzcie stąd tę kobietę.

— Panie komisarzu, to jego matka.

— Niech idzie płakać do domu, tutaj tylko przeszkadza. Kto ją zawiadomił? Usłyszała strzał i zeszła z piętra?

— Nie, panie komisarzu. Ta pani nie mogła usłyszeć strzału, bo mieszka gdzie indziej, na ulicy Autonomii Sycylijskiej dwanaście. Widocznie ktoś ją zawiadomił.

— A ona czekała tam gotowa, już w żałobie?

— To wdowa, panie komisarzu.

— No dobrze, odprowadźcie ją, ale grzecznie.

Kiedy Montalbano tak mówił, nie trzeba było się sprzeciwiać. Fazio podszedł do obu mężczyzn, trochę z nimi poszeptał. Odciągnęli kobietę.

Komisarz stanął obok doktora Pasquano, siedzącego w kucki przy głowie zabitego.

— No i co? — spytał.

— No i pstro — odpowiedział lekarz. I ciągnął dalej, jeszcze bardziej nieuprzejmy od Montalbana: — Mam to panu tłumaczyć? Strzelili tylko raz, dokładnie w sam środek czoła. Wylatując z tyłu, kula zniszczyła pół czaszki. Widzi pan te grudki? To kawałki mózgu. Wystarczy panu?

— Kiedy to się pańskim zdaniem wydarzyło?

— Kilka godzin temu. Około czwartej, piątej.

W niewielkiej odległości od zwłok Vanni Arqua oglądał najzwyklejszy w świecie kamień okiem archeologa, który odkrył przedmiot z epoki paleolitu. Montalbano nie lubił nowego szefa sądówki, ten zaś jego antypatię szczerze odwzajemniał.

— To tym go zabito? — spytał komisarz niewinnie, wskazując na kamień.

Vanni Arqua spojrział nań z wyraźną pogardą.

— Głupstwa pan opowiada! Został zastrzelony.

— Znaleźliście kulę?

— Tak. Wbiła się w drewno zamkniętej jeszcze bramy.

— A łuska?

— Komisarzu, nie muszę odpowiadać na pańskie pytania. Zgodnie z rozkazem kwestora śledztwo poprowadzi szef ostrego pogotowia. Pan ma tylko wspomagać.

— A co ja robię? Czy nie wspomagam pana z anielską cierpliwością?

Wiceprokurator Tommaseo jeszcze się nie pokazał; nie można więc było ruszyć trupa z miejsca.

— Fazio, dlaczego nie ma tu komisarza Augello?

— Już jedzie. Nocował u znajomych w Feli. Zadzwoniliśmy do niego na komórkę.

„W Feli? Do Vigaty dojedzie za godzinę. No i w jakim stanie! Zaspany, wymęczony do cna. Jacy tam znajomi! Na pewno spędził noc z jakąś panią, której rogaty mąż dokądś wyjechał”.

Podszedł Galluzzo.

— Zadzwoił właśnie wiceprokurator Tommaseo. Prosi, żebyśmy po niego przyjechali. Uderzył w słup trzy kilometry za Montelusą. Co robimy?

— Jedź po niego.

Nieczęsto się zdarzało, aby Nicolñ Tommaseo gdzieś dotarł swoim samochodem. Prowadził jak naćpany pies. Komisarz nie miał ochoty na niego czekać. Zanim odszedł, przyjrzał się zabitemu.

Młody chłopak, niewiele ponad dwadzieścia lat. Dżinsy, kurtka, włosy w

kucyk, kolczyk w uchu. Buty musiały kosztować majątek.

— Fazio, idę do biura. Poczekaj tu na wiceprokuratora i szefa ostrego pogotowia. Do zobaczenia.

Postanowił pójść do portu. Samochód zostawił na nabrzeżu i powlókł się noga za nogą po wschodniej stronie

w kierunku latarni morskiej. Słońce wzeszło czerwonawe, zadowolone chyba, że znowu mu się udało. Na linii horyzontu trzy czarne punkty — powracające spóźnione kutry. Otworzył szeroko usta i głęboko odetchnął. Lubił smrodliwy zapach portu w Vigacie.

„Co ty opowiadasz? Wszystkie porty śmierdzą tak samo” — powiedziała mu kiedyś Livia.

To nieprawda, każdy port ma swój zapach. W przypadku Vigaty było to doskonale wyważone połączenie odoru mokrego olinowania, wysuszonych słońcem sieci, jodu, zepsutych ryb, świeżych i zgniłych wodorostów, smoły plus ledwo wyczuwalny zapaszek ropy naftowej. Coś nieporównywalnego .

Zanim doszedł do płaskiej skały pod latarnią morską, schylił się i zebrał garść kamyków.

Wszedł na skałę, usiadł. Spojrzał w wodę i odniósł wrażenie, że rysuje się na niej niewyraźnie twarz „Karola Młota”. Z rozmachem cisnął w nią garścią kamyków. Obraz popękał, zadrżał i zniknął.

Montalbano zapalił papierosa.

— Panie komisarzu, panie komisarzu! — zawołał Catarella, zaledwie go zobaczył w drzwiach komisariatu. — Trzy razy telefonił pan Lattes! Chce rozmawiać z panem osobiście we własnej osobie! Mówi, że to strasznie, okropnie pilne!

Domyślał się, co ma mu do powiedzenia Lattes, szef gabinetu kwestora,

znany ze swojego przymilnego, księżowskiego sposobu bycia.

Kwestor Luca Bonetti–Alderighi, z markizów Villabella, postawił sprawę jasno i twardo. Montalbano nigdy nie patrzył mu w oczy, kierując wzrok nieco wyżej, bo urzekła go czupryna przełożonego: nadzwyczaj bujna, z grubym, zadartym w górę kędziorem, przypominająca ludzkie kupy, które widzi się czasem w polu. Tamtego razu kwestor — zauważywszy, że komisarz nie patrzy mu prosto w oczy — pomylił się, sądząc, iż udało mu się wreszcie go onieśmielić.

„Komisarzu, mówię to panu raz na zawsze w związku z przybyciem nowego szefa ostrego pogotowia, komisarza Ernesta Gribaudo. Pańska rola będzie polegała na wspomaganium. W swoim komisariacie będzie się pan zajmował wyłącznie błahymi sprawami, sprawy poważne zostawi pan ostremu pogotowiu w osobach pana Gribaudo i jego zastępcy”.

Legendarny Ernesto Gribaudo. Pewnego razu, po oględzinach klatki piersiowej człowieka zastrzelonego serią z pistoletu maszynowego, zawyrokował, że zgon nastąpił wskutek dwunastu uderzeń nożem, zadanych jedno po drugim.

„Proszę wybaczyć, panie kwestorze, czy zechciałby pan podać mi jakieś praktyczne przykłady?”

Luca Bonetti–Alderighi poczuł dumę i zadowolenie. Montalbano stoi przed nim po przeciwnej stronie biurka, lekko pochylony do przodu, z pokornym uśmiechem na ustach, mówiąc błagalnym niemal głosem. Trzymał teraz komisarza w garści.

„Proszę jaśniej. Nie rozumiem, o jakie przykłady panu chodzi”.

„Chciałbym się dowiedzieć, jakie sprawy mam uważać za błahe, a jakie za poważne”.

Montalbano mógł chyba sobie pogratulować. Imitacja nieśmiertelnego

Fantozziego w wykonaniu Paola Villaggio wyśmienicie mu się udawała.

„Cóż za pytanie, komisarzu! Sprawy błahe to drobne kradzieże, kłótnie, handel narkotykami na niewielką skalę, bójki, kontrola cudzoziemców spoza Unii. Zabójstwo nie — to sprawa poważna”.

„Czy mogę to zanotować?” — spytał Montalbano, wyjmując z kieszeni kartkę papieru i długopis.

Kwestor spojrział na niego ze zdumieniem. Komisarz trochę się przestraszył: może posunął się w kpinach zbyt daleko i przełożony to zauważył.

Jednak nie. Kwestor wykrzywił pogardliwie usta.

„Proszę bardzo”.

Teraz Lattes powtórzy mu kategoryczny rozkaz kwestora. Zabójstwem nie wolno mu się zajmować, to sprawa w kompetencji ostrego pogotowia. Wybrał numer szefa gabinetu kwestora.

— Najdroższy pan Montalbano! Co u pana słycać? Co słycać? Jak rodzina?

Co za rodzina? Rodzice zmarli, on nie jest nawet żonaty.

— Wszyscy w dobrym zdrowiu, dziękuję, panie dyrektorze. A u pana?

— Wszystko w porządku, dzięki Matce Bożej. Panie komisarzu, w związku z morderstwem popełnionym dzisiejszej nocy w Vigacie pan kwestor...

— Wiem już, panie dyrektorze. Mam nie zajmować się tą sprawą.

— Ależ nie! Ależ skąd! Rozmawiam z panem właśnie dlatego, że pan kwestor pragnie, aby pan się nią zajął.

Montalbana aż zatkało. Co to ma znaczyć?

Nie znał nawet danych personalnych zastrzelonego. Czyżby przypadkiem

odkryto, że był synem ważnej osobistości? Czyżby chciano go wkopać w jakąś gigantyczną aferę? Miał dla nich wyciągać z ognia nie kartofle, ale rozżarzone węgle?

— Pan wybaczy, panie dyrektorze. Udałem się na miejsce, ale nie zacząłem śledztwa. Pan mnie rozumie, nie chciałem przekraczać swoich kompetencji.

— Rozumiem pana doskonale, panie komisarzu. Dzięki Matce Bożej, w naszej kwesturze są tylko ludzie obdarzeni wielką delikatnością.

— Dlaczego nie zajmie się tą sprawą pan Gribaudo?

— To nic pan nie wie?

— Zupełnie nic.

— No więc pan Gribaudo musiał w zeszłym tygodniu pojechać do Bejrutu na ważną konferencję, poświęconą...

— Wiem. Zatrzymano go w Bejrucie?

— Nie, wrócił, ale zaraz potem rozchorował się na ostrą biegunkę. Obawialiśmy się, że może to być jakaś odmiana cholery; jak wiadomo, w tamtych stronach cholera występuje dość często. Ale nie, dzięki Matce Bożej.

Również Montalbano podziękował Matce Bożej za nieustające przytrzymywanie Gribauda w odległości nie większej niż pół metra od ustępu.

— No, a jego zastępca, Foti?

— Był w Nowym Jorku na zjeździe zorganizowanym przez Rudolpha Giulianiego, wie pan, tego burmistrza od „zerowej tolerancji”. Zjazd poświęcony był najbardziej skutecznym metodom utrzymania porządku w wielkiej metropolii...

— Przecież skończył się dwa dni temu...

— Oczywiście, oczywiście. Ale, widzi pan, komisarz Foti przed odlotem

do Włoch poszedł na spacer po Nowym Jorku. Żeby odebrać mu portfel, postrzelono go w nogę. Leży w szpitalu. Dzięki Matce Bożej, nic naprawdę poważnego.

Fazio zjawił się dopiero po dziesiątej.

— Dlaczego tak późno?

— Panie komisarzu, żeby pan wiedział! Najpierw musieliśmy czekać na zastępcę wiceprokuratora...

— Chwileczkę, wytłumacz się jaśniej.

Fazio podniósł oczy ku niebu. Opowiadając tę historię, miał ponownie przeżyć całe zdenerwowanie, jakiego doświadczył.

— No więc tak... Galluzzo pojechał po wiceprokuratora Tommaseo, który walnął samochodem w drzewo...

— Przecież to miał być słup.

— Nie, panie komisarzu, jemu się tylko wydało, że to słup, ale to było drzewo. Krótko mówiąc, rozbił sobie czoło, zakrwawił się. Galluzzo zawiózł go więc na pogotowie do Montelusy. Tam Tommasea rozboleła głowa, więc zadzwonił, żeby ktoś go zastąpił. Ale było za wcześnie, w urzędzie nikt nie odpowiadał. Więc Tommaseo zadzwonił do swojego kolegi, pana Nicotry, do domu. No i musieliśmy czekać, aż pan Nicotra się rozbudzi, ubierze, wypije kawę, wsiądzie do samochodu i przyjedzie. Tymczasem nie było widać ani komisarza Gribauda, ani jego zastępcy. W końcu przyjechała karetka i zabrała ciało, a ja czekałem jeszcze z dziesięć minut na tych z ostrego pogotowia. Nikt się nie zjawił, więc sobie poszedłem. Jeśli jestem panu Gribaudo potrzebny, znajdzie mnie tutaj.

— Czego się dowiedziałeś o tym morderstwie?

— Za przeproszeniem, panie komisarzu, a co mnie ono obchodzi? Mają się

nim zająć ci z ostrego pogotowia.

— Gribaudo nie przyjdzie, siedzi w wychodku i bez przerwy sra; Fotiego postrzelili w Nowym Jorku. Dzwonił do mnie Lattes. My mamy zająć się tą sprawą.

Fazio usiadł, z oczu tryskało mu zadowolenie. Wyciągnął zaraz z kieszeni zapisaną maczkiem kartkę. Zaczął czytać:

— Sanfilippo Emanuele zwany Nenč, syn zmarłego Gerlanda i Nataliny z domu Patñ...

— Wystarczy — powiedział Montalbano.

Irytował go ten, jak go nazywał, „syndrom księgi stanu cywilnego”, na który cierpiał Fazio. Jeszcze bardziej drażnił go ton głosu Fazio, wyliczającego daty urodzenia, stopnie pokrewieństwa, związki małżeńskie.

Podwładny zrozumiał natychmiast.

— Przepraszam, panie komisarzu.

Nie schował jednak kartki z powrotem do kieszeni.

— Przyda mi się, żebym lepiej zapamiętał — usprawiedliwił się.

— Ile lat miał ten Sanfilippo?

— Dwadzieścia trzy i trzy miesiące.

— Narkoman? Handlował narkotykami?

— Nie wygląda na to.

— Miał pracę?

— Nie.

— Mieszkał na ulicy Cavoura?

— Tak jest. Mieszkanie na trzecim piętrze: salonik, dwa pokoje, łazienka i kuchnia. Mieszkał sam.

— Mieszkanie własnościowe czy wynajęte?

— Wynajęte. Osiemset tysięcy lirów miesięcznie.

— Pieniądze dawała mu matka?

— Matka? Panie komisarzu, to biedota, ma pięćset tysięcy emerytury. Moim zdaniem było tak: dziś rano, koło czwartej, Nenč Sanfilippo parkuje samochód dokładnie naprzeciw bramy, przechodzi przez ulicę i...

— Jaki to samochód?

— Fiat punto. Ale w garażu miał drugi — duetto. Rozumie pan?

— Chłopak bez pracy?

— Dokładnie. A co miał w domu! Same najnowsze modele : telewizor — na dachu antena satelitarna — komputer, magnetowid, kamera telewizyjna, faks, lodówka... Wszystkiego nie zdążyłem obejrzeć. Są tam wideokasety, dyskietki i płyty CD-ROM do komputera... Trzeba by wszystko przejrzeć.

— Mimě się odezwał?

Podniecony swoim wywoдем Fazio stracił orientację.

— Kto taki? A, tak. Komisarz Augello? Zjawił się tuż przed przybyciem zastępcy wiceprokuratora. Popatrzył i poszedł sobie.

— Wiesz dokąd?

— Nie mam pojęcia. Wracając do tego, o czym mówiłem wcześniej: Nenč Sanfilippo wsadza klucz do zamka, w tej samej chwili ktoś go woła.

— Skąd to wiesz?

— Bo strzelili mu prosto w twarz, panie komisarzu. Słyszając głos, Sanfilippo odwraca się i robi kilka kroków w kierunku osoby, która go zawołała. Myśli, że rozmowa będzie krótka, bo zostawia klucz w zamku, nie wkłada go z powrotem do kieszeni.

— Czy doszło do bójki?

— Chyba nie.

— Obejrzałeś klucze?

— Było ich pięć. Dwa z ulicy Cavoura, od bramy i od drzwi wejściowych. Dwa od mieszkania matki, też brama i drzwi. Piąty bardzo nowoczesny — z tych, o których sprzedawcy mówią, że nie da się zrobić z nich duplikatu. Nie wiadomo, do jakich drzwi go używał.

— Ciekawy chłopak z tego Sanfilippa. Są jacyś świadkowie?

Fazio wybuchnął śmiechem.

— Komisarzu, zebrało się panu na żarty?

2

Ich rozmowę przerwały podekscytowane głosy dochodzące z przedpokoju. Najwidoczniej wybuchła tam jakaś kłótnia.

— Idź zobaczyć, co się dzieje.

Fazio wyszedł. Głosy ucichły. Po chwili wrócił.

— Jakiś pan krzyczał na Catarellę, bo on nie pozwalał mu wejść. Chce koniecznie rozmawiać z panem komisarzem.

— Niech poczeka.

— Wydaje się bardzo wzburzony.

— No to posłuchajmy go.

Wszedł czterdziestolatek w okularach, porządnie ubrany, przedziałek z boku, wygląd szanowanego urzędnika.

— Dziękuję, że mnie pan przyjął. Komisarz Montalbano, prawda? Nazywam się Davide Griffio i bardzo mi przykro, że musiałem podnieść głos, ale miałem trudności ze zrozumieniem wymowy pańskiego policjanta. Czy to cudzoziemiec?

Montalbano wolał nie odpowiadać.

— Słucham pana.

— Panie komisarzu, mieszkam z żoną w Mesynie, pracuję w magistracie. Tutaj mieszkają moi rodzice; jestem jedynakiem. Martwię się o nich.

— Dlaczego?

— Dzwonię z Mesyny dwa razy w tygodniu, w czwartek i w niedzielę wieczorem. Dwa dni temu nie odpowiedzieli mi i od tego czasu się nie odezwali. Niepokoilem się strasznie, w końcu żona zaczęła nalegać, żebym

wsiadł w samochód i pojechał do Vigaty. Wczoraj wieczorem zadzwoniłem do dozorczyń, by się dowiedzieć, czy ma klucze od mieszkania rodziców. Powiedziała, że nie. Żona poradziła mi, żebym się zwrócił do pana. Widziała pana dwa razy w telewizji.

— Czy chce pan zgłosić zaginięcie?

— Najpierw chciałbym otrzymać zgodę na wyważenie drzwi. — Głos mu się załamał. — Panie komisarzu, mogło się zdarzyć coś poważnego.

— Dobrze. Fazio, sprowadź tu Galla. Fazio wyszedł i wrócił z kolegą.

— Gallo, pójdiesz z tym panem. Ma wyważyć drzwi od mieszkania swoich rodziców, nie odzywają się od niedzieli. Pan powiedział, że gdzie oni mieszkają?

— Jeszcze tego nie mówiłem. Na ulicy Cavoura czterdzieści cztery.

Montalbano osłupiał.

— Święta Panienko! — powiedział Fazio.

Gallo zaniósł się nagle kaszlem i wyszedł z pokoju po szklanek wody.

Davide Griffio zbladł, zauważywszy, jakie wrażenie wywołały jego słowa. Rozejrzał się wokół przestraszony.

— Co ja takiego powiedziałem? — zapytał cichutko.

Zaledwie Fazio zatrzymał samochód przed numerem 44 na ulicy Cavoura, Davide Griffio wysiadł i zniknął w bramie.

— Od kogo zaczynamy? — spytał Fazio, gasząc silnik.

— Od zaginionych staruszków. Trup to trup, może poczekać.

W bramie zderzyli się z Griffem, który wracał z szybkością wystrzelonej kuli.

— Dozorczyń powiedziała mi, że tej nocy popełniono tu morderstwo! Zabito mieszkańca tego domu!

Dopiero teraz zauważył zarys ciała Nenč, zaznaczony białą linią na chodniku. Ogarnęło go gwałtowne drżenie.

— Niech się pan uspokoi — powiedział komisarz, kładąc mu rękę na ramieniu.

— To nic... ale obawiam się...

— Panie Griffó, czy pan uważa, że pańscy rodzice mogli być zamieszani w zabójstwo?

— Pan chyba żartuje! Moi rodzice to ludzie...

— Proszę więc zapomnieć, że dziś rano kogoś przed tym domem zabito. Teraz chodźmy sprawdzić.

Pani Ciccina Recuperó, dozorczyńni, krążyła po swojej portierni dwa na dwa metry jak niedźwiedź, który oszalał w klatce i zaczyna się kiwać raz na jednej, raz na drugiej nodze. Przychodziło jej to bez trudu, bo była kobieciną złożoną z samych kości i w owej mocno ograniczonej przestrzeni, którą dysponowała, mogła się poruszać aż nadto swobodnie.

— Boże, Boże, Boże, Matko Przenajświętsza! Co się w tym domu dzieje?! Co się dzieje?! Kto rzucił na nas urok?! Trzeba zaraz, natychmiast, sprowadzić księdza z wodą święconą!

Montalbano złapał ją za ramię, a dokładniej za kość ramienia, i zmusił, żeby usiadła.

— Proszę nie robić komedii. Niech pani przestanie się żegnać i odpowiada na moje pytania. Odkąd nie widuje pani państwa Griffó?

— Od zeszłej soboty rano, kiedy pani wróciła do domu z zakupów.

— Jest już wtorek. Nie zaniepokoiła się pani?

Dozorczyńni nastroszyła się.

— A niby czemu? Oni z nikim się nie zadawali. Byli pyszni! I mam to w dupie, że syn mnie słucha. Wychodzili, wracali z zakupami, zamykali się w

domu i przez trzy dni nikt ich nie widział. Mieli mój telefon. Jakbym była potrzebna, zadzwoniliby!

— Zdarzyło się to kiedyś?

— Co się zdarzyło?

— Że do pani zadzwonili.

— Tak, kilka razy. Kiedy pan Fofň źle się poczuł, zatelefonował do mnie, żeby przy nim posiedziała, bo żona szła do apteki. Innym razem zadzwonili, bo pękła rura od pralki i było zalanie. No i jeszcze kiedy...

— Dziękuję, wystarczy. Powiedziała pani, że nie ma kluczy?

— Powiedziałam i nie mam! Pani Griffó zostawiła mi klucz w zeszłym roku w lecie, kiedy pojechali do syna, do Mesyny. Miałam jej podlewać rośliny na balkonie. Potem odebrała mi go i nawet nie podziękowała, zupełnie nic, ani słówka, jakbym była ich służącą, jakimś kocmołuchem! A pan mi mówi, że miałam się o nich niepokoić. Gdybym weszła na czwarte piętro i zapytała, czy im czegoś nie potrzeba, mogliby jeszcze odesłać mnie do wszystkich diabłów!

— Chodźmy — powiedział komisarz do Davide Griffó, który stał, oparty o mur, na bardzo niepewnych nogach.

Kiedy wjechali na czwarte piętro, Davide natychmiast wyślizgnął się z windy.

Fazio zbliżył wargi do ucha komisarza.

— Na każdym piętrze są cztery mieszkania. Nenč Sanfilippo mieszkał dokładnie pod państwem Griffó — powiedział, wskazując podbródkiem na Davide, który napierał całym ciałem na drzwi mieszkania numer 17 i z niedorzecznym uporem wciskał dzwonek.

— Proszę się odsunąć.

Davide jakby go nie słyszał, cisnął dalej dzwonek, który dźwięczał w

oddali na próżno.

Fazio zbliżył się, wziął mężczyznę za ramiona i odsunął od drzwi. Komisarz wyjął z kieszeni duży krążek, z którego zwisało z dziesięć kluczyków o różnych kształtach. Wytrychy, prezent od zaprzyjaźnionego złodzieja. Pogrzebał przez jakieś pięć minut w zamku — był na zatrask, klucz przekrecono cztery razy.

Drzwi otworzyły się. Montalbano i Fazio rozdęli maksymalnie nozdrza, aby wyczuć dobywający się z wnętrza zapach. Fazio przytrzymał za ramię Davide, który chciał wbiec do środka. Po dwóch dniach śmierć zaczyna wydawać odór. A tu nic — w mieszkaniu czuć było tylko nieco stęchlizny. Fazio puścił ramię Davide, który natychmiast rzucił się do przodu, wołając:

— Tatusiu! Mamusiu!

Wszędzie panował doskonały porządek. Okna pozamykane, łóżko zaścielone, kuchnia wysprzątana, w zlewie żadnych brudnych naczyń. W lodówce — ser, szynka w opakowaniu, oliwki, opróżniona do połowy butelka białego wina. W zamrażalniku — cztery porcje mięsa i dwie barweny. Jeśli wyjechali, to z pewnością zamierzali niebawem wrócić.

— Pańscy rodzice mieli krewnych?

Davide siedział na krześle w kuchni, obejmując rękami głowę.

— Tatuś nie, mamusia tak. Brata w Comiso i siostrę w Trapani, ale ta umarła.

— Czy nie mogli pojechać do...

— Nie, panie komisarzu, to wykluczone. Brat mamy nie miał od nich wiadomości od miesiąca. Nie widywał się z nimi często.

— Więc zupełnie pan nie wie, dokąd mogli się udać?

— Nie. Gdybym wiedział, próbowałbym ich odnaleźć.

— Ostatni raz rozmawiał pan z nimi w zeszły czwartek wieczorem,

prawda?

— Tak.

— Nie powiedzieli panu nic, co mogłoby...

— Zupełnie nic.

— O czym rozmawialiście?

— O niczym szczególnym: jak ze zdrowiem, co z wnukami... Mam dwóch synków: Alfonsa — nazywa się jak mój ojciec — i Giovanniego. Jeden ma sześć lat, drugi cztery. Rodzice bardzo ich kochają. Kiedy przyjeżdżaliśmy do Vigaty, zawsze dawali im masę prezentów.

Nie usiłował nawet powstrzymać łez. Fazio, który przeszukiwał mieszkanie, wrócił i rozłożył ręce.

— Panie Griffio — powiedział Montalbano — nie warto dłużej tu siedzieć. Mam nadzieję, że wkrótce będę miał dla pana jakieś wiadomości.

— Panie komisarzu, magistrat dał mi kilka dni urlopu. Mogę pozostać w Vigacie przynajmniej do jutra wieczór.

— Dla mnie może pan zostać tak długo, jak się panu podoba.

— Nie, chodzi mi o coś innego. Czy mogę tu dziś przenocować?

Montalbano zastanowił się chwilę. W jadalni, która była jednocześnie salonem, widział małe biurko. Leżały na nim papiery. Chciał spokojnie je przejrzeć.

— Nie, nie może pan w tym mieszkaniu nocować. Przykro mi.

— Ale gdyby przypadkiem ktoś zatelefonował...

— Kto? Pańscy rodzice? Po co mieliby telefonować do własnego mieszkania, wiedząc, że nikogo tam nie ma?

— Nie... chciałem powiedzieć... gdyby zadzwonił ktoś, kto coś wie...

— Tu ma pan rację. Natychmiast poddamy ten telefon kontroli. Fazio,

załatw to. Panie Griffio, chciałbym dostać zdjęcie pańskich rodziców.

— Mam jedno w kieszeni, panie komisarzu. Zrobiłem je, kiedy przyjechali do Mesyny. Nazywają się Alfonso i Margherita.

I podając komisarzowi fotografię, wybuchnął płaczem.

— Pięć razy cztery dwadzieścia, dwadzieścia minus dwa osiemnaście — powiedział Montalbano na schodach, kiedy roztrzęsiony i pełen wątpliwości Griffio już sobie poszedł.

— Co to, numery na loterię? — spytał Fazio.

— Jeśli można dowierzać matematyce, w tym pięciopiętrowym domu jest dwadzieścia mieszkań. W rzeczywistości jest ich jednak osiemnaście, bo wyłączamy mieszkania państwa Griffio i Nenč Sanfilippa. Krótko mówiąc, musimy przesłuchać wszystkie osiemnaście rodzin. Każdej postawimy dwa pytania. Co wam wiadomo o państwie Griffio? Co wam wiadomo o Nenč Sanfilippo? Gdyby ten przekłety łobuz Mimě tutaj był, żeby nam pomóc...

O wilku mowa. W tej właśnie chwili zadzwonił telefon komórkowy Fazia.

— To komisarz Augello. Pyta, czy jest potrzebny.

Montalbano się wściekł.

— Niech stawi się natychmiast. Ma tu być za pięć minut, nawet gdyby miał połamać sobie nogi.

Fazio powtórzył.

— Zanim przyjedzie, chodźmy napić się kawy — zaproponował komisarz.

Kiedy wrócili na ulicę Cavoura, Mimě już na nich czekał. Fazio oddalił się dyskretnie.

— Mimě — zaczął Montalbano — naprawdę opadają mi ręce. Brak mi słów. Co ty masz w głowie? Wiesz czy nie wiesz, że...

— Wiem — przerwał mu Augello.

— Co, do cholery, wiesz?

— To, co mam wiedzieć. Że źle zrobiłem. Ale chodzi o to, że dziwnie się czuję, jestem dezorientowany.

Złość zaczęła w komisarzu wygasać. Mimě stał przed nim z zupełnie odmienioną twarzą. Zniknęła z niej cechująca go zazwyczaj lekceważąca obojętność, zastąpiona przez coś w rodzaju rezygnacji i pokory.

— Mimě, mogę wiedzieć, co się stało?

— Później ci powiem.

Chciał już objąć Augella pocieszycielskim ramieniem, lecz powstrzymało go nagle podejrzenie. A jeśli ten sukinsyn Mimě zachowuje się tak jak on sam wobec Bonetti —

— Alderighiego: udaje służalczą postawę, w rzeczywistości zaś kpi sobie z niego w najlepsze? Augello był urodzonym aktorem, przyszłoby mu to z łatwością. Ogarnięty wątpliwościami komisarz zrezygnował z przyjacielskiego gestu. Powiadomił Augella o zniknięciu państwa Griffo.

— Ty przepytasz lokatorów z pierwszego i drugiego piętra, Fazio — z piątego i z parteru, ja zajmę się trzecim i czwartym.

Trzecie piętro, mieszkanie numer 12. Pani Concetta Lo Mascolo z domu Burgio, wdowa lat około pięćdziesięciu, wygłosiła nadzwyczaj efektowny monolog.

— Niech mi pan nawet nie wspomina, panie komisarzu, o tym Nenč Sanfilippo! Niech mi pan o nim nie mówi! Zabili biedaka, pokój jego duszy! Ale ja mało co przez niego nie zwariowałam. W dzień nigdy nie było go w domu, za to w nocy zaczynało się dla mnie prawdziwe piekło! Co drugą noc! Prawdziwe piekło! Widzi pan, panie komisarzu, moja sypialnia jest tuż obok sypialni Sanfilippa, a ściany w tym domu są jak z papieru. Słysząc wszystko,

bez wyjątku. No więc najpierw nastawiali muzykę tak głośno, że aż pękały mi uszy. Potem gasili ją i zaczynali inną muzykę. Jaka to była symfonia! Tum, tum, tum, tum! Łóżko uderzało o ścianę, zastępowało bęben! A potem ta kurwa, co ją sobie akurat sprowadził, krzyczała: ach, ach, ach, ach! No i znowu tum, tum, tum, tum! Mnie przychodziły do głowy nieprzyzwoite myśli. Odmawiałam różaniec raz, dwa, trzy razy. Nie pomagało! Myśli nie chciały odejść! Panie komisarzu, ja jestem jeszcze młoda! Ile ja przez niego wycierpiałam! A o państwu Griffio nie wiem nic. Z nikim się nie przyjaźnili. No to niby dlaczego ja miałam się z nimi przyjaźnić? Mam rację czy nie?

Trzecie piętro, mieszkanie numer 14. Rodzina Crucilla. Mąż: Stefano, emeryt, były księgowy w fabryce konserw rybnych. Żona: Antonietta z domu De Carlo. Syn: Calogero, inżynier górnik, pracuje w Boliwii. Młodsza od niego córka: Samanta, bez litery „h” między „t” i „a”, nauczycielka matematyki, niezamężna, mieszka z rodzicami. Za wszystkich mówiła Samanta.

— Panie komisarzu, proszę posłuchać, jak bardzo odpychający byli państwo Griffio. Spotkałam kiedyś panią Griffio, kiedy wchodziła do bramy z wyładowanym do niemożliwości wózkiem na zakupy i dwiema plastikowymi torbami w każdej ręce. Przed drzwiami do windy są trzy schodki, więc ją spytałam, czy mogę pomóc. Odpowiedziała mi nieuprzejmie, że nie. A mąż nie był od niej lepszy. Nenč SannTippo? Ładny chłopak, pełen życia, sympatyczny. Co robił? To, co robią młodzi ludzie w jego wieku, kiedy cieszą się wolnością.

Mówiąc to, spojrzała z westchnieniem na rodziców. Ona, niestety, wolnością się nie cieszyła. Gdyby tak było, mogłaby chyba dorównać świętej pamięci Sanfilippowi, a może nawet go prześcignąć.

Trzecie piętro, mieszkanie numer 15. Doktor Ernesto Assunto, lekarz

dentysta.

— Panie komisarzu, tu jest tylko mój gabinet. Mieszkam w Montelusie, przyjeżdżam tu wyłącznie w dzień. Mogę panu powiedzieć jedynie tyle, że spotkałem raz pana Griffo z lewym policzkiem zniekształconym najwidoczniej przez wrzód. Spytałem, czy ma zaufanego dentystę; odpowiedział, że nie. Zasugerowałem wtedy, żeby zajrzał do mojego gabinetu. Otrzymałem zdecydowanie negatywną odpowiedź. Co się tyczy Sanfilippa, to nigdy go nie spotkałem. Nie wiem nawet, jak wygląda.

Wchodząc po schodach na wyższe piętro, spojrzął na zegarek. Było już wpół do drugiej; kiedy się o tym przekonał, wskutek odruchu warunkowego poczuł wilczy apetyt. Minęła go jadąca w górę winda. Postanowił bohatercko oprzeć się głodowi i przesłuchiwać dalej, bo o tej porze najłatwiej zastać ludzi w domu. Przed wejściem do mieszkania numer 16 stał łysy grubas z niekształtną czarną torbą w rękę; drugą ręką usiłował włożyć klucz do zamka. Zauważył, że za jego plecami zatrzymał się komisarz.

— Mnie pan szuka?

— Tak, panie...

— Mistretta. A pan kim jest?

— Komisarz Montalbano.

— I czego pan chce?

— Chciałbym zadać panu kilka pytań w związku z tym młodym człowiekiem, którego zamordowano dziś w nocy...

— Tak, słyszałem. Dozorczynie wszystko mi opowiedziały, kiedy wychodziłem rano do biura. Pracuję w cementowni.

— ...i w związku z państwem Griffo.

— Dlaczego? A co oni zrobili?

— Zniknęli.

Pan Mistretta otworzył drzwi, usunął się na bok.

— Proszę, niech pan wejdzie.

Montalbano zrobił krok do przodu i znalazł się w mieszkaniu, w którym panował niewyobrażalny wprost bałagan. Na podłodze w przedpokoju zauważył dwie podarte skarpetki nie do pary. Gospodarz wprowadził go do pokoju, który kiedyś musiał być salonem. Gazety, brudne talerze, niedomyte szklanki, bielizna uprana i nieświeża, popielniczki wypełnione po brzegi popiołem i niedopałkami.

— Trochę tu nieporządnie — przyznał pan Mistretta. — Żona od dwóch miesięcy jest w Caltanissetcie, bo zachorowała jej matka.

Z czarnej torby wyjął puszkę tuńczyka, cytrynę i bułkę. Otworzył puszkę i przełożył jej zawartość na najbliższej stojący talerz. Odsunąwszy parę kalesonów, znalazł widelec i nóż. Przeciął cytrynę, wycisnął ją na tuńczyka.

— Chce pan spróbować? Nie będę marnował pańskiego czasu, panie komisarzu. Miałem zamiar przetrzymać pana tutaj, opowiadając głupstwa, żeby mieć trochę towarzystwa. Ale potem pomyślałem sobie, że tak nie można. Państwa Griffio spotkałem kilka razy, ale nie mówiliśmy sobie nawet „dzień dobry”. Tego zastrzelonego chłopaka w ogóle nigdy nie widziałem.

— Dziękuję i do widzenia — powiedział komisarz, wstając.

Widok jedzącego człowieka, nawet w takim brudzie, sprawił, że poczuł jeszcze większy głód.

Czwarte piętro. Przy drzwiach mieszkania numer 18, pod guzikiem dzwonka, tabliczka: Guido i Gina De Dominicis. Zadzwoił.

— Kto tam? — zapytał dziecięcy głosik.

Co odpowiedzieć dziecku?

— Znajomy tatusia.

Drzwi się otwarły i przed komisarzem stanął chłopczyk, może ośmioletni, wyglądający na rozgarniętego.

— Jest tatuś? Albo mamusia?

— Nie, ale zaraz wrócą.

— A ty jak się nazywasz?

— Pasqualino. A ty?

— Salvo.

W tej chwili Montalbano zdał sobie sprawę, że dochodzący z mieszkania zapach to swąd spalenizny.

— Co to tak czuć?

— Nic. Podpaliłem mieszkanie.

Komisarz skoczył do przodu, usuwając z drogi Pasqualina. Z drzwi w głębi buchał czarny dym. Była to sypialnia; paliło się ćwierć małżeńskiego łóżka. Zdjął marynarkę, na krześle dostrzegł wełniany koc złożony w kostkę, złapał go, rozpostarł, zarzucił na płomienie, rozklepał mocnymi uderzeniami otwartej dłoni. Złośliwy języczek ognia przeżarł mu połowę mankietu.

— Jeśli zgasisz mi ogień, to go zapalę w innym miejscu — powiedział Pasqualino, potrząsając groźnie pudełkiem zapalek.

Naprawdę bystry chłopaczek! Ale co robić? Rozbroić go czy dalej gasić pożar? Wybrał rolę strażaka, narażając się na kolejne poparzenia. Nagle sparaliżował go przeraźliwy krzyk kobiety.

— Guiiiiido!

Młoda blondynka z oczyma w słup była najwidoczniej bliska omdlenia. Montalbano nie zdążył jeszcze otworzyć ust, kiedy u jej boku wyrósł potężnie zbudowany młodzieniec w okularach, podobny do Clarka Kenta — i tak jak on zamienił się w Supermana. Bez jednego słowa, niewymownie eleganckim ruchem rozpiął marynarkę i komisarz ujrzał wycelowany pistolet,

który wydał mu się armatą.

— Ręce do góry!

Montalbano wykonał rozkaz.

— To piroman! To piroman! — bełkotała, szlochając, młoda kobieta i mocno obejmowała swojego kochanego synka, swojego aniołka.

— Mamusiu, mamusiu, powiedział, że spali całe mieszkanie!

Na wyjaśnieniu sprawy zeszło dobre pół godziny. Montalbano dowiedział się, że mężczyzna pracuje jako kasjer w banku i dlatego chodzi uzbrojony. Dowiedział się też, że pani Giną wróciła późno do domu, bo była u lekarza.

— Pasqualino będzie miał braciszka — wyznała, spuszczać wstydliwie wzrok.

Przy akompaniamencie wrzasków chłopaczka dochodzących z ciemnego pokoiku, w którym go zamknięto po przetrzepaniu pupy, Montalbano dowiedział się jeszcze, że państwa Griffo, nawet kiedy byli w domu, w ogóle nie było słyhać.

— Żadnego kaszlnięcia, stuku padającego na podłogę przedmiotu, głośniejszego słowa! Nic a nic.

Co do Nenč Sanfilippa, państwo De Dominicis nie wiedzieli nawet, że ktoś taki w tym domu mieszkał.

3

Droga krzyżowa Montalbana kończyła się na czwartym piętrze, mieszkanie numer 19. Mecenase Leone Guarnotta.

Spod drzwi wejściowych wydobywał się kuszący zapach sosu mięsnego; komisarzowi ślinka napłynęła do ust.

— Pan komisarz Montaperto? — zapytała gruba baba pod pięćdziesiątkę, otwierając mu drzwi.

— Montalbano.

— Nazwiska mi się mylą, ale jak zobaczę twarz jeden raz w telewizji, to już jej nigdy nie zapomnę!

— Kto to? — spytał z wnętrza mieszkania męski głos.

— To komisarz, Leo. Proszę wejść, proszę.

Montalbano ujrzał zbliżającego się wysokiego, zwawego sześćdziesięciolatka, z serwetką wetkniętą pod kołnierzyk.

— Guarnotta, bardzo mi przyjemnie. Proszę dalej. Mieliśmy właśnie usiąść do stołu. Proszę do salonu.

— Do jakiego tam salonu — wtrąciła się baba. — Jak zaczniesz gadać, wystygnie makaron. Jadł pan już obiad, panie komisarzu?

— Prawdę mówiąc, jeszcze nie jadłem — odpowiedział Montalbano, a w sercu zrodziła mu się nadzieja.

— No to nie ma sprawy — oświadczyła pani Guarnotta. — Proszę usiąść z nami i zjeść talerz makaronu. Lepiej się nam będzie rozmawiało.

Makaron został odcedzony we właściwej chwili („Umieć odcedzić makaron we właściwej chwili to prawdziwa sztuka” — orzekła kiedyś jego

gospodyni Adelina), sos był bardzo smaczny, z kawałkami miękkiego mięsa.

Komisarz napełnił sobie brzuch, ale w sprawie śledztwa znowu nic nie wskórał.

Kiedy koło czwartej po południu wraz z Mimě Augellem i Faziem znalazł się ponownie w swoim biurze, musiał stwierdzić, że wszyscy trzej nic nie wskórali.

— Tyle że pańskiej matematyce naprawdę nie można dowierzać — powiedział Fazio — bo w tym domu są dwadzieścia trzy mieszkania.

— Jak to „dwadzieścia trzy”? — zdziwił się Montalbano, który z liczbami rzeczywiście kiepsko sobie radził.

— Panie komisarzu, na parterze są trzy lokale, same biura. Nic nie wiedzą ani o małżonkach Griffo, ani o Sanfilippie.

Podsumowując: państwo Griffo mieszkali w tym domu od lat, ale byli jakby z powietrza; o Sanfilippie w ogóle nie ma co mówić, część lokatorów nawet o nim nie słyszała.

— Zanim informacja o zaginięciu zostanie podana do publicznej wiadomości — powiedział Montalbano — postarajcie się dowiedzieć czegoś więcej na mieście — zbierzcie plotki, pogłoski, przypuszczenia i tak dalej.

— Dlaczego? Kiedy ludzie się dowiedzą, że Griffo zaginęli, będą mówić inaczej? — spytał Augello.

— Zwykle tak bywa. Coś, co wydawało się zwyczajne, w świetle niezwykłego wydarzenia wygląda inaczej; Przy sposobności wypytujcie też o Sanfilippa.

Fazio i Augello wyszli z komisariatu niezbyt przekonani.

Montalbano wziął klucze Sanfilippa, które Fazio zostawił mu na stole, włożył je do kieszeni i poszedł po Catarellę, pogrążonego od tygodnia w

rozwiązywaniu krzyżówki dla początkujących.

— Catarella, chodź ze mną. Powierzę ci ważne zadanie.

Catarella był tak podekscytowany, że nie udało mu się otworzyć ust nawet wtedy, kiedy znaleźli się już w mieszkaniu denata.

— Catarella, widzisz ten komputer?

— Tak, baaardzo piękny.

— Popracuj na nim. Chcę poznać całą jego zawartość. Potem wsadź tam wszystkie dyskietki i te... jak one się nazywają?

— CD-ROM-y, panie komisarzu.

— Przejrzyj je po kolei. Na koniec złożysz mi raport.

— Są też wideokasety.

— Tych nie ruszaj.

Wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku Montelusy. Jego przyjaciel, dziennikarz Nicolò Zito ze stacji telewizyjnej Retelibera, miał właśnie zacząć swój program. Montalbano wręczył mu fotografię.

— Nazywają się Griffo, Alfonso i Margherita. Masz powiedzieć tylko, że syn Davide się martwi, bo nie ma od nich wiadomości. Ogłoś to w wieczornym dzienniku.

Zito, człowiek inteligentny i dociekliwy, popatrzył na zdjęcie i postawił pytanie, którego Montalbano oczekiwał:

— Dlaczego tak się przejmujesz zniknięciem tych dwojga?

— Żal mi ich.

— Wierzę, że ci ich żal. Ale nie wierzę, że tylko o to chodzi. Czy jest może jakiś związek?

— Z czym?

— Z Sanfilippem, chłopakiem zabitym w Vigacie.

— Mieszkali w tym samym domu.

Nicolň aź podskoczył na krześle.

— Ależ to wiadomość...

— ...której nie podasz. Może jest jakiś związek, a może nie. Zrób, jak ci powiedziałem, a pierwsze konkretne informacje będą dla ciebie.

Siedząc na werandzie, zjadł ze smakiem danie, na które od dawna miał ochotę. Danie ubogie — kartofle z cebulą długo gotowane, rozgniecione widelcem na papkę, obficie przyprawione czosnkiem, mocnym octem, świeżo zmielonym czarnym pieprzem i solą. Najchętniej jadł to blaszanym widelcem (miał takie dwa, strzegł ich zazdrośnie), parząc sobie język i podniebienie, no i oczywiście klnąc za każdym kęsem.

W dzienniku o dwudziestej pierwszej Nicolň Zito wykonał swoje zadanie: pokazał zdjęcie małżonków Griffo i powiedział, że syn się o nich martwi.

Komisarz wyłączył telewizor i wziął się do lektury ostatniej książki Vazqueza Montalbana, której akcja toczyła się w Buenos Aires, a bohaterem był Pepe Carvalho. Zdążył przeczytać pierwsze trzy linijki, kiedy zadzwieczał telefon. Dzwonił Mimě.

— Salvo, przeszkadzam?

— Wcale nie.

— Jesteś zajęty?

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Chciałbym z tobą porozmawiać. Przyjadę.

Zatem rano Mimě mówił szczerze, nie odgrywał komedii. Co też mogło mu się przytrafić, temu kochanemu chłopcu? Co się tyczy kobiet, Mimě nie był bynajmniej wymagający; wyznawał miłą wielu mężczyznom zasadę, w myśl której każda niepoderwana jest stracona. Może ma kłopoty z jakimś

zazdrosnym mężem? Jak wtedy, gdy księgowy Perez zaskoczył go na całowaniu gołych cycków swojej żony. Zrobiła się wielka awantura, mąż zgłosił sprawę na policji. Augellowi udało się wykręcić, bo kwestor — ten poprzedni — poszedł mu na rękę. Gdyby na jego miejscu był już Bonetti–Alderighi, to wicekomisarz Augello musiałby pożegnać się z karierą.

Dzwonek do drzwi. To nie mógł być Mimě, przecież dopiero co telefonował. A jednak... to właśnie on.

— Na skrzydłach przyleciałeś z Vigaty do Marinelli?

— Nie byłem w Vigacie.

— A gdzie byłeś?

— W pobliżu. Zadzwoiłem do ciebie z komórki. Krążyłem tu od godziny.

Coś takiego! Mimě jeździł tam i z powrotem po okolicy, zanim zdecydował się zatelefonować. To znaczy, że sprawa jest poważniejsza, niż można przypuszczać.

Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl: a jeśli Mimě się zaraził od którejś z tych swoich kurew?

— Zdrowy jesteś?

Mimě spojrzał na niego zaskoczony.

— Zdrowy? Tak.

Boże! Jeśli jego problem nie dotyczy ciała, to znaczy, że dotyczy czegoś całkiem przeciwnego. Duszy? Sfery duchowej? Nie żartujmy. Te sprawy są wicekomisarzowi całkowicie obce.

Kiedy zmierzali w stronę werandy, Mimě powiedział:

— Bądź tak dobry, poczęstuj mnie łykiem whisky bez lodu.

Najwidoczniej chciał dodać sobie odwagi. Montalbano jeszcze bardziej się zdenerwował. Postawił przed nim butelkę i kieliszek, poczekał, aż naleje

sobie sporą dawkę, i przemówił:

— Mimě, wkurwiłeś mnie. Gadaj natychmiast, co cię, do cholery, gryzie.

Augello opróżnił kieliszek jednym haustem i patrząc w morze, powiedział cichutko, niedosłyszalnym prawie głosem:

— Postanowiłem skończyć z życiem...

Montalbano zareagował impulsywnie, pod wpływem niepohamowanej złości. Lewą ręką zmiotł ze stolika butelkę i kieliszek, prawą zaś wymierzył przyjacielowi, który odwrócił się właśnie w jego stronę, potężny policzek.

— Durniu! Co za głupoty mi tu opowiadasz?! Nie pozwolę ci na to, póki żyję! Nie pozwolę! Jak mógł ci przyjść do głowy taki pomysł? Dlaczego?

Augello wstał, oparł się plecami o ścianę, przyłożył dłoń do zaczerwienionego policzka. Oczy miał szeroko otwarte, przerażone.

Komisarz zdołał się opanować i zrozumiał, że przesadził. Zbliżył się do Augella z wyciągniętymi ramionami. Mimě jeszcze szczelniej przylgnął do ściany.

— Salvo... we własnym interesie... nie dotykaj mnie.

Choroba Augella była więc z pewnością zakaźna.

— Cokolwiek by ci było, Mimě, zawsze to lepsze od śmierci.

Augello ze zdziwienia otworzył usta.

— Od śmierci? Kto tu mówił o śmierci?

— Ty. Powiedziałeś przed chwilą: „Postanowiłem skończyć z życiem”. Możesz zaprzeczyć?

Mimě nie odpowiedział. Zaczął osuwać się na podłogę, szorując plecami po ścianie. Uciskał obiema rękami brzuch jakby pod wpływem nieznośnego bólu. Łzy trysnęły mu z oczu, spływając wzdłuż nosa. Komisarz wpadł w panikę. Co robić? Sprowadzić doktora? Kogo mógł obudzić o tej porze? Ale

Mimě niespodzianie wstał, jednym susem przeskoczył balustradkę, podniósł z piasku na wpół pełną jeszcze butelkę i zaczął pić duszkiem. Montalbano skamieniał. Potem zadrżał, słysząc, że Augello szczeka. Nie, nie szczeka — śmieje się. Czemu on się, do cholery, śmieje? Wreszcie Mimě zdołał coś wykrztusić.

— Salvo, nie dałeś mi dokończyć. Zamierzałem powiedzieć „skończyć z życiem kawalera”. Ożenić się!

Komisarz poczuł jednocześnie ulgę i złość. Wrócił do mieszkania, poszedł do łazienki, wsadził głowę pod strumień zimnej wody, potrzymał przez długą chwilę. Kiedy pokazał się znowu na werandzie, Augello siedział przy stoliku. Montalbano wyjął mu z ręki butelkę, przytknął ją do ust i opróżnił do końca.

— Przyniosę drugą.

Wrócił z nienapoczętą jeszcze butelką.

— Wiesz, Salvo, kiedy zareagowałeś w ten sposób, przestraszyłem się nie na żarty. Pomyślałem, że jesteś pedałem i że się we mnie zakochałeś.

— Opowiedz mi o dziewczynie — uciał Montalbano.

Nazywała się Rachela Zummo. Augello poznał ją u znajomych w Feli. Przyjechała odwiedzić rodziców. Pracowała w Pawii.

— Co robi w Pawii?

— Teraz się uśmiejesz. Jest inspektorem policji.

Roześmiali się razem. I śmiali się jeszcze przez dwie godziny, opróżniając butelkę.

— Halo, Livio! Tu Salvo. Spałaś?

— Oczywiście. Co się stało?

— Nic. Chciałem tylko...

— Jak to „nic?” Wiesz, że jest druga nad ranem?!

— Naprawdę? Wybacz. Nie myślałem, że jest tak późno... to znaczy tak wcześnie. Nie, nic takiego. Głupstwo, wierz mi.

— Nawet jeśli to tylko głupstwo, chcę wiedzieć, o co chodzi.

— Mimě Augello powiedział mi, że chce się ożenić.

— Ale mi nowina! Mnie zwierzył się już trzy miesiące temu, prosząc, żebym ci nic nie mówiła.

Bardzo długie milczenie.

— Salvo, jesteś tam jeszcze?

— Jestem. A więc ty z panem Augello zwierzacie się sobie, a ja nic o tym nie wiem?

— Ależ, Salvo!

— Nie, Livio, pozwól, że będę wkurzony.

— A ty pozwól, że i ja będę wkurzona.

— Właściwie dlaczego?

— Bo nazywasz głupstwem małżeństwo. Durniu, powinieneś raczej wziąć przykład z Augella! Dobranoc!

Obudził się koło szóstej rano z zaschniętym gardłem i lekkim bólem głowy. Wypił pół butelki lodowatej wody i spróbował zasnąć znowu, ale bez skutku.

Co robić? Problem rozwiązał dzwonek telefonu.

O tej godzinie? Może dzwoni ten głupek Mimě, żeby mu powiedzieć, że przeszła mu już ochota na żeniączkę. Uderzył się dłonią w czoło. Oto przyczyna nieporozumienia z wczorajszego wieczoru! Augello chciał powiedzieć, że zamierza skończyć z życiem kawalera, a on zrozumiał, że postanowił się zabić. No jasne! Kto tak kwieście się wyraża? Na Sycylii nikt nawet się nie żeni. Tutaj zostaje się mężem. Kobiety mówią „chcę zostać

żoną”, a mężczyźni — „chcę zostać mężem”. Podniósł słuchawkę.

— Zmieniłeś zdanie?

— Nie, panie komisarzu, nie zmieniłem. A jakie zdanie ma pan na myśli?

— Wybacz, Fazio, myślałem, że dzwoni ktoś inny. O co chodzi?

— Przepraszam, że budzę pana o tej porze, ale...

— Ale?

— Nie możemy odnaleźć Catarelli. Zniknął wczoraj po południu. Wyszedł z biura, nic nie mówiąc, i odtąd się nie pokazał. Szukaliśmy go nawet po szpitalach w Montelusie...

Fazio mówił dalej, ale komisarz już go nie słuchał. Catarella! Zupełnie o nim zapomniał!

— Przepraszam, Fazio, wszystkich was przepraszam. To ja zleciłem mu pewną sprawę, nic wam nie mówiąc. Nie martwcie się.

Usłyszał wyraźnie, jak Fazio oddycha z ulgą.

Przez dwadzieścia minut brał prysznic, golił się i ubierał. Czuł się rozbity. Kiedy przyjechał na ulicę Cavoura 44, dozorczyńni zamiatała chodnik przed bramą. Była tak przeraźliwie chuda, że nie różniła się wiele od kija szczotki. Kogo mu przypominała? Ach, tak — Olive Oyl, narzeczoną Popeye’a. Wsiadł do windy, wjechał na trzecie piętro, otworzył wytrychem drzwi mieszkania Nenč Sanfilippa. Wewnątrz paliło się światło. Catarella bez kurtki siedział przed komputerem. Gdy tylko zobaczył zwierzchnika, podniósł się błyskawicznie, włożył z powrotem kurtkę, poprawił węzeł krawata. Miał długi zarost i zaczerwienione oczy.

— Do usług, panie komisarzu!

— Jeszcze tu jesteś?

— Właśnie kończę, panie komisarzu. Potrzeba mi jeszcze dwie godziny.

— Znalazłeś coś?

— Przepraszam, panie komisarzu, mam używać terminy techniczne czy słowa proste?

— Mów prosto, jak najprościej.

— To powiem, że w tym komputerze gówno jest.

— Jak to?

— Tak to, panie komisarzu, jak właśnie powiedziałem. Nie jest podłączony do Internetu. On tu ma coś, co pisał...

— Co takiego?

— Mnie się wydaje, że to jakaś powieść, panie komisarzu.

— Niczego innego nie ma?

— Są jeszcze kopie wszyściutkich listów, co to je wysyłał i dostawał. Bardzo tego dużo.

— Listy dotyczą interesów?

— Jakich tam interesów, panie komisarzu! Listy kurewskie.

— Nie zrozumiałem.

Catarella zarumienił się.

— No, jak to powiedzieć... Listy miłosne, ale...

— Już dobrze, zrozumiałem. A co na dyskietkach?

— Same świństwa. Mężczyźni z kobietami, mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami, kobiety ze zwierzętami...

Wydawało się, że twarz Catarelli za chwilę obejmie płomień.

— Dobrze, Catarella. Wydrukuj mi to wszystko...

— Wszystko? Kobiety z mężczyznami, mężczyźni z mężczyznami...

Montalbano przerwał tę litanię.

— Chciałem powiedzieć: powieść i listy. Ale teraz zrobimy jedną rzecz.

Zejdiesz ze mną do kawiarni, wypijesz kawę z mlekiem, zjesz kilka rogalików, a potem znowu cię tutaj odprowadzę.

Jak tylko wrócił na komisariat, zgłosił się do niego Imbrň, który dyżurował w centralce.

— Panie komisarzu, z Retelibery przekazano listę nazwisk i numerów telefonów osób, które odezwały się po zobaczeniu zdjęcia państwa Griffo. Mam ją tutaj.

Około piętnastu nazwisk. Sądząc po numerach telefonów, chyba sami mieszkańcy Vigaty. Więc jednak małżonkowie Griffo nie byli tacy niezauważalni, jak się w pierwszej chwili wydało.

Wszedł Fazio.

— Boże mój, aleśmy się przestraszyli, kiedy zniknął Cafarella! Nie wiedzieliśmy, że został wysłany w tajnej misji. Wie pan, jak go przezwał Galluzzo? Agent zero-zero-zero.

— Nie bądźcie tacy dowcipni. Zebrałeś jakieś wiadomości?

— Byłem u matki Sanfilippa. Biedaczka nie ma bladego pojęcia, czym zajmował się syn. Opowiedziała mi, że już jako osiemnastolatek, mając bzika na punkcie komputerów, znalazł dobrą posadę w Montelusie. Całkiem nieźle zarabiał, razem z jej emeryturą na wszystko im starczało. Potem Nenč nagle zrezygnował z posady, zmienił się, zamieszkał sam. Miał dużo pieniędzy, ale matce pozwalał chodzić w zdartych butach.

— Powiedz mi coś, Fazio. Znaleziono przy nim pieniądze?

— Pewno. Trzy miliony w gotówce i czek na dwa miliony.

— To dobrze, pani Sanfilippo nie będzie musiała zadłużyć się na pogrzeb. Kto wystawił ten czek?

— Firma Manzo w Montelusie.

— Postaraj się dowiedzieć, dlaczego go dostał.

— Dobrze. A co do państwa Griffo...

— Popatrz — przerwał mu komisarz. — To lista osób, które coś o nich wiedzą.

Pierwsze nazwisko na liście brzmiało: Saverio Cusumano.

— Dzień dobry, panie Cusumano. Mówi komisarz Montalbano.

— A czego pan ode mnie chce?

— Czy to nie pan dzwonił do telewizji po zobaczeniu fotografii państwa Griffo?

— Tak jest, ja. Ale panu co do tego?

— My zajmujemy się tą sprawą.

— A kto to powiedział? Będę rozmawiał tylko z ich synem, Davide. Żegnam.

„Rozkoszny tak początek dobrze poprowadzi” — napisał piętnastowieczny poeta Matteo Maria Boiardo. Drugie nazwisko brzmiało: Gaspare Belluzzo.

— Halo, pan Belluzzo? Mówi komisarz Montalbano. Zadzwoił pan do Retelibery w sprawie państwa Griffo.

— To prawda. Widzieliśmy ich z żoną w zeszłą niedzielę, jechali z nami autokarem.

— Dokąd jechaliście?

— Do sanktuarium Matki Boskiej w Tindari.

„Tindari, łagodność w tobie...” — zadźwięczały mu w uszach słowa wiersza Quasimoda.

— Po co tam jechaliście?

— Z wycieczką. Zorganizowała ją tutejsza firma Malaspina. Razem z żoną

byliśmy już na takiej wycieczce w zeszłym roku, w San Calogero di Fiacca.

— Proszę mi powiedzieć, czy przypomina pan sobie nazwiska innych uczestników?

— Naturalnie. Państwo Bufalotta, Contino, Dominedó, Raccuglia... Było nas ze czterdzieści osób.

Panowie Bufalotta i Contino figurowali na liście osób, które zatelefonowały.

— Jeszcze ostatnie pytanie, panie Belluzzo. Kiedy wróciliście do Vigaty, widział pan państwa Griffo?

— Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie. Wie pan, panie komisarzu, zrobiło się późno, koło jedenastej wieczorem, ciemno, wszyscy zmęczeni...

Szkoda było czasu na dalsze telefony. Zawołał Fazia.

— Słuchaj, te wszystkie osoby brały udział w wycieczce do Tindari w zeszłą niedzielę. Uczestniczyli w niej także Griffo. Wycieczkę zorganizowało przedsiębiorstwo Malaspina.

— Znam je.

— To dobrze. Idź tam i weź od nich pełną listę uczestników. Potem wszystkich zawiadom. Mają się zgłosić do mnie do komisariatu jutro rano o dziewiątej.

— A gdzie ich pomieścimy?

— Gównie mnie to obchodzi. Przygotujcie szpital polowy, bo najmłodszy będzie miał przynajmniej sześćdziesiąt pięć lat. I jeszcze coś: niech ci pan Malaspina powie, kto był kierowcą autokaru w zeszłą niedzielę. Jeśli jest w Vigacie i akurat nie ma kursu, niech się tu stawi najpóźniej za godzinę.

Catarella z zaczerwienionymi jeszcze oczyma, ze sterczącymi we wszystkie strony włosami, które upodobały go do podręcznikowego

szaleńca, zgłosił się z okropnie grubym plikiem papierów pod pachą.

— Wszystko, zupełnie wszystko wydrukowałem, panie komisarzu!

— Dobrze, zostaw to tutaj i idź się przespać. Zobaczymy się po południu.

— Rozkaz, panie komisarzu!

Miły Boże! Miał teraz na biurku stertę co najmniej sześciuset kartek!

Zjawił się Mimě we wspaniałej formie. Montalbano poczuł odrobinę zawiści. Przypomniawszy też sobie zaraz telefoniczną sprzeczkę z Livią. Zachmurzył się.

— Posłuchaj, Mimě, w związku z tą Rebeką...

— Z jaką Rebeką?

— No, tą twoją narzeczoną! Chcesz zostać jej mężem...

— Ożenić się z nią.

— To nie to samo, wierz mi.

— Nazywa się Rachela.

— Dobrze, jak się nazywa, tak się nazywa. Jeśli się nie mylę, powiedziałeś, że jest inspektorem policji i pracuje w Pawii. Mam rację?

— Masz.

— Złożyła wniosek o przeniesienie?

— A dlaczego miałyby to zrobić?

— Mimě, rusz głową. Pobierzecie się i co? Będziecie dalej mieszkać ty w Vigacie, a Rebeka w Pawii?

— Ale z ciebie nudziarz! Nazywa się Rachela. Nie, nie złożyła podania o przeniesienie. To byłoby przedwcześnie.

— No tak, ale prędzej czy później je złoży, prawda?

Mimě zaczerpnął głęboko powietrza, jakby chciał zanurkować.

— Nie sądzę, żeby tak było.

— Dlaczego?

— Bo postanowiliśmy, że to ja wystąpię o przeniesienie.

Oczy Montalbana zamieniły się w oczy węża — nieruchome, lodowate.

„Teraz z warg wysunie mu się rozszczepiony język” — pomyślał Augello, czując, że zlewa się potem.

— Mimě, ale z ciebie sukinsyn! Wczoraj wieczorem powiedziałaś mi tylko pół prawdy. Powiedziałaś o ślubie, ale nie o przeniesieniu — a ono właśnie jest dla mnie najważniejsze. I doskonale o tym wiesz.

— Przysięgam, Salvo, że bym ci powiedział! Gdyby nie ta twoja dziwna reakcja, która całkiem wytrąciła mnie z równowagi...

— Mimě, spójrz mi w oczy i powiedz prawdę: złożyłeś już podanie?

— Tak, złożyłem, ale...

— Co powiedział Bonetti–Alderighi?

— Że to trochę potrwa. I powiedział też... To nieważne.

— Mów.

— Powiedział, że się cieszy. Że pora już, aby ta szajka kamorystów... tak właśnie powiedział... którą jest komisariat w Vigacie, nareszcie zaczęła się rozpraszać.

— A ty?

— No cóż...

— Mów, nie każ się prosić.

— Zabrałem z powrotem podanie, które leżało na jego biurku. Powiedziałem, że chcę się zastanowić.

Montalbano długo milczał. Mimě był mokry od potu, jakby wyszedł z kąpieli. Potem komisarz wskazał mu stertę papieru przyniesioną przez Catarellę.

— To cała zawartość komputera Nenč Sanfilippa. Powieść i dużo listów, nazwijmy je miłosnymi. Kto lepiej od ciebie nadaje się do przeczytania tego wszystkiego?

4

Zatelefonował Fazio, żeby podać nazwisko kierowcy, który prowadził autokar z Vigaty do Tindari i z powrotem. Filippo Tortonci, syn Gioacchina i... Zatrzymał się w porę, bo nawet przez telefon wyczuł rosnące zdenerwowanie komisarza. Dodał, że Tortonci jest nieobecny, bo ma właśnie kurs, ale pan Malaspina, z którym sporządza listę uczestników wycieczki, obiecał, iż wyśle go do komisariatu natychmiast po powrocie, około trzeciej po południu. Montalbano spojrział na zegarek: miał dwie godziny wolnego.

Skierował się odruchowo do zajazdu „San Calogero”. Właściciel przyniósł mu zaraz na przystawkę talerz z owocami morza. Komisarz poczuł nagle, że jakieś obcegi zaciskają mu żołądek. Nie będzie mógł jeść. Na widok kalmarów, ośmiorniczek i małży zrobiło mu się niedobrze. Podniósł się gwałtownie.

Calogero, właściciel i zarazem kelner, rzucił się w jego stronę, zaniepokojony w najwyższym stopniu.

— Panie komisarzu, co się stało?

— Nic, nic, Calogero, straciłem apetyt.

— Niechże pan nie obraża tych przekąsek, nie mogą być świeższe. Źle się pan czuje?

Przyszła mu do głowy wymówka.

— No wiesz, mam lekkie dreszcze, może to początek grypy.

Wyszedł, wiedząc teraz, dokąd pójść. Pod latarnię morską, aby usiąść na płaskiej skale, która stała się dla niego jakby skałaplączu. Siedział tam również poprzedniego dnia, kiedy rozmyślał o swoim towarzyszu z 1968 roku... nie pamiętał już, jak on się nazywa. Skała płączu. Rzeczywiście,

płakał tu, kiedy dowiedział się, że jego ojciec umiera. Teraz tu wracał, bo dowiedział się, że coś się kończy; nie zamierzał z tego powodu przelewać łez, ale doświadczał głębokiego bólu. Tak, to koniec, bez żadnej przesady. Nie liczy się, że Mimě wycofał wniosek o przeniesienie; liczy się to, że go złożył.

Wszyscy wiedzieli, że Bonetti–Alderighi to imbecyl; dowiódł tego raz jeszcze nader dobitnie, nazywając jego komisariat szajką kamorystów. W rzeczywistości komisariat stanowił jednolitą, zwartą drużynę, dobrze naoliwiony mechanizm, którego każde kółko miało swoją funkcję i swoją — dlaczego by nie? — osobowość; a pasem transmisyjnym, który wprawiał go w ruch, był właśnie Mimě Augello. Trzeba nazwać sprawę po imieniu: rysa, początek pęknięcia. Dokładnie tak — początek końca. Jak długo jeszcze Mimě może się opierać? Dwa miesiące? Trzy? Potem ustąpi wobec nalegań, wobec łez Rebeki... nie, Racheli... no i do widzenia.

— A ja? — zapytał. — Co ja zrobię?

Jednym z powodów, dla których obawiał się awansu i nieuchronnego przeniesienia, była pewność, że gdzie indziej nie potrafi już sformować takiego zespołu, jaki udało mu się cudem stworzyć w Vigacie. Myśląc tak, zdawał sobie jednak sprawę, że to nie jest ta pełna prawda, która tak go boli, która przysparza mu cierpienia... Otóż to, nareszcie użyłeś właściwego słowa, wstydziliś się go? Powtórz — cierpienia. Mimě był mu nadzwyczaj drogi, komisarz uważał go za kogoś więcej niż przyjaciela, za młodszego brata; dlatego zapowiedziane odejście podziałało nań jak wystrzelona w pierś rewolwerowa kula. W jego umyśle pojawiło się na moment słowo „zdrada”. Do tego Mimě odważył się zwierzyć Livii, mając absolutną pewność, że ona nie powie nic jemu, który jest przecież — tak, do diabła! — jej mężczyzną! Może powiedział jej też o ewentualnym wniosku o przeniesienie, a ona również i o tym mu nie wspomniała — znakomita współpracowniczka swojego przyjaciela Mimě! Co za wspianiała para!

Zrozumiał, że cierpienie zmienia się w nim w nedorzeczną, głupią wściekłość. Ogarnął go wstyd: to, co w tej chwili myślał, zupełnie do niego nie pasowało.

Filippo Tortorici zgłosił się kwadrans po trzeciej, nieco zadyszany. Był to człowieczek po pięćdziesiątce, chudy, z kępką włosów pośrodku łysej głowy. Zupełnie jak pewien ptak, którego Montalbano widział na filmie dokumentalnym o Amazonii.

— O czym chce pan ze mną rozmawiać? Pan Malaspina, mój pracodawca, kazał mi do pana zaraz przyjść, ale nie powiedział, o co chodzi.

— Czy to pan prowadził autokar na trasie Vigata–Tindari w zeszłą niedzielę?

— Tak jest, ja. Kiedy firma organizuje takie wycieczki, zawsze mnie wysyłają. Klienci proszą właściciela, żebym to ja prowadził. Mają do mnie zaufanie; jestem opanowany i spokojny z natury. Trzeba ich zrozumieć, to wszystko staruszkowie, mają różne potrzeby.

— Często robicie takie wycieczki?

— W lecie przynajmniej raz na dwa tygodnie. Raz do Tindari, raz do Erice, raz do Syrakuz, raz do...

— Pasażerowie zawsze ci sami?

— Około dziesięciorga. Inni się zmieniają.

— Czy wiadomo panu, że państwo Alfonso i Margherita Griffo uczestniczyli w niedzielnej wycieczce?

— Oczywiście! Mam dobrą pamięć. Ale dlaczego pan pyta?

— Nie wie pan? Zaginęli.

— Matko Boska! Co znaczy — zaginęli?

— Znaczy, że po tej podróży nikt już ich nie widział. Mówiono nawet w

telewizji, że syn jest zrozpaczony.

— Nic nie wiedziałem, zapewniam pana.

— Proszę pana, znał pan państwa Griffo przed wycieczką?

— Nie, nigdy ich przedtem nie widziałem.

— No to skąd pan wie, że byli w autokarze?

— Bo właściciel zawsze daje mi listę. A ja przed wyjazdem ją sprawdzam.

— Robi pan to samo także przed powrotem?

— Oczywiście! Griffo byli wtedy obecni.

— Proszę mi opowiedzieć, jak przebiegają takie podróże.

— Wyjeżdżamy na ogół około siódmej rano — w zależności od tego, jak daleko jest do celu. Pasażerowie to wszystko ludzie w pewnym wieku, emeryci i tym podobni. Jadą nie po to, żeby zobaczyć na przykład Czarną Madonnę z Tindari, ale żeby spędzić dzień w towarzystwie. Rozumie pan? Dzieci podorastały, są daleko, przyjaciół brak... Podczas podróży ktoś umila im czas, zachwalając rozmaite towary: sprzęt gospodarstwa domowego, kołdry, czy ja wiem... Przyjeżdżamy zawsze akurat na południową mszę świętą. Na obiad idą do restauracji, z którą pan Malaspina ma umowę; rachunek jest wliczony w cenę biletu. A wie pan, co robią po obiedzie?

— Nie wiem, proszę mi powiedzieć.

— Wracają do autokaru i ucinają sobie drzemkę. Kiedy się obudzą, idą na spacer po miejscowości, kupują jakieś drobiazgi, pamiątki. O szóstej, znaczy o osiemnastej, sprawdzam listę i odjeżdżamy. O ósmej, w połowie drogi, jest przewidziany postój; idą do kawiarni na kawę z mlekiem i biszkopty, to też wliczone w cenę. Do Vigaty powinniśmy dojechać około dziesiątej wieczór.

— Dlaczego mówi pan „powinniśmy”?

— Bo w rzeczywistości zawsze przyjeżdżamy później.

— A to dlaczego?

— Panie komisarzu, powiedziałem już panu: podróżują sami staruszkowie.

— No i co z tego?

— Jeśli pasażer albo pasażerka prosi mnie, żebym się zatrzymał przy najbliższym barze albo stacji obsługi, bo musi pójść za potrzebą, to co mam robić? Zatrzymuję się.

— Zrozumiałem. Przypomina pan sobie, czy w podróży powrotnej w zeszłą niedzielę ktoś pana prosił, żeby się pan zatrzymał?

— Panie komisarzu, dojechałem przez nich dopiero tuż przed jedenastą! Trzy razy musiałem stawać! Ostatni raz na niecałe pół godziny drogi przed Vigatą! Zapytałem wtedy nawet, czy nie wytrzymają, bo zaraz dojeżdżamy. Nie dali się przekonać. I wie pan, co się dzieje? Kiedy wysiądzie jeden, wysiadają za nim wszyscy inni, wszyscy za potrzebą — no i traci się masę czasu.

— Nie pamięta pan, kto prosił pana ostatnim razem, żeby pan stanął?

— Nie, szczerze mówiąc, nie przypominam sobie.

— Zdarzyło się coś szczególnego, ciekawego, niezwykłego?

— A co się miało zdarzyć? Jeśli się zdarzyło, niczego nie zauważyłem.

— Czy jest pan pewien, że państwo Griffio wrócili do Vigaty?

— Panie komisarzu, ja po powrocie nie mam obowiązku sprawdzać znowu listy. Gdyby ci państwo nie wsiedli po jakimś postoju, zauważyliby to ich towarzysze podróży. Zresztą przed odjazdem trąbię trzy razy i czekam przynajmniej trzy minuty, często dłużej.

— Pamięta pan, gdzie zatrzymywał się pan ponadplanowo w podróży powrotnej?

— Tak jest. Pierwszy raz na drodze szybkiego ruchu do Enny, przy stacji benzynowej Cascino; drugi — na szosie Palermo–Montelusa przy zajeździe

„San Gerlando”. I ostatni raz przy barze „Paradiso”, o pół godziny drogi stąd.

Fazio pojawił się tuż przed siódmą.

— Nie spieszyło ci się.

Policjant nie odpowiedział. Kiedy komisarz przyganiał mu bez powodu, znaczyło to, że po prostu chce się wyładować. Odpowiadając, pogorszyłyby sytuację.

— Więc tak, panie komisarzu. W tej wycieczce uczestniczyło czterdzieści osób. Osiemnaście małżeństw równa się trzydzieści sześć, dwie panusie, które często tak sobie jeżdżą, to już trzydzieści osiem, i dwaj bliźniacy Lagana, którzy nie przepuszczają żadnej wycieczki, nie są żonaci i mieszkają razem. Bliźniacy Lagana byli w tym towarzystwie najmłodsi, mają po pięćdziesiąt osiem lat. Wśród uczestników byli również państwo Griffo, Alfonso i Margherita.

— Zawiadomiłeś wszystkich, że mają tu przyjść jutro rano o dziewiątej?

— Tak jest. Nie przez telefon, tylko chodząc od domu do domu. Melduję, że dwoje nie będzie mogło jutro przyjść; jeśli chcemy ich przesłuchać, musimy sami się do nich wybrać. Nazywają się Scime: ona jest chora, nabawiła się grypy, mąż nie może ruszyć się z domu, musi przy niej siedzieć. Panie komisarzu, pozwoliłem sobie na pewną inicjatywę.

— Jaką?

— Podzieliłem ich na grupy. Mają przychodzić po dziesięć osób co godzinę. Będzie mniej zamieszania.

— Dobrze zrobiłeś, Fazio. Dziękuję, możesz odejść.

Fazio jednak nie ruszył się. Nadeszła chwila zemsty za niezasłużoną burę, która mu się dostała przed kilkoma minutami.

— W związku z tym, że mi się nie spieszyło, chciałem panu powiedzieć,

że byłem też w Montelusie.

— Po co tam pojechałeś?

„Co się dzieje z tym komisarzem? Zapomina teraz o różnych sprawach”.

— Nie pamięta pan? Pojechałem wykonać pańskie zlecenie. Porozmawiać w firmie Manzo o wystawionym przez nich czeku na dwa miliony, który znaleźliśmy w kieszeni Nenč Sanfilippa. Wszystko jest w porządku. Pan Manzo płacił mu milion miesięcznie, bo chłopak doglądał w biurze komputerów, regulował, reperował... Wystawili mu czek na podwójną sumę, bo w zeszłym miesiącu omyłkowo mu nie zapłacili.

— A więc Nenč miał pracę...

— Miał pracę? Pieniądze z firmy Manzo w najlepszym razie starczały mu na czynsz! A skąd brał całą resztę?

Mimě Augello stanął w drzwiach, kiedy już się ściemniło. Miał zaczerwienione oczy. Komisarzowi przyszło do głowy, że to od płaczu, że Mimě płakał, nagle zdjęty skruchą. Było to zresztą w modzie. Wszyscy — poczynając od papieża, a kończąc na ostatnim mafiosie — wyrażali z jakiegoś powodu skruchę. Ale nie, gdzie tam! Augello powiedział z miejsca:

— Rujnuję sobie wzrok nad tymi papierami Nenč Sanfilippa! Przeczytałem już połowę listów.

— Czy to tylko jego listy?

— Skądże! To prawdziwa korespondencja obustronna. Listy jego i listy jakiejś kobiety, która się nie podpisuje.

— Ile ich jest?

— Około pięćdziesięciu od niego i drugie tyle od niej. Przez pewien czas pisywali do siebie co drugi dzień... Robili to ze sobą, a potem komentowali.

— Nic nie rozumiem.

— Zaraz ci wytłumaczę. Przypuśćmy, że w poniedziałek szli razem do łóżka. We wtorek wymieniali listy, w których komentowali z wszelkimi szczegółami to, czego dokonali w dniu poprzednim. Z jej i z jego punktu widzenia. W środę spotykali się znowu i dzień później do siebie pisali. Listy maksymalnie sprośne i świńskie, chwilami musiałem się rumieniść.

— Są datowane?

— Tak, zawsze.

— Coś mi tu nie pasuje. Wiadomo, jak działa nasza poczta. Jak to możliwe, żeby listy dochodziły regularnie następnego dnia?

Mimě pokręcił głową.

— Nie sędzę, żeby wysyłali je pocztą.

— No to jak?

— Nie wysyłali w ogóle. Wręczali przy spotkaniu. Potem prawdopodobnie czytali je sobie w łóżku, zanim zaczęli się rypać. To bardzo podniecające.

— Mimě, od razu widać, że naprawdę znasz się na rzeczy. Czy w tych listach oprócz daty podana jest miejscowość?

— Listy Nenč pisane są zawsze w Vigacie, listy kobiety — w Montelusie albo, rzadziej, także w Vigacie. To potwierdza pewne moje przypuszczenie. Spotykali się zarówno tutaj, jak i w Montelusie. Ona jest mężatką. Oboje często wspominają o mężu, ale nie wymieniają nigdy jego imienia. Okres, w którym spotykali się najczęściej, zbiega się z podróżą rogacza za granicę. Powtarzam: imienia męża nigdy nie wymieniają.

— Mimě, nasuwa mi się pewna myśl. Czy to wszystko nie jest oszukaństwem, wymysłem tego chłopaka? Może tej kobiety w ogóle nie ma, może istniała tylko w jego erotycznych fantazjach?

— Uważam, że listy są autentyczne. Wpisał je do komputera i zniszczył oryginały.

— Skąd jesteś taki pewny, że są autentyczne?

— Na podstawie tego, co pisze ona. Jej listy opisują drobiazgowo, ze szczegółami, które nam, mężczyznom, nigdy nie przysłyby do głowy, to, co czuje kobieta podczas stosunku. Widzisz, oni to robili na wszystkie sposoby — normalnie, ustami, od tyłu, we wszystkich możliwych pozycjach i w różnych okolicznościach, a ona za każdym razem mówi coś nowego, coś bardzo intymnego. Gdyby chłopak sam to wszystko wymyślił, zostałby wkrótce z pewnością wielkim pisarzem.

— Dokąd doszedłeś?

— Zostało mi do przeczytania jeszcze ze dwadzieścia listów. Potem wezmę się do powieści. Wiesz, Salvo, chyba się domyślam, kim jest ta kobieta.

— No to mi powiedz.

— Jeszcze za wcześnie. Muszę się zastanowić.

— Ja też zaczynam się czegoś domyślać.

— A mianowicie?

— Że to kobieta już nie najmłodsza, która wzięła sobie dwudziestoletniego kochanka i sownie go opłacała.

— No tak. Tyle że jeśli to naprawdę kobieta, którą mam na myśli, to nie jest podstarzała, jest raczej dość młoda. I nie wchodziły w grę pieniądze.

— Więc według ciebie wszystko tłumaczy się zdradą małżeńską?

— Dlaczego nie?

— Może masz rację.

Nie, Mimě nie miał racji. Montalbano wyczuwał węchem, wyczuwał przez skórę, że za zabójstwem Nenč Sanfilippa kryło się coś bardzo poważnego. Dlaczego więc zgadzał się z hipotezą przyjaciela? Żeby go udobruchać? Szukał właściwego słowa. Jest: żeby mu schlebić. Niegodnie mu schlebiał.

Być może zachowywał się jak ten redaktor naczelny w filmie *Strona tytułowa*, poruszający niebo i ziemię, aby jego najlepszy dziennikarz nie przeniósł się z powodu kobiety do innego miasta. Była to komedia z Matthauem i Lemmonem w rolach głównych, uśmieiał się wtedy do łez. Dlaczego teraz, kiedy ją sobie przypominał, nie miał chęci nawet lekko się uśmiechnąć?

— Livio, witaj, co u ciebie? Chciałem zadać ci dwa pytania, a później coś powiedzieć.

— Jakie numery mają te pytania?

— Co takiego?

— No, jaka jest liczba dziennika?

— Przestań...

— Czy nie zdajesz sobie sprawy, że zwracasz się do mnie, jakbym była w twoim biurze?

— Przepraszam, nie miałem najmniejszego zamiaru...

— Dobrze już, przejdźmy do pierwszego pytania.

— Livio, wyobraź sobie, że mieliśmy stosunek miłosny...

— Nie mogę, hipoteza jest zbyt odległa.

— Proszę cię, to poważne pytanie.

— No dobrze, poczekaj, niech sobie przypomnę. Już. Mów dalej.

— Czy następnego dnia wysłałabyś mi list opisujący wszystko, co czułaś?

Nastąpiło bardzo długie milczenie. Montalbano pomyślał już, że Livia odeszła od telefonu, że po prostu się na niego wypięła.

— Livio, jesteś tam?

— Zastanawiałam się. Nie, ja osobiście nie zrobiłabym tego. Ale może

zrobiłaby to inna kobieta pod wpływem silnej namiętności.

— Drugie pytanie: kiedy Mimě Augello zwierzył ci się, że zamierza się ożenić...

— Boże święty, Salvo, jaki ty potrafisz być nudny!

— Pozwól mi skończyć. Powiedział ci też wtedy, że złoży wniosek o przeniesienie? Powiedział ci czy nie?

Teraz zapadło milczenie jeszcze dłuższe niż przedtem. Montalbano wiedział jednak, że Livia jest przy telefonie. Słyszał jej ciężki oddech. Zapytała wreszcie cichutko:

— Zrobił to?

— Tak, Livio, zrobił. Tyle że kwestor powiedział mu wtedy coś głupiego i on wycofał podanie. Ale myślę, że chwilowo.

— Wierz mi, Salvo, nie wspomniał ani słowem o ewentualnym opuszczeniu Vigaty. I sądzę, że mówiąc, iż zamierza się ożenić, wcale o tym nie myślał. Przykro mi, okropnie mi przykro. Rozumiem, jak bardzo cię to martwi. Ale co chciałeś mi powiedzieć?

— Że tęsknię za tobą.

— Naprawdę?

— Tak, bardzo.

— Jak bardzo?

— Bardzo, bardzo.

No tak. Mówić banały najbardziej oczywiste — i z pewnością najbardziej prawdziwe.

Dopiero co położył się do łóżka z książką Vazqueza Montalbana. Zaczął lekturę od początku. Gdy kończył trzecią stronę, zadzwonił telefon. Namyslał się przez chwilę. Bardzo chciał nie podnosić słuchawki, ale mogli przecież

dzwonić i dzwonić, doprowadzając go do szaleń.

— Halo? Mówię z komisarzem Montalbano?

Nie rozpoznał głosu.

— Tak.

— Panie komisarzu, przepraszam, że przeszkadzam panu o tej porze, kiedy zażywa pan upragnionego wypoczynku na łonie rodziny...

Jakiej znowu rodziny? Czy oni wszyscy pogłupieli, żeby mówić mu o rodzinie, której nie ma?

— Ale kto mówi?

— ...byłem jednak pewien, że teraz pana zastanę. Mówi mecenas Guttadauro. Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina...

Jakżeby mógł zapomnieć Guttadaura, ulubionego adwokata mafii! Tego samego, który w związku z zabójstwem przepięknej Micheli Licalzi usiłował wrobić ówczesnego szefa ostrego pogotowia policyjnego w Montelusie. Nawet gnida miała większe poczucie honoru od Orazia Guttadaura.

— Mecenasiu, mogę pana na chwilę przeprosić?

— Ależ, panie komisarzu! To ja muszę...

Dał mu mówić dalej, a sam poszedł do łazienki. Opróżnił pęcherz, dokładnie obmył twarz. Rozmawiając z Guttadaurem, musiał być rozbudzony i czujny, aby nie uszły jego uwagi najdrobniejsze niuanse.

— Już jestem, mecenasiu.

— Dziś rano, drogi panie komisarzu, odwiedziłem mojego starego przyjaciela i klienta, pana Balduccia Sinagrę, znanego panu zapewne jeśli nie osobiście, to przynajmniej z nazwiska.

Nie z nazwiska, ale ze sławy. Głowa jednej z dwóch rodzin mafijnych — drugiej przewodzili Cuffaro — walczących ze sobą o kontrolę nad prowincją

Montelusa. Co najmniej jeden trup w miesiącu po obu stronach.

— Tak, słyszałem o nim.

— Doskonale. Pan Balduccio jest w bardzo podeszłym wieku, przedwczoraj skończył dziewięćdziesiąt lat. Ma różne dolegliwości... to w jego wieku normalne... ale umysłowo jest nadzwyczaj sprawny, pamięta wszystko i wszystkich, czyta gazety, ogląda telewizję. Odwiedzam go często, bo zachwyca mnie swoimi wspomnieniami i — jak pokornie przyznaję — swą niezwykłą mądrością. Proszę sobie wyobrazić, że...

Mecenasowi Guttadauro zebrało się chyba na żarty. Telefonuje do niego do domu o pierwszej w nocy, żeby mu pieprzyć o fizycznym i umysłowym stanie tego zbója Balduccia Sinagry, który im prędzej zdechnie, tym lepiej będzie dla wszystkich.

— Mecenasie, nie sądzi pan, że...

— Proszę mi wybaczyć tę długą dygresję, panie komisarzu, ale kiedy zaczynam mówić o panu Balduccio, dla którego żywię najwyższe uwielbienie...

— Mecenasie, proszę wziąć pod uwagę...

— Przepraszam, stokrotnie przepraszam. Wybaczył mi pan? Z pewnością tak. Przechodzę do rzeczy. Dziś rano pan Balduccio, mówiąc o tym i owym, o sprawach lepszych i gorszych, wymienił pańskie nazwisko.

— W związku ze sprawami lepszymi czy gorszymi? — wymknęło się mimo woli komisarzowi.

— Ależ, panie komisarzu! — obruszył się znowu adwokat.

— Dobrze, zapomnijmy o tym.

Nie powiedział nic więcej, chcąc, żeby mówił Guttadauro. Nadstawił jednak uszu.

— Zapytał o pana, o stan pańskiego zdrowia.

Lekki dreszcz przebiegł mu po plecach. Kiedy pan Balduccio pytał o czyjeś zdrowie, to w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto taka osoba trafiała po kilku dniach na cmentarz. Jednak i teraz komisarz nie otworzył ust, aby zachęcić Guttadaura do dalszych wypowiedzi. Gadaj sobie, ile chcesz, bałwanie.

— A więc chodzi o to, że bardzo chciałby się z panem zobaczyć — wypalił adwokat, zdradzając wreszcie, w czym rzecz.

— Nie ma sprawy — odpowiedział Montalbano z prawdziwie angielską zimną krwią.

— Dzięki, panie komisarzu, serdecznie dziękuję. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo cieszy mnie pańska odpowiedź! Byłem pewien, że spełni pan pragnienie starego człowieka, który mimo tego wszystkiego, co się o nim mówi...

— Przyjdzie do komisariatu?

— Kto?

— Jak to „kto?” Pan Sinagra. Czy nie powiedział pan przed chwilą, że chce się ze mną widzieć?

Guttadauro dwukrotnie chrząknął zakłopotany.

— Panie komisarzu, widzi pan, pan Balduccio porusza się z najwyższym trudem, nie trzyma się już na nogach. Byłoby mu nadzwyczaj ciężko przyjść do komisariatu, proszę mnie zrozumieć...

— Rozumiem doskonale, że ciężko byłoby mu przyjść do komisariatu.

Adwokat wolał nie dostrzec ironii. Zamilkł.

— A więc gdzie możemy się spotkać?

— No, pan Balduccio sugerował, że... gdyby pan był tak uprzejmy i zechciał do niego przyjechać...

— Nie mam nic przeciwko temu. Oczywiście będę musiał najpierw

zawiadomić moich zwierzchników.

Nie miał, rzecz jasna, najmniejszego zamiaru zawiadamiać tego głupca Bonetti–Alderighiego. Chciał jednak podroczyć się trochę z Guttadaurem.

— Czy to naprawdę nieodzowne? — zapytał żalonym głosem adwokat.

— No, powiedziałbym, że tak.

— Bo widzi pan, panie komisarzu, pan Balduccio miał na myśli rozmowę poufną, wysoce poufną, brzemienną, być może, w daleko idące konsekwencje...

— Brzemienną, powiedział pan?

— Tak, tak.

Montalbano westchnął głośno, z rezygnacją, jak handlowiec zmuszony do sprzedania czegoś poniżej kosztu zakupu.

— W takim razie...

— Czy odpowiadałoby panu jutro około osiemnastej trzydzieści? — spytał natychmiast adwokat, jakby w obawie, że komisarz się rozmyśli.

— Zgoda.

— Dziękuję, jeszcze raz dziękuję! Ani pan Balduccio, ani ja nie wątpiliśmy w pańską prawdziwie niezwykłą uprzejmość, w pańską...

Zaledwie wysiadł z samochodu o wpół do dziewiątej rano, już na ulicy usłyszał okropny hałas dochodzący z komisariatu. Wszedł do środka. Pierwsza dziesiątka wezwanych — pięciu mężów z małżonkami — przybyła z dużym wyprzedzeniem i zachowywała się teraz jak dzieci w przedszkolu. Wszyscy śmiali się, żartowali, klepali po policzkach, obejmowali. Montalbano pomyślał zaraz, że chyba powinno się rozważyć założenie miejskich przedszkoli dla ludzi w podeszłym wieku.

Catarella, któremu Fazio zlecił utrzymywanie porządku, wpadł na niefortunny pomysł i zawołał:

— Pan komisarz przyjechał osobiście we własnej osobie!

W mgnieniu oka przedszkole przekształciło się w pole bitwy. Popychając się, podstawiając sobie nogi, przytrzymując wzajemnie za ramię lub za połą marynarki, oczekujący rzucili się na komisarza. Każdy chciał być pierwszy. Podczas przepychanki mówili coś i pokrzykiwali, ogłuszając Montalbana niezrozumiałym potokiem słów.

— Co tu się dzieje? — zapytał marsowym głosem. Zapanował względny spokój.

— Proszę usilnie o unikanie jakiegokolwiek stronnictwa! — powiedział jeden z obecnych, na wpół karzeł, stając mu prawie pod nosem. — Powinniśmy być wywoływani w porządku ściśle alfabetycznym!

— Nie, nie i jeszcze raz nie! Proszę nas wywoływać podług wieku! — zawołał ze złością ktoś inny.

— Pan jak się nazywa? — spytał komisarz na wpół karła, który zdołał pierwszy dorwać się do głosu.

— Nazywam się Luigi Abate — wypalił tamten, wodząc wokół oczyma, jakby chciał się sprzeciwić ewentualnym zastrzeżeniom.

Montalbano pogratulował sam sobie wygranego zakładu. Był pewny, że na wpół karzeł, zwolennik wywoływania w porządku alfabetycznym, nosi nazwisko Abate albo Abete, jako że na Sycylii nie występują nazwiska w rodzaju Alvar Aalto.

— A pan?

— Arturo Zotta. I jestem najstarszy ze wszystkich tu obecnych!

Nie pomylił się też co do drugiego.

Komisarz przeszedł nie bez trudu między dziesiątką przybyłych, jakby torował sobie drogę w stuosobowym tłumie, i zabarykadował się w swoim pokoju z Faziem i Galluzzem. Na straży pozostawił Catarellę, który miał

zapobiegać nowym zamieszkom wśród starców.

— Jak to się dzieje, że wszyscy już tu są?

— Panie komisarzu, powiem więcej: o ósmej rano przyszły cztery wezwane osoby — dwa małżeństwa. Co tu mówić, są starzy, cierpią na bezsenność, teraz zżera ich ciekawość. Proszę sobie wyobrazić, że przyszła już jedna para, która miała się zgłosić o dziesiątej — tłumaczył mu Fazio.

— Posłuchajcie, uzgodnijmy sposób postępowania. Możecie stawiać im wszelkie pytania, jakie uznacie za stosowne, ale kilka będzie stanowczo niezbędnych. Zapiszcie sobie. Pierwsze: czy dana osoba znała państwa Griffo przed wycieczką? Jeśli tak, to gdzie, jak i kiedy ich poznała. Jeśli ktoś wam powie, że spotkał małżonków Griffo już przedtem, nie pozwólcie mu odejść, bo chciałbym z nim porozmawiać. Drugie pytanie: w którym miejscu siedzieli Griffo w autokarze podczas podróży w obie strony. Trzecie: czy rozmawiali z kimś w trakcie wycieczki? Jeśli tak, to o czym. Czwarte: czy dana osoba wie, co Griffo robili w ciągu dnia spędzonego w Tindari? Spotkali się z kimś? Byli u kogoś w domu? Każda informacja na ten temat ma kapitalne znaczenie. Piąte pytanie: czy Griffo wysiadali z autokaru na którymś z trzech ponadplanowych postojów w drodze powrotnej? Jeśli tak, to na którym? Czy widziano, że wsiadali z powrotem? Pytanie szóste i ostatnie: czy ktoś ich widział po przyjeździe autokaru do Vigaty?

Fazio i Galluzzo spojrzeli po sobie.

— Najwyraźniej pan sądzi, że coś im się przydarzyło w drodze powrotnej — powiedział Fazio.

— To tylko hipoteza, nad którą musimy popracować. Jeśli nam ktoś powie, że widział, jak spokojnie wysiedli w Vigacie i wrócili do domu, to ta hipoteza jest gównem warta. Musielibyśmy wtedy zaczynać wszystko od nowa. O jedno bardzo was proszę: trzymajcie się tematu, bo jeśli pofolgujecie tym starszkom, to koniec, gotowi będą wam opowiedzieć całe swoje życie. I

jeszcze coś. Pary przesłuchujcie następująco: jeden wypytuje żonę, a drugi męża.

— A to dlaczego? — spytał Galluzzo.

— Bo uzależnialiby swoje odpowiedzi od słów współmałżonka, prawdopodobnie zresztą w jak najlepszej wierze. Wy bierzecie każdy po trzy osoby, ja wezmę resztę. Jeśli będziecie robić, jak wam powiedziałem, to z bożą pomocą szybko sobie poradzimy.

Już przy pierwszym przesłuchaniu komisarz zdał sobie sprawę, że prawie na pewno się pomylił w swoich przewidywaniach i że przesłuchanie może bardzo łatwo przybrać absurdalną formę.

— Poznaliśmy się przed chwilą. Pan nazywa się chyba Arturo Zotta, prawda?

— Prawda, prawda. Arturo Zotta, syn Giovanniego. Mój ojciec miał kuzyna, z zawodu blacharza. Często ich ze sobą mylono. Bo mój ojciec...

— Panie Zotta, ja...

— Chciałem też oświadczyć, że jestem ogromnie zadowolony.

— Z czego?

— Że zrobił pan tak, jak ja powiedziałem.

— Mianowicie?

— Zaczęliście przesłuchiwać podług wieku. Ja jestem najstarszy ze wszystkich. Za dwa miesiące i pięć dni skończę siedemdziesiąt siedem lat. Starych trzeba szanować. Mówię to i powtarzam moim wnukom, tym łobuzom. Przez brak szacunku źle się na całym świecie dzieje. Pan w czasach Mussoliniego jeszcze się nie urodził. Wtedy, za Mussoliniego, był naprawdę szacunek! Jak nie okazywałeś szacunku, to ciach! Ścinali ci głowę. Przypominam sobie...

— Panie Zotta, nie przesłuchujemy w żadnym porządku, ani alfabetycznym, ani...

Starzec roześmiał się przeciągle.

— No i jak ja mogłem się pomylić? Przecież to było pewne! Właśnie tutaj, gdzie powinno być źródło wszelkiego porządku, mają porządek w dupie! Wszystko pierdolą! Robią, jak im się podoba! Więc ja was pytam: nie wstyd wam? A potem lamentujemy, że chłopaki się narkotyzują kradną, zabijają...

Montalbano przeklął sam siebie. Jak mógł dać się nabrać temu staremu gadule? Musiał zahamować ten potok, i to natychmiast, bo inaczej już się nie pozbiera.

— Panie Zotta, bardzo pana proszę, dość tych wykrętów.

— Co takiego?

— Nie dywagujmy!

— A kto tu dywaguje? Panu się zdaje, że wstałem o szóstej rano, żeby tu przyjść i dywagować? Myśli pan, że nie mam nic lepszego do roboty? Prawda, jestem emerytem, ale...

— Znał pan państwa Griffo?

— Griffo? Nigdy ich nie widziałem przed tą wycieczką. I mogę powiedzieć, że nie znam ich także po wycieczce. Nazwisko, owszem, jest mi znane, usłyszałem je, kiedy kierowca sprawdzał listę, a oni odpowiedzieli: „Obecni”. Nie ukłoniliśmy się sobie i nie rozmawialiśmy ze sobą. W ogóle nic. Siedzieli cicho jak myszy, osobno, z nikim się nie zadawali. Wie pan, panie komisarzu, na takich wycieczkach jest przyjemnie, kiedy wszyscy umieją dotrzymać sobie towarzystwa. Ludzie żartują, śmieją się, śpiewają piosenki. Ale kiedy...

— Jest pan pewien, że nigdy nie spotkał pan państwa Griffo?

— A gdzie miałbym ich spotkać?

— No, na przykład na targu, w sklepie tytoniowym...

— Zakupy robi moja żona, a ja nie palę. Ale...

— Ale co?

— Znałem jednego takiego, co się nazywał Piętro Giffo. Może to jakiś krewny, w nazwisku brak tylko litery „r”. Ten Giffo, z zawodu komiwojażer, lubił sobie pożartować. Pewnego razu...

— Spotkał pan może państwa Griffo podczas pobytu w Tindari?

— Ja z żoną, kiedy dojedziemy na miejsce, zawsze rozstajemy się z resztą wycieczkowiczów. Przyjeżdżamy do Palermo? Mam tam szwagra. Przyjeżdżamy do Erice? Mam tam kuzyna. Cieszą się, zapraszają na obiad. A w Tindari to już zupełnie! Mam tam wnuka Filippa, przyszedł po nas do autokaru, zaprowadził do domu, jego żona na pierwsze podała zapiekankę, a na drugie...

— Kiedy kierowca odczytał listę przed powrotem, Griffo odpowiedzieli?

— Tak jest, słyszałem, że odpowiedzieli.

— Zauważył pan, czy wysiadali na jednym z ponadplanowych postojów w drodze powrotnej?

— Panie komisarzu, powiedziałem już panu, że mój wnuk Filippo zaprosił nas na obiad. Napełniliśmy sobie brzuchy tak, że ledwo mogliśmy wstać z krzeseł! Kiedy zatrzymaliśmy się na kawę i ciastka, nie chciałem nawet wsiąść, ale żona mi przypomniała, że przecież za to zapłaciliśmy. Niby z jakiej racji mieliśmy marnować pieniądze? Więc wypłem tylko trochę mleka i zjadłem dwa biszkopty. No i zaraz zachciało mi się spać. Zawsze tak ze mną jest po jedzeniu. Krótko mówiąc, zasnąłem. I chwała Bogu, że nie wypłem kawy! Bo musi pan wiedzieć, mój panie, że kawa...

— ...nie daje panu zasnąć. Po przyjeździe do Vigaty widział pan wysiadających Griffo?

— Szanowny panie, była późna godzina, ciemno, nie wiedziałem nawet, czy wysiadła moja żona!

— Pamięta pan, gdzie siedzieliście?

— Pamiętam doskonale, gdzie siedzieliśmy ja i moja żona. W samym środku autokaru. Przed nami siedzieli państwo Bufalotta, za nami Raccuglia, z boku Persico. Znaliśmy się wszyscy, to była nasza piąta wspólna wycieczka. Biedni Bufalotta potrzebują trochę odprężenia. Pippino, ich najstarszy syn, umarł, kiedy...

— Pamięta pan, gdzie siedzieli Griffio?

— Chyba w ostatnim rzędzie.

— Tam, gdzie jest pięć miejsc, jedno obok drugiego, bez poręczy?

— Chyba tak.

— Dobrze, to wszystko, panie Zotta, może pan odejść.

— Co to znaczy?

— Znaczy, że skończyliśmy i może pan wrócić do domu.

— Jak to? To tak się, kurwa, robi? Dla takiego głupstwa niepokoi się siedemdziesięciosiedmioletniego starca i jego siedemdziesięciopięcioletnią żonę? Wstaliśmy o szóstej rano! Co to za maniery?

Kiedy ostatni ze staruszków sobie poszedł, była już prawie pierwsza. Komisariat wyglądał teraz jak miejsce po pikniku z udziałem tłumu ludzi. Brakowało tylko trawy, ale gdzie ją dziś można znaleźć? Ta, która przeżyła jeszcze za miastem, zasługuje na miano trawy? Garść przywiedłych, pożółkłych źdźbeł; włożysz w nie rękę i w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach możesz być pewien, że ukłujesz się leżącą tam strzykawką.

Z powodu takich miłych myśli komisarza znowu zaczęła ogarniać złość. Zauważył przy tym, że Catarella, któremu zlecono posprzątać, stanął nagle

jak wryty z miotłą w jednej ręce i z czymś, co trudno było rozpoznać, w drugiej.

— Patrzcie, patrzcie, patrzcie — pomrukiwał ze zdziwieniem, przyglądając się podniesionemu z podłogi przedmiotowi.

— Co to takiego?

Catarella nagle poczerwieniał.

— Per...zerwatywa, panie komisarzu!

— Używana? — zdumiał się Montalbano.

— Nie, panie komisarzu, jeszcze w opakowaniu.

No, proszę — jedyna różnica w porównaniu z pozostałościami po prawdziwym pikniku. Cała reszta to takie same zasmucające śmieci: papierowe serwetki, niedopałki, puszki po coca — coli, piwie, oranżadzie, butelki po wodzie mineralnej, okruchy chleba i herbatników, w jakimś kącie nawet powoli rozpuszczające się lody w rożku.

Stało się coś, z czym Montalbano się liczył i co stanowiło bez wątpienia jedną z przyczyn — może nawet najważniejszą — jego złego humoru: z pobieżnego zestawienia zebranych odpowiedzi wynikało, że o państwie Griffo wie teraz dokładnie tyle co przedtem.

W autokarze były pięćdziesiąt trzy miejsca siedzące, nie licząc fotela kierowcy. Czterdziestu wycieczkowiczów zgrupowało się w przedniej części wozu: dwudziestu po jednej, dwudziestu po drugiej stronie przejścia. Natomiast małżonkowie Griffo podczas podróży w obie strony siedzieli we dwójkę w ostatnim, pięciomiejscowym rzędzie, mając za plecami wielkie tylne okno. Do nikogo się nie odezwali i nikt nie odezwał się do nich. Fazio przytoczył dosłownie wypowiedź jednego z pasażerów: „Wie pan co? Po pewnym czasie zapomnieliśmy o nich. Tak jakby nie siedzieli z nami w tym

samym autokarze”.

— Ale, ale — powiedział nagle komisarz. — Brakuje nam jeszcze zeznania tej pary, z której zachorowała żona. Nazywają się chyba Scime.

Fazio lekko się uśmiechnął.

— Myśli pan, że pani Scime odpuściłaby sobie tę zabawę? Jej przyjaciółki by tu były, a ona nie? Ledwo trzymała się na nogach, ale przysłała w towarzystwie męża. Miała gorączkę, trzydzieści dziewięć stopni. Ja rozmawiałem z nią, Galluzzo — z mężem. Niczego się nie dowiedzieliśmy, chora mogła oszczędzić sobie trudu.

Spojrzeni po sobie zmartwieni.

— Noc stracona, mamy dziewczynkę — skomentował Galluzzo, cytując anegdotycznego męża, który spędziwszy całą noc u boku rodzącej żony, stwierdził, że zamiast upragnionego chłopczyka przyszło na świat dziecko płci żeńskiej.

— Idziemy na obiad? — zapytał Fazio, wstając.

— Wy idźcie, ja jeszcze zostanę. Kto jest dyżurnym?

— Gallo.

Pozostał sam i zaczął się przyglądać wykonanemu przez Fazia szkicowi, który przedstawiał schematycznie wnętrze autokaru. U góry odosobniony kwadracik z napisem „kierowca”. Poniżej dwanaście rzędów po cztery kwadraciki każdy, w środku kwadracików nazwiska pasażerów.

Komisarz uświadomił sobie, że Fazio zdołał się oprzeć wielkiej pokusie: zapewne pragnął wyrysować olbrzymie prostokąty, wypełnione kompletnymi danymi personalnymi tych ludzi — imię, nazwisko, imię ojca, imię matki... Na ostatnim, pięciomiejscowym rzędzie Fazio wypisał „Griffo” tak, że litery nazwiska zajmowały wszystkie pięć kwadracików; nie udało mu się

widocznie ustalić, na których z tych pięciu miejsc siedziała zaginiona para.

Montalbano spróbował wyobrazić sobie tę podróż. Po pierwszych powitaniach kilka minut nieuniknionego milczenia podczas zdejmowania szalików, czapek, kapeluszy, sprawdzania, czy w kieszeni są okulary, klucze od domu... Potem pierwsze oznaki wesołości, pierwsze głośne rozmowy, krzyżujące się w powietrzu zdania... Pytanie kierowcy: „Chcecie państwo, żebym nastawił radio?” Chóralna odpowiedź: „Nieeee!” Może od czasu do czasu ktoś, mężczyzna albo kobieta, odwracał się i rzucał okiem w głąb, w stronę ostatniego rzędu, gdzie siedzieli małżonkowie Griffio, nieruchomi i z pozoru głusi, ponieważ osiem pustych miejsc między nimi a pozostałymi pasażerami tworzyło rodzaj bariery, oddzielającej ich od dźwięków, słów, hałasu, wybuchów śmiechu.

W tym momencie Montalbano uderzył się ręką w czoło. Byłby zupełnie zapomniał! Kierowca powiedział mu coś bardzo konkretnego, a jemu całkiem wypadło to z pamięci.

— Gallo!

Z gardła wydobyło mu się nie tyle nazwisko, ile na wpół zduszony krzyk. Drzwi otwarły się szeroko, stanął w nich przestraszony Gallo.

— Co się stało, panie komisarzu?

— Zadzwoń natychmiast do przedsiębiorstwa przewozowego, zapomniałem, jak się nazywa. Jeśli ktoś tam jest, połącz mnie z nim zaraz.

Miał szczęście. Odpowiedział księgowy.

— Potrzebna mi pewna informacja. Czy podczas wycieczki do Tindari w zeszłą niedzielę był w autokarze ktoś jeszcze oprócz kierowcy i pasażerów?

— Oczywiście. Widzi pan, panie komisarzu, nasza firma pozwala akwizytorom sprzętu gospodarstwa domowego, środków czyszczących, drobnych przedmiotów dekoracyjnych...

Mówił to tonem króla okazującego łaskę.

— Ile każecie sobie płacić? — spytał Montalbano, niepokorny poddany.

Królewski ton rozmówcy zamienił się w żalosne jąkanie: — A—a—a więc trze—trzeba pa—pamiętać, że pro—procent...

— Mniejsza z tym. Proszę mi podać nazwisko akwizytora biorącego udział w tej wycieczce i jego numer telefonu.

— Halo? Mieszkanie państwa Dileo? Mówi komisarz Montalbano. Chciałbym rozmawiać z panią lub panną Beatrice.

— Z panną. To ja, panie komisarzu. Zastanawiałam się, kiedy zdecyduje się pan mnie przesłuchać. Gdyby nie odezwał się pan do wieczora, jutro sama przyszedłabym do komisariatu.

— Skończyła pani obiad?

— Jeszcze nawet nie zaczęłam. Dopiero co wróciłam z Palermo, miałam egzamin na uniwersytecie, a ponieważ jestem sama, powinnam teraz wziąć się do gotowania, ale nie bardzo mi się chce.

— Może zjadłaby pani ze mną?

— Dlaczego nie?

— No to za pół godziny w zajeździe „San Calogero”.

Ośmiu mężczyzn i cztery kobiety, posilający się właśnie w zajeździe, zawiesiło — jedni wcześniej, drudzy później — widelce w pół drogi do ust, ujrawszy wchodzącą dziewczynę. Prawdziwa piękność. Wysoka, szczupła, o długich blond włosach i błękitnych oczach; jedna z tych, które ogląda się na okładkach czasopism — z tą różnicą, że sprawiała zarazem wrażenie porządnej, lubiącej domowe życie panienki. Co ona robiła w zajeździe „San Calogero”? Zaledwie komisarz zdążył zadać sobie to pytanie, cudne

stworzenie podeszło do jego stolika.

— Komisarz Montalbano, prawda? Jestem Beatrice Dileo.

Usiadła. Montalbano milczał przez chwilę, lekko zakłopotany. Beatrice nie miała śladu makijażu, po prostu taka była. Może dlatego obecne tam kobiety patrzyły na nią nadal, ale bez zazdrości. Jak można zazdrościć jaśminowi z Arabii?

— Co zamawiacie? Mam dziś risotto w czarnym sosie z mątwy, coś naprawdę specjalnego.

— Dla mnie może być. A dla pani, Beatrice?

— Dla mnie też.

Montalbano zauważył z zadowoleniem, że nie dodała typowo kobiecego: dla mnie niedużo, dwie łyżki, jedna łyżka, trzynaście ziarenek ryżu, ani jednego więcej. Boże, jakie to antypatyczne!

— Na drugie miałbym okonie morskie, złowione tej nocy, albo...

— Dla mnie mogą być, bez albo. A dla pani?

— Dla mnie też.

— I dla pana, panie komisarzu, jak zwykle — mineralna i białe corvo. A dla pani?

— To samo.

Jaka zgodność! Czyżby już się pobrali?

— Proszę posłuchać, panie komisarzu — powiedziała Beatrice z uśmiechem — coś panu wyznam. Kiedy jem, nie potrafię mówić. Proszę więc mnie przesłuchać, zanim przyniosą risotto albo między jednym daniem a drugim.

Jezusie! A więc to prawda, że w życiu zdarzają się cuda, że można spotkać bratnią duszę! Szkoda tylko, że tak na oko musiała być ze dwadzieścia pięć

lat od niego młodsza.

— Jakie tam przesłuchanie! Proszę raczej opowiedzieć mi o sobie.

I tak — zanim nadszedł Calogero z risottem, które okazało się czymś więcej niż tylko daniem specjalnym — Montalbano wiedział już, że Beatrice ma rzeczywiście dwadzieścia pięć lat, że studiuje nadal na wydziale humanistycznym uniwersytetu w Palermo, gdzie nie zdążyła zrobić magisterium w terminie, że zarabia na życie i na studia jako akwizytorka w firmie Artykuły Gospodarstwa Domowego Sirio. Mimo swojego wyglądu była Sycylijką, bez wątpienia o normańskim rodowodzie, urodzoną w Aidone, gdzie mieszkali jeszcze jej rodzice. A ona dlaczego mieszka i pracuje w Vigacie? To proste. Dwa lata temu poznała w Aidone chłopaka stąd, który również studiował w Palermo, ale na wydziale prawa. Zakochali się w sobie, ona pokłóciła się okropnie z rodzicami, którzy byli przeciwni temu związkowi, no i pojechała za chłopakiem do Vigaty. Wynajęli mieszkanie na szóstym piętrze; blok był wprawdzie brzydki, ale z okna sypialni mieli widok na morze. Po niespełna czterech miesiącach szczęścia Roberto — tak nazywał się jej chłopak — zostawił miły liścik z zawiadomieniem, że przenosi się do Rzymu, gdzie czeka na niego narzeczona, daleka kuzynka. A ona nie miała już odwagi wracać do Aidone. Oto cała historia.

Potem zamilkli zgodnie z umową, z nosem, podniebieniem i gardłem wypełnionymi cudownym zapachem risotta.

Powrócili do rozmowy, czekając na ryby. O małżonkach Griffio zaczęła mówić Beatrice.

— Ci państwo, którzy zaginęli...

— Przepraszam. Skoro była pani w Palermo, skąd dowiedziała się pani, że...

— Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie dyrektor firmy Sirio. Powiedział, że wezwał pan wszystkich uczestników wycieczki.

— Aha. Dobrze, proszę mówić dalej.

— Jak się pan domyśla, muszę zabierać ze sobą artykuły okazowe. Jeśli autokar jest pełny, to te produkty, zajmujące dużo miejsca — dwa wielkie pudła — wsadzam do bagażnika; jeśli nie jest pełny, stawiam je w ostatnim rzędzie, tym o pięciu miejscach. Stawiam pudła na dwóch siedzeniach najbardziej oddalonych od drzwi, żeby nie przeszkadzały pasażerom wsiadać i wysiadać. Otóż państwo Griffo usiedli sobie właśnie w ostatnim rzędzie.

— Które z pozostałych trzech miejsc zajęli?

— No więc on to środkowe, naprzeciw przejścia; żona obok niego. Wolne pozostało miejsce najbliższe drzwi. Kiedy przyszedłam około wpół do siódmej...

— Z artykułami okazowymi?

— Nie, umieścił je w autokarze poprzedniego wieczoru pracownik firmy Sirio. Ten sam człowiek przychodzi je odebrać, kiedy wracamy do Vigaty.

— Proszę dalej.

— Kiedy zobaczyłam, że siedzą właśnie tam, gdzie stoją pudła, powiedziałam im, że mogą sobie wybrać lepsze miejsca, bo autokar jest jeszcze prawie całkiem pusty, a rezerwacja nie obowiązuje. Wyjaśniłam, że ponieważ muszę pokazywać towary, będę im przeszkadzać, chodząc tam i z powrotem. Ona nawet na mnie nie spojrzała, miała wzrok wbity gdzieś przed siebie, myślałam, że jest głucha. On natomiast wydawał się zmartwiony... nie, nie zmartwiony, raczej spięty... i odpowiedział, że mogę robić, co mi się podoba, ale oni wolą siedzieć właśnie tam. W połowie drogi, chcąc zacząć pracę, poprosiłam, żeby wstał. Wie pan, co wtedy zrobił? Popchnął tyłkiem tyłek żony, która przesunęła się na wolne miejsce przy drzwiach. Sam usiadł

obok niej, tak że mogłam wziąć moją patelnię. Ale jak tylko stanęłam zwrócona plecami do kierowcy, z mikrofonem w jednej ręce i patelnią w drugiej, Griffi wrócili zaraz na swoje dawne miejsca.

Uśmiechnęła się.

— Kiedy tak stoję, wydaję się sobie bardzo śmieszna. A jednak... Jeden z nieopuszczających prawie żadnej wycieczki klientów, pan Mistretta, zmusił już żonę do kupienia trzech kompletów naczyń kuchennych. Wyobraża pan sobie? Zakochał się we mnie — a jakie jadowite spojrzenia rzuca mi żona! No więc każdemu, kto coś kupi, dajemy w prezencie mówiący zegar, z tych, za które uliczni sprzedawcy każą sobie płacić dziesięć tysięcy lirów. Wszystkim uczestnikom wycieczki ofiarowujemy długopisy z nazwą firmy. Griffi nie chcieli ich przyjąć.

Przyniesiono ryby i znowu zapadło milczenie.

— Owoce? Kawa? — zapytał Montalbano, gdy z okoni zostały już, niestety, tylko ości i głowy.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała Beatrice. — Chętnie zachowam w ustach ten smak morza.

Nie bratnia dusza, ale wręcz siostra syjamska.

— Jednym słowem, panie komisarzu, przez cały czas zachwalania towarów spoglądałam chwilami na państwa Griffi. Siedzieli bez ruchu, tylko on obracał się raz po raz i patrzył przez tylną szybę, jakby się obawiał, że autokar jest ścigany przez jakiś samochód.

— Albo na odwrót — powiedział komisarz. — Jakby chciał sprawdzić, czy jakiś samochód jedzie jeszcze za autokarem.

— To możliwe. W Tindari nie poszli z nami na obiad. Kiedy wysiadaliśmy, oni jeszcze siedzieli. Kiedy zaś wsiadaliśmy znowu, siedzieli tam w dalszym ciągu. W drodze powrotnej nie wysiedli nawet na postoju

przewidzianym na wypicie kawy. Ale jednego jestem pewna: to on, pan Griffo, zażądał postoju przed barem „Paradiso”. Vigata była już blisko, kierowca chciał jechać dalej, ale on zaprotestował. No i wysiedli prawie wszyscy. Ja zostałam w autokarze. Potem kierowca nacisnął klakson, wycieczkowicze wsiedli i pojechaliśmy.

— Czy jest pani pewna, że wsiedli także Griffo?

— Tego pewna nie jestem. Podczas postoju zaczęłam słuchać muzyki z walkmana, miałam na uszach słuchawki i zamknęłam oczy. Krótko mówiąc, ogarnęła mnie senność. Otworzyłam oczy dopiero w Vigacie, kiedy większość pasażerów już wysiadła.

— Jest więc możliwe, że państwo Griffo byli już w drodze do domu.

Beatrice otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili je zamknęła.

— Proszę mówić — powiedział komisarz — cokolwiek ma pani na myśli. Pani może się to wydawać bez znaczenia, dla mnie może być ważne.

— No więc kiedy pracownik firmy wszedł do autokaru, żeby zabrać pudła, ja mu pomagałam. Ciągnąc pierwsze pudło, oparłam rękę na miejscu, gdzie kilka chwil wcześniej powinien siedzieć pan Griffo. Było zimno. Moim zdaniem ta para nie wsiadła z powrotem do autokaru po postoju przed barem „Paradiso”.

6

Calogero przyniósł rachunek, Montalbano zapłacił. Beatrice wstała, komisarz też, choć z odrobiną żalu. Ta dziewczyna to prawdziwy cud boski, ale cóż robić, cała sprawa tutaj się kończy.

— Odprowadzę panią — powiedział Montalbano.

— Mam samochód — odrzekła Beatrice.

W tym właśnie momencie pojawił się Mimě Augello. Dostrzegł Montalbana i skierował się ku niemu, lecz nagle stanął jak wryty, z szeroko otwartymi oczyma, jakby przeszedł obok niego ten anioł z ludowego podania, który mówi „amen”, sprawiając, że wszyscy nieruchomieją w różnych pozach. Najwidoczniej zauważył Beatrice. Potem odwrócił się nagle i chciał odejść.

— Mnie szukałeś? — zapytał go komisarz.

— Tak.

— To dlaczego chciałeś uciekać?

— Żeby nie przeszkadzać.

— Daj spokój, Mimě! Chodź tutaj. Przedstawiam pani mojego zastępcę, komisarza Augello. Panna Beatrice Dileo miała okazję podróżować w zeszłą niedzielę z państwem Griffo i opowiedziała mi ciekawe rzeczy.

Mimě wiedział tylko, że Griffo zaginęli. Nie znał szczegółów dochodzenia, ale nie ośmielał się otworzyć ust, stał ze wzrokiem wlepionym w dziewczynę.

Wtedy właśnie Diabeł, ten przez duże „D”, zmaterializował się u boku Montalbana. Niewidzialny dla wszystkich z wyjątkiem komisarza, miał

tradycyjne atrybuty: włochatą skórę, kozie kopytka, ogon, krótkie rogi. Komisarz poczuł, jak ognisty, ziejący siarką oddech piecze go w lewe ucho.

— Zapoznaj ich ze sobą bliżej — rozkazał Diabeł. I Montalbano dostosował się do jego woli.

— Czy ma pani jeszcze pięć minut?

— Tak. Mam wolne całe popołudnie.

— A ty, Mimě, jadłeś już obiad?

— Je...je...jeszcze nie.

— No to usiądź na moim miejscu i zamów, a pani powtórzy ci to, co opowiedziała mi na temat państwa Griffio. Ja mam, niestety, pilną sprawę do załatwienia. Zobaczymy się później w biurze. Panno Dileo, raz jeszcze bardzo dziękuję.

Beatrice usiadła ponownie, Mimě opadł na krzesło tak sztywno, jakby tkwił w średniowiecznej zbroi. Nie pojmował, jak mogło go spotkać tak wielkie szczęście — ale jeszcze większym zdumieniem napełniła go niezwykła uprzejmość Montalbana, który wyszedł z zajazdu, coś sobie nucąc. Zasiał ziarno; jeśli grunt okaże się żyzny (a co do żyzności gruntu u Augella nie miał żadnych wątpliwości), to ziarno wykiełkuje. A wtedy — żegnaj, Rebeko, czy jak cię tam zwa, żegnaj, wniosku o przeniesienie.

— Przepraszam, komisarzu, czy nie wydaje się panu, że trochę się pan wygłupił? — spytał Montalbana z oburzeniem głos jego sumienia.

— Ech, przestań wydziwiać! — brzmiała odpowiedź.

Właściciel kawiarni „Caviglione”, Arturo, stał oparty o futrynę drzwi i opalał się. Ubrany był jak żebrak, w wytarte i poplamione marynarkę i spodnie, choć posiadał cztery albo i pięć miliardów zarobionych na lichwie. Skąpiec z rodziny legendarnych skąpców. Pokazał raz komisarzowi poźólką

i upstrzoną przez muchy wywieszkę, którą na początku stulecia umieścił w lokalu jego dziadek: „Kto siada przy stoliku, musi bezwzględnie zamówić przynajmniej szklankę wody. Szklanka wody kosztuje dwa centymy”.

— Komisarzu, napije się pan kawy? Weszli do środka.

— Kawa dla pana komisarza! — zlecił Arturo barmanowi, wkładając do kasy pieniądze, które Montalbano wyjął z kieszeni. Gdyby pewnego dnia Arturo zdecydował się dać komuś za darmo choćby okruch rogalika, nastąpiłby kataklizm takich rozmiarów, że uszczęśliwiłby Nostradamusa.

— O co chodzi, Arturo?

— Chciałem z panem porozmawiać o tych Griffi. Ja ich znam, bo w lecie co niedziela siadali wieczorem przy stoliku, zawsze sami, i zamawiali lody: on cassatę, ona orzechowe z kremem. Widziałem ich tamtego dnia rano.

— Którego dnia?

— No, tego, kiedy pojechali do Tindari. Autokary zatrzymują się trochę dalej, na placu. Otwieram lokal o szóstej, z dokładnością do kilku minut. Griffi już tutaj byli, przed opuszczoną żaluzją, a autokar miał odjechać o siódmej. Wyobraża pan sobie?

— Wypili coś, zjedli?

— Po ciepłym jeszcze rogaliku; przyniesiono mi je z piekarni jakieś dziesięć po szóstej. Autokar przyjechał o wpół do siódmej. Kierowca... ma na imię Filippo... wszedł i zamówił kawę. Pan Griffi podszedł do niego i spytał, czy mogą już wsiadać. Filippo powiedział, że tak; wtedy oni wyszli, nie powiedzieli mi nawet „do widzenia”. Bali się, że ucieknie im autokar?

— Coś jeszcze?

— No, właściwie nic więcej.

— Słuchaj, Arturo, znałeś tego chłopaka, co to go zastrzelili?

— Nenč Sanfilippa? Dwa lata temu przychodził tu regularnie, żeby grywać

w bilard. Potem pokazywał się już rzadko, i tylko w nocy.

— Jak to „w nocy”?

— Komisarzu, ja zamykam o pierwszej. On czasem przychodził i kupował butelkę whisky, ginu czy coś takiego. Był zawsze samochodem i prawie zawsze w samochodzie siedziała jakaś dziewczyna.

— Udało ci się którąś rozpoznać?

— Nie. Przywoził je może z Palermo albo z Montelusy, czort wie skąd.

Dojechał pod drzwi komisariatu, ale nie miał odwagi wejść. Na biurku czekała na niego sterta papierów do podpisu; na samą myśl o tym poczuł ból w prawym ramieniu. Sprawdził, czy ma w kieszeni dosyć papierosów, wsiadł z powrotem do samochodu i pojechał w kierunku Montelusy. Dokładnie w pół drogi między Vigatą a Montelusą była polna ścieżka — skryta za wielkim billboardem — prowadząca do rozsypującego się wiejskiego domku; obok niego rosło ogromne saraceńskie drzewo oliwne, które musiało sobie liczyć ze dwieście lat. Wydawało się elementem teatralnej dekoracji, zrodzoną z wyobraźni Gustave’a Doré ilustracją do Dantejskiego *Pieła*. Najniższe gałęzie pełzały i skręcały się tuż nad ziemią, jakby mimo najszczerszych chęci nie zdołały wznieść się ku niebu i w pewnym momencie zmieniły zdanie i postanowiły znowu skierować się wstecz, w stronę pnia, kreśląc rodzaj ostrego zakrętu albo tu i ówdzie zaplatając prawdziwy węzeł. Wkrótce jednak znowu zmieniały zdanie i oddalały się od pnia, może przestraszone jego wyglądem: był potężny, podziurawiony, osmalony, pomarszczony z wiekiem. Odsuwając się od niego, zmierzały w innym jeszcze kierunku. Przypominały do złudzenia wielkie węże — pytony, boa, anakondy — zamienione nagle w gałęzie drzewa oliwnego. Wydawały się rozpaczać z powodu tych czarów, które je zamroziły, „skandyzowały” — jak powiedziałyby Montale — skazując na tragiczną, niemożliwą ucieczkę bez

końca. A gałęzie środkowe, osiągnąwszy około metra długości, zaczynały natychmiast dumać, czy piąć się w górę, czy też spływać ku ziemi, aby połączyć się z korzeniami.

Kiedy Montalbano nie odczuwał potrzeby kontaktu z morzem, zastępował spacer po wschodnim nabrzeżu w porcie odwiedzinami u drzewa oliwnego. Siadał okrakiem na jednej z najniższych gałęzi, zapalał papierosa i zaczynał rozmyślać o sprawach do rozwiązania.

Odkrył, że plątanina, zwijanie się, skręcanie i nakładanie na siebie gałęzi — cały ten roślinny labirynt — w jakiś tajemniczy sposób odzwierciedla niemal mimetycznie to, co dzieje się w jego głowie: krzyżujące się hipotezy, spiętrzone racje. A jeśli jakieś przypuszczenie wydawało się na pierwszy rzut oka zbyt śmiałe, zbyt nieprawdopodobne, widok gałęzi wijącej się w sposób jeszcze bardziej ryzykowny od jego myśli kazał mu dalej je rozwijać.

Zagłębiony w zielonosrebrnym listowiu, potrafił siedzieć bez ruchu całymi godzinami. Ów stan przerywały od czasu do czasu jedynie niezbędne gesty, umożliwiające zapalenie papierosa, którego palił potem, nie wyjmując z ust, albo dokładne zgaszenie niedopałka, duszonego obcasem. Siedział tak nieruchomo, że wdrapywały się na niego mrówki, wchodziły mu we włosy, pełzały po rękach i twarzy. Podnosząc się z gałęzi, musiał dokładnie wytrzepać ubranie, z którego wraz z mrówkami wypadały nieraz pajęczki i przynoszące szczęście biedronki.

Usiadłszy na gałęzi, postawił sobie pytanie o zasadniczym znaczeniu dla dalszego biegu śledztwa: czy istnieje związek między zniknięciem dwojga starszków a zabójstwem chłopaka?

Podnosząc głowę, aby lepiej się zaciągnąć zapalonym właśnie papierosem, zauważył nad sobą gałąź wręcz niemożliwie pokręconą: załamania, ostre zgięcia, pochYLENIA w przód i w tył — w jednym miejscu przypominała stary

kaloryfer o trzech żeberkach.

— Nie, nie naciągniesz mnie — mruknął do niej Montalbano, odrzucając zaproszenie. Nie były mu na razie potrzebne akrobacje, wystarczały fakty, jedynie fakty.

Wszyscy mieszkańcy domu przy ulicy Cavoura 44, z dozorczynią włącznie, oświadczyli zgodnie, że nigdy nie widzieli razem pary starszych ludzi i chłopaka. Nawet w sytuacji zupełnie przypadkowej, na przykład czekających na windę. Mieli inny rozkład dnia, wychodzili i wracali o całkiem różnych porach. Zresztą — wystarczy chwila zastanowienia — co mogło łączyć niedźwiedziowatą sędziwą parę, nietowarzyską, o wręcz odstręczającym usposobieniu, nieufną wobec wszystkich, z dwudziestolatkiem o wypchanych kieszeniach, sprowadzającym sobie do domu co drugą noc inną dziewczynę?

Lepiej będzie — przynajmniej na razie — rozpatrywać te dwie sprawy oddzielnie, przyjmując za prosty zbieg okoliczności fakt, że zaginiona para i zamordowany mieszkali w tym samym domu. Na razie. Czy zresztą nie podjął już takiej decyzji, chociaż otwarcie jej nie wyraził? Papiery Nenč Sanfilippa przekazał przecież do zbadania Augellowi, a więc to jemu powierzył dochodzenie w sprawie zabójstwa. Sam musi się zająć sprawą małżonków Griffo.

Alfonsa i Margherity Griffo, którzy potrafili siedzieć zamknięci w mieszkaniu przez trzy albo i cztery dni z rzędu, nie dając najmniejszego znaku życia, nie kichając nawet, nie kaszląc — zupełnie nic, jakby odbywali próbę generalną przed swoim zaginięciem. Alfonsa i Margherity Griffo, którzy — jak sięga pamięcią ich syn — tylko raz ruszyli się z Vigaty, aby jechać do Mesyny. Alfonsa i Margherity Griffo, którzy pewnego pięknego dnia postanowili nagle wybrać się na wycieczkę do Tindari. Czy dlatego, że szczególnie wielbią Matkę Boską? Przecież nie chodzili nawet do kościoła!

A jak bardzo im zależało na tej wycieczce!

Zgodnie z tym, co powiedział Arturo Caviglione, stawili się na godzinę przed odjazdem i wsiedli pierwsi do zupełnie pustego jeszcze autokaru. Chociaż mieli do dyspozycji około pięćdziesięciu miejsc, wybrali sobie te z pewnością najmniej wygodne, tuż obok dwóch wielkich pudeł z artykułami okazowymi Beatrice Dileo. Postąpili tak z braku doświadczenia, nie wiedząc, że w ostatnim rzędzie najbardziej odczuwa się zakręty, co może przyprawić o mdłości? W każdym razie nieuzasadniona była hipoteza, według której usiedli tam, żeby odizolować się od towarzyszy podróży, nie musieć z nimi rozmawiać. Jeśli ktoś chce zachować milczenie, uda mu się to nawet wśród setki osób. Więc dlaczego zdecydowali się usiąść w ostatnim rzędzie?

Odpowiedź mogła się zawierać w relacji Beatrice. Dziewczyna zauważyła, że Alfonso odwracał się od czasu do czasu, aby wyglądać przez tylną szybę autokaru. Z zajmowanego miejsca mógł widzieć jadące z tyłu samochody. Mógł jednak również być widzianym z zewnątrz, właśnie z jadącego za autokarem samochodu. Widzieć i być widzianym — nie byłoby to możliwe, gdyby siedział w jakimś innym miejscu.

Po przyjeździe do Tindari państwo Griffio nigdzie nie poszli. Zdaniem Beatrice nie wysiedli w ogóle z autokaru, nie dołączyli do innych, nikt ich nie widział na spacerze. Jaki więc sens miała ta wycieczka? I dlaczego tak bardzo im na niej zależało?

Znowu od Beatrice dowiedział się rzeczy zasadniczej wagi. A mianowicie, że to na żądanie Alfonsa Griffio autokar po raz ostatni zatrzymał się ponadplanowo, zaledwie o pół godziny drogi przed Vigatą. Może starzec naprawdę odczuwał nieprzepartą potrzebę, a może wyjaśnienie jest całkiem inne i bardzo niepokojące.

Może państwo Griffio jeszcze dzień wcześniej nie mieli najmniejszego zamiaru uczestniczyć w wycieczce. Może chcieli spędzić tę niedzielę tak

samo jak setki innych. Zdarzyło się jednak coś, co zmusiło ich do odbycia podróży. Nie jakiegokolwiek podróży, lecz właśnie tej. Otrzymali rodzaj kategorycznego rozkazu. Ale kto ten rozkaz wydał, jaką miał władzę nad dwojgiem staruszków?

— Aby nadać mu konkretną postać — powiedział sobie żartobliwie Montalbano — przyjmijmy, że chodziło o lekarza.

Nie miał jednak ochoty na żarty.

Chodziło o lekarza wyjątkowo sumiennego, który bierze samochód i jedzie za autokarem w obie strony, tam i z powrotem, aby sprawdzić, czyjego pacjenci siedzą przez cały czas na swoich miejscach. Gdy po zmroku autokar już prawie dojeżdża do Vigaty, lekarz błyska w określony sposób światłami samochodu; to ustalony sygnał. Alfonso Griffo prosi kierowcę, aby się zatrzymał. Ślady pary giną przy barze „Paradiso”. Może rzetelny lekarz zabrał dwoje staruszków do swojego samochodu, może chciał pilnie zmierzyć im ciśnienie?

W tym punkcie Montalbano uznał, że pora skończyć zabawę w Tarzana i powrócić do tak zwanej cywilizacji. Strzepując z ubrania mrówki, postawił sobie ostatnie pytanie: na jaką to tajemniczą chorobę cierpieli państwo Griffo, że interwencja owego niesłyszanie sumiennego lekarza okazała się niezbędną?

Przy drodze prowadzącej do Vigaty stała kabina telefoniczna. Graniczyło to z cudem, lecz telefon działał. Pan Malaspina, właściciel przedsiębiorstwa transportowego, w niecałe pięć minut odpowiedział na pytania komisarza.

Nie, państwo Griffo nigdy przedtem nie uczestniczyli w podobnych wycieczkach.

Tak, zapisali się w ostatniej chwili, a dokładnie w sobotę o trzynastej,

kiedy zamykano już listę.

Tak, zapłacili gotówką.

Nie, zgłoszenia nie dokonali osobiście ani pan, ani pani Griffo. Urzędujący wtedy w okienku Toto Bellavia gotów był przysiąc, że zarezerwował miejsca i zapłacił pewien dystyngowany czterdziestolatek, który przedstawił się jako siostrzeniec państwa Griffo.

Czym się tłumaczy, że pan Malaspina wszystko tak dokładnie wie? To bardzo proste: całe miasto mówiło o zaginięciu państwa Griffo, więc on się zaciekawił i zebrał dostępne informacje.

— Panie komisarzu, w pokoju u Fazia byłby syn tych staruszków.

— Byłby czy jest?

Catarella nie dał się zbić z tropu.

— Jedno i drugie, panie komisarzu.

— Wprowadź go do mnie.

Davide Griffo był wzburzony, nieogolony, z zaczerwienionymi oczyma, ubranie miał całe pogniecione.

— Wracam do Mesyny, panie komisarzu. Co mam tu do roboty? W nocy nie mogę zasnąć, ciągle te same myśli... Pan Fazio powiedział mi, że jeszcze do niczego nie doszliście.

— Niestety, tak właśnie jest. Zapewniam pana jednak, że jak tylko będzie coś nowego, od razu damy panu znać. Czy mamy pański adres?

— Tak, zostawiłem go.

— Zanim pan odejdzie, jeszcze jedno pytanie. Czy pan ma kuzynów?

— Tak, jednego.

— Ile ma lat?

— Około czterdziestu.

Komisarz nadstawił uszu.

— Gdzie mieszka?

— W Sydney. Pracuje tam. Od trzech lat już nie odwiedził ojca.

— Skąd pan o tym wie?

— Bo spotykamy się za każdym razem, kiedy przyjeżdża.

— Czy mógłby pan zostawić u Fazia adres i numer telefonu kuzyna?

— Oczywiście. Ale dlaczego pan sobie tego życzy? Myśli pan, że...

— Nie chcę niczego zaniedbać.

— Ależ, panie komisarzu, sama myśl o tym, że mój kuzyn mógłby mieć coś wspólnego z zaginięciem, jest doprawdy szalona... proszę mi wybaczyć, że...

Montalbano zatrzymał go gestem.

— Jeszcze jedno. Wiadomo panu, że w naszych stronach nazywamy kuzynem, wujem, siostrzeńcem osoby, z którymi nie łączy nas żadne pokrewieństwo — ot, tak sobie, z sympatii, z przywiązania... Proszę dobrze się zastanowić: czy jest ktoś, kogo pańscy rodzice mogliby nazywać siostrzeńcem?

— Panie komisarzu, widać, że pan nie zna mojego ojca i mojej matki. Mają oboje usposobienie takie, że nie daj Boże! Nie, wydaje mi się zupełnie niemożliwe, żeby nazywali siostrzeńcem kogoś, kto nim nie jest.

— Panie Griffa, niech mi pan wybaczy, że każę panu powtarzać rzeczy, które może pan mi już powiedział, ale proszę mnie zrozumieć, leży to zarówno w pana, jak i w moim interesie. Czy jest pan absolutnie pewien, że rodzice nie powiedzieli panu nic o wycieczce, na którą zamierzali pojechać?

— Nic, panie komisarzu, absolutnie nic. Nie mieliśmy zwyczaju pisania do

siebie, rozmawialiśmy przez telefon. To ja do nich dzwoniłem w czwartki i w niedziele, zawsze między dziewiątą a dziesiątą wieczorem. W czwartek, kiedy ostatni raz z nimi rozmawiałem, nie wspomnieli ani słowem o wyjeździe do Tindari. Przeciwnie — mama, żegnając się ze mną powiedziała: „No to do niedzieli, jak zwykle”. Gdyby zamierzali jechać na tę wycieczkę, uprzedziliby mnie, żebym się nie niepokoił, nie zastając ich w domu; powiedzieliby, żebym zadzwonił trochę później, bo autokar może mieć opóźnienie. Czy nie wydaje się to panu logiczne?

— Ma pan z pewnością rację.

— Ale nic mi nie powiedzieli, a kiedy zadzwoniłem w niedzielę kwadrans po dziewiątej, nikt nie podniósł słuchawki. No i zaczęła się moja droga krzyżowa.

— Autokar przyjechał do Vigaty około jedenastej wieczorem.

— A ja dzwoniłem i dzwoniłem aż do szóstej rano.

— Panie Griffio, nie możemy, niestety, wykluczyć żadnej hipotezy, nawet takiej, której nie chcielibyśmy wysunąć. Czy pański ojciec miał wrogów?

— Panie komisarzu, mam ściśnięte gardło i tylko dlatego się nie roześmiałem. Ojciec był dobrym człowiekiem, choć charakter miał ciężki. Mama tak samo. Tatuś był na emeryturze od dziesięciu lat. Nigdy mi nie mówił o ludziach, którzy by mu źle życzyli.

— Był zamożny?

— Kto? Mój ojciec? Żył z emerytury. Za odprawę udało mu się kupić na własność to mieszkanie.

Opuścił ze smutkiem wzrok.

— Nie widzę żadnego powodu, dla którego moi rodzice mogliby chcieć zniknąć lub dla którego ktoś mógłby ich do tego zmusić. Rozmawiałem nawet z ich lekarzem. Powiedział mi, że jak na swój wiek cieszyli się dobrym

zdrowiem. Nie cierpieli na arteriosklerozę.

— W pewnym wieku — powiedział Montalbano — niekiedy łatwo ulega się sugestiom, nabiera się nagle nowych przekonań...

— Nie rozumiem pana.

— No, na przykład jakiś znajomy mógł im opowiedzieć o cudach Czarnej Madonny z Tindari...

— A na co im były cuda? Zresztą, wie pan, nie byli zbyt religijni.

Wstawał właśnie z krzesła, aby się udać na spotkanie z Balducciem Sinagrą, kiedy do pokoju wszedł Fazio.

— Przepraszam, panie komisarzu, wie pan może, gdzie jest pan Augello?

— Widzieliśmy się w porze obiadowej. Powiedział, że tu przyjdzie. Dlaczego pytasz?

— Bo pytają o niego z kwestury w Pawii.

Montalbano w pierwszej chwili nie zrozumiał.

— W Pawii? A kto mówił?

— Jakaś kobieta, ale nie powiedziała mi nazwiska. Rebeka! Z pewnością niepokoi się o swego ukochanego Mimě.

— Ta kobieta z Pawii nie zna numeru jego telefonu komórkowego?

— Owszem, zna. Ale mówi, że go wyłączył. Powiedziała, że dzwoni od kilku godzin, zaczęła zaraz po obiedzie. Jeśli zatelefonuje znowu, co mam powiedzieć?

— Mnie o to pytasz?

Kiedy tak rozmawiał z Faziem, udając irytację, w myślach się cieszył. Może posiane ziarno zaczęło już kiełkować?

— Słuchaj, Fazio, nie przejmuj się Augellem. Zobaczysz, prędzej czy

później się pokaże. Chciałem ci powiedzieć, że wychodzę.

— Jedzie pan do Marinelli?

— Fazio, nie muszę ci się spowiadać, dokąd jadę i dokąd nie jadę.

— A co ja takiego powiedziałem? Czemu się pan obraża? Postawiłem proste, niewinne pytanie. Przepraszam, że sobie pozwoliłem.

— Słuchaj, to ja ciebie przepraszam, jestem trochę zdenerwowany.

— Zauważyłem.

— Nie mów nikomu tego, co ci teraz powiem. Jadę na spotkanie z Balducciem Sinagrą.

Fazio pobladł, wlepiając w niego oczy z niekłamanym zdumieniem.

— Pan chyba żartuje?

— Nie.

— Ależ to dzika bestia!

— Wiem.

— Panie komisarzu, może się pan złościć, ile pan chce, ale ja powiem panu i tak: uważam, że nie powinien pan iść na to spotkanie.

— Posłuchaj mnie dobrze. Pan Balduccio Sinagra jest w chwili obecnej wolnym obywatelem.

— Niech żyje wolność! Dwadzieścia lat przesiedział w pudle i ma na sumieniu przynajmniej ze trzydzieści zabójstw!

— Których nie udało się nam dotychczas udowodnić.

— Mniejsza o dowody, to prawdziwy zbój!

— Zgoda. Ale czy zapomniałeś, że nasz zawód polega właśnie na zajmowaniu się zbójami?

— Panie komisarzu, jeśli pan naprawdę chce tam iść, to ja idę z panem!

— Nie, ty się stąd nie ruszysz. I nie każ mi mówić, że to rozkaz, bo zawsze

się wściekam, kiedy mnie zmuszacie do czegoś takiego.

Pan Balduccio Sinagra mieszkał z całą swoją liczną rodziną w ogromnym domu na wsi, usytuowanym na samym szczycie wzgórza od niepamiętnych czasów zwanego Ciuccafa, w pół drogi między Vigatą a Montereale.

Wzgórze Ciuccafa wyróżniało się dwiema cechami. Po pierwsze, było zupełnie nagie, bez źdźbła zieleni. Na tej ziemi nie udało się nigdy wyrosnąć drzewu ani nawet kępie sorgo, jeżynie czy innemu ciernistemu krzakowi. Wokół domu stało wprawdzie kilka drzew, lecz zostały tam specjalnie przetransportowane i zasadzone z woli pana Balduccia, aby dawały trochę ochłody; ratując je przed uschnięciem, zwieziono całe ciężarówki specjalnego gruntu. Po drugie, z którejkolwiek strony by spojrzeć na stoki tego wzgórza, nie dostrzegało się na nich innych zabudowań, chatek czy willi. Widać było tylko pnącą się ku górze serpentynę asfaltowej drogi długości trzech kilometrów, którą pan Balduccio kazał sobie zbudować, jak mawiał, na własny koszt. Innych budynków nie było nie dlatego, że rodzina Sinagra wykupiła całe wzgórze, lecz z innej, bardziej subtelnej przyczyny.

Mimo że zgodnie z nowym planem zagospodarowania przestrzennego teren Ciuccafa był przeznaczony pod zabudowę, jego właściciele — mecenas Sidoti i markiz Lauricella — choć obaj niezbyt bogaci, nie ośmielali się podzielić go na działki i sprzedać, aby nie uchybić ciężko panu Balduccio, który wezwał ich do siebie i za pomocą metafor, przysłów i anegdot dał im do zrozumienia, że nie zniósłby sąsiedztwa obcych. Mecenas Sidoti, właściciel gruntu, na którym zbudowano drogę, pragnąc uniknąć niebezpiecznych nieporozumień, kategorycznie odmówił przyjęcia odszkodowania za niepożądane wywłaszczenie. W mieście szeptano nawet złośliwie, że obaj właściciele postanowili ponieść po połowie koszty straty:

mecenas dał teren, a markiz sprezentował panu Balduccio drogę, płacąc za roboty. Złe języki utrzymywały również, że jeśli wskutek zaburzeń atmosferycznych nawierzchnia pękła albo osunął się pod nią grunt, pan Balduccio skarżył się markizowi, który natychmiast, zawsze płacąc z własnej kieszeni, przywracał drodze gładkość stołu bilardowego.

Od trzech lat sprawy nie szły już tak dobrze jak przedtem ani Sinagrom, ani Cuffarom — obu rodzinom walczącym ze sobą o kontrolę nad prowincją.

Sześćdziesięcioletniego Masina Sinagrę, pierworodnego syna pana Balduccia, aresztowano wreszcie i po procesie w Rzymie wtrącono do więzienia. Został obciążony tak wielkim ładunkiem oskarżeń, że gdyby nawet uchwalono przypadkiem zniesienie kary dożywocia, ustawodawcy musieliby zrobić wyjątek i przywrócić ją w tym jednym przypadku. Japichinu, syn Masina i ukochany wnuk pana Balduccia, trzydziestolatek o obliczu tak miłym i uczciwym, że emeryci chętnie powierzyliby mu swoje oszczędności, musiał się ukrywać, bo wisiał nad nim stos nakazów aresztowania. Oszołomiony i zaniepokojony tą całkiem niespotykaną ofensywą wymiaru sprawiedliwości, od dziesięcioleci pogrążonego w błogim śnie, pan Balduccio — który niedawno odmłodził o trzydzieści lat na wieść o zamordowaniu dwóch najodważniejszych sędziów na wyspie — nagle znowu poczuł związane z wiekiem dolegliwości, dowiedziawszy się, że na czele sycylijskiej prokuratury stanął ktoś taki, że gorszego trudno byłoby sobie wyobrazić: uchodzący za komunistę Piemontczyk. Pewnego dnia zobaczył go w dzienniku telewizyjnym, klęczącego w kościele.

„Co on, na mszę chodzi?” — zapytał zdziwiony.

„Tak, tak, jest wierzący” — wyjaśnił mu ktoś.

„Jak to możliwe? Niczego się od księży nie nauczył?”

Młodszy syn pana Balduccia, ‘Ngilino, zupełnie zwariował: zaczął mówić

niezrozumiałym językiem — jak sam utrzymywał, po arabsku. I jak Arab zaczął się też ubierać, w mieście nazywano go nawet szejkiem. Dwaj synowie szejka przebywali więcej za granicą niż w Vigacie. Pino, zwany cwaniakiem ze względu na niezwykłą zręczność, z jaką umiał wydobywać się z trudnych sytuacji, podróżował bezustannie między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi; Caluzzo osiem miesięcy w roku spędzał w Bogocie. Ciężar prowadzenia interesów rodziny spadł zatem na barki patriarchy, któremu pomagał kuzyn, Saro Magistro. O tym ostatnim szeptano, że po zabiciu jednego z członków rodziny Cuffaro zjadł jego wątrobę opieczoną na rożnie. Co się tyczy Cuffarów, sprawy nie wyglądały wcale lepiej. Dwa lata temu głowa rodziny, ponadsiemdziesięcioletni pan Sisino, wsiadł pewnej niedzieli do samochodu, aby jechać na mszę świętą, co regularnie z wielką pobożnością czynił. Prowadzić miał Birtino, jego młodszy syn. Za ledwie uruchomił silnik, nastąpił okropny wybuch, wskutek którego w promieniu pięciu kilometrów popękały szyby. Nie mający w ogóle nic wspólnego z tym zdarzeniem księgowy Arturo Spampinato, przekonany, że nastąpiło straszliwe trzęsienie ziemi, wyskoczył z szóstego piętra i poniósł śmierć na miejscu. Z pana Sisina odnaleziono lewe ramię i prawą stopę, po Birtinie zostało tylko kilka nadpalonych kości.

Wbrew oczekiwaniom całego miasta Cuffarowie nie przypisali tego zamachu Sinagrom. Zarówno jedni, jak i drudzy wiedzieli, że śmiercionośną bombę podłożył w samochodzie ktoś inny — członkowie wschodzącej organizacji mafijnej, młodzi arywiści nie szanujący nikogo i niczego, gotowi na wszystko, którzy wbili sobie do głowy, że rozprawią się z dwoma historycznymi rodami i zajmą ich miejsce. Wydawało się to logiczne. Już wcześniej szlak narkotykowy był dość szeroki, lecz obecnie stał się sześciopasmową autostradą. Nadszedł więc czas młodych, zdeterminowanych sil o właściwym przygotowaniu, umiejących posłużyć się

zarówno kałasznikowem, jak i komputerem.

O tym wszystkim rozmyślał komisarz, jadąc w kierunku wzgórza Ciuccafa. Przypomniawszy sobie także tragikomiczną scenę widzianą w telewizji: pewien członek parlamentarnej komisji do walki z mafią — po przyjeździe do Feli, gdzie w ciągu jednego tygodnia zabito dziesięć osób — dramatycznym gestem rozdzierał szaty, pytając zduszonym głosem:

„Co robi państwo?”

Przyglądało mu się w zdumieniu kilku karabinierów, czterech policjantów, dwóch strażników finansowo — celnych i trzech przedstawicieli sądownictwa, którzy w Feli reprezentowali państwo, narażając codziennie własną skórę. Deputowany z komisji do walki z mafią cierpiał najwidoczniej na zanik pamięci: zapomniał, że przynajmniej w jakiejś mierze państwo to właśnie on. I że jeśli sprawy toczą się tak, jak się toczą, właśnie on i jemu podobni ponoszą za to odpowiedzialność.

Dokładnie u stóp wzgórza, tam gdzie zaczynała się samotna asfaltowa droga prowadząca do rezydencji pana Balduccia, stał parterowy domek. Na widok zbliżającego się samochodu Montalbana w jednym z dwóch okien ukazał się mężczyzna: popatrzył na samochód i podniósł do ucha telefon komórkowy. Zawiadomił kogo trzeba.

Wzdłuż drogi wznosiły się słupy oświetleniowe i telefoniczne, co pół kilometra znajdował się niewielki placzyk na postój. Na każdym można było niechybnie dostrzec jakiegoś mężczyznę: jeden siedział w samochodzie, dłubiąc palcem w nosie, drugi liczył przesuwające się po niebie chmury, trzeci udawał, że naprawia coś w motorowerze. Wartownicy. Broni nie było widać, ale komisarz doskonale wiedział, że w razie potrzeby wyciągnęliby ją od razu spod stosu kamieni albo zza słupa.

Wielka brama wjazdowa z żelaznych krat — jedyny otwór w otaczającym dom murze — była szeroko otwarta. Stał przed nią mecenas Guttadauro z szerokim uśmiechem na twarzy, cały w ukłonach.

— Proszę dalej prosto, potem na prawo, tam jest parking.

Na placu stało z dziesięć samochodów różnego rodzaju, zarówno luksusowych, jak i codziennego użytku. Montalbano zahamował, wysiadł i zobaczył zbliżającego się już w pośpiechu, zadyszanego Guttadaura.

— Nie mogłem wątpić w pańską wrażliwość, w pańskie zrozumienie, w pańską inteligencję! Pan Balduccio będzie uszczęśliwiony! Proszę za mną, panie komisarzu, wskażę panu drogę.

Po obu stronach prowadzącej do domu alei rosły dwie olbrzymie araukarie. Pod nimi stały budki wartownicze o osobliwym wyglądzie — przypominały domki dla dzieci. Umieszczono na nich zresztą nalepki z Supermanem, Batmanem i Herkulesem. Domki miały jednak również drzwiczki i okienka.

Adwokat zauważył, że komisarz z ciekawością przygląda się owym budkom.

— To domki, które pan Balduccio kazał wykonać dla swoich wnuków, a właściwie prawnuków. Jeden nazywa się Balduccio, tak jak on, a drugi Tanino. Pan Balduccio kocha te maluchy do szaleństwa.

— Przepraszam, panie mecenasie — odezwał się Montalbano z anielską miną — ten pan z brodą, który na moment pokazał się w okienku domku po lewej, to Balduccio czy Tanino?

Guttadauro, światowiec, powstrzymał się od odpowiedzi.

Znaleźli się teraz przed monumentalnym wejściem do domu, wrotami z czarnego orzechowego drewna, nabijanymi mosiężnymi ćwiekami, które przypominały nieco pokrywę trumny w amerykańskim stylu.

W rogu ogrodu, wypełnionego kokieteryjnymi klombami, winoroślą,

różami i innym kwieciem, ozdobionego basenikiem z czerwonymi rybkami (skąd ten przeklęty łotr brał wodę?), stała solidna żelazna klatka, z której cztery ponure dobermany oceniały wzrokiem wagę i konsystencję gościa, nie kryjąc chęci pożarcia go wraz z ubraniem. Najwidoczniej w nocy klatkę otwierano.

— Nie, panie komisarzu — powiedział Guttadauro, widząc, że Montalbano kieruje się w stronę odgrywającej rolę drzwi trumny. — Pan Balduccio oczekuje pana w belwederze.

Skierowali się na lewą stronę willi. Belweder był otwartym z trzech stron obszernym pomieszczeniem, którego sufit stanowił taras na pierwszym piętrze. Poprzez sześć zastępujących ściany arkad, wspartych na smukłych kolumnkach, widać było po prawej wspaniały krajobraz: całe kilometry plaży i morza, a na horyzoncie zarys urwistego przylądka Rossello. Panorama po lewej pozostawiała natomiast wiele do życzenia: równina bez źdźbła zieleni, pokryta cementem, w którą wtapiała się w oddali Vigata.

W pomieszczeniu stała niewielka kanapa, cztery wygodne fotele, szeroki, niski stolik. Pod jedyną ścianą — jakieś dziesięć krzeseł, przeznaczonych najwyraźniej na zebrania plenarne.

Pan Balduccio, wyglądający jak szkielet w ubraniu, siedział na dwumiejscowej kanapie, z kocem na kolanach, chociaż nie było chłodu ani wiatru. Obok niego, w fotelu — pięćdziesięcioletni rudawy ksiądz w sutannie, który wstał po wejściu komisarza.

— Oto nasz drogi komisarz Montalbano! — obwieścił radośnie, dźwięcznym głosem Guttadauro.

— Proszę wybaczyć, że nie wstaję — powiedział cichutko pan Balduccio — ale nie trzymam się już na nogach.

Nie próbował podać komisarzowi ręki.

— To jest ksiądz Sciaverio, Sciaverio Crucilla, który był i jest nadal ojcem duchowym Japichinu, mojego niewinnego wnuczka, oczernianego i prześladowanego przez nikczemników. Na szczęście chłopak jest głęboko wierzący i znosi prześladowania, ofiarowując cierpienie Panu Bogu.

— Wiara to wielka rzecz! — wykrzyknął ksiądz Crucilla.

— Jeśli nie zaśniesz, to odpoczniesz — uzupełnił Montalbano.

Pan Balduccio, Guttadauro i duchowny spojrzeli po sobie, zaskoczeni.

— Proszę wybaczyć — powiedział ksiądz — ale sądzę, że pan się myli. Przysłowie odnosi się do łóżka i brzmi: „Łóżko to wielka rzecz — jeśli nie zaśniesz, to odpoczniesz”. Czyż nie mam racji?

— Ma ksiądz rację, pomyliłem się — przyznał komisarz.

Pomylił się w istocie. Że też przyszło mu do głowy zażartować sobie, kalecząc przysłowie i parafrazując wyświechtane zdanie o religii — opium dla ludu! Gdyby tak naprawdę religia podziałała jak opium na tego bandytę i mordercę, którym był wnuczek Balduccia Sinagry!

— Ja się oddalam — powiedział duchowny.

Złożył ukłon panu Balduccio, który odpowiedział gestem połączonych dłoni, następnie ukłonił się komisarzowi, który odpowiedział lekkim skinieniem głowy, i wziął pod ramię adwokata Guttadauro.

— Pan pójdzie ze mną, prawda, mecenasie? Najwyraźniej umówili się przed przyjściem Montalbana, że zostawią go sam na sam z panem Balduccio. Adwokat miał pojawić się znowu później, kiedy jego klient — jak wolał nazywać człowieka, który był w rzeczywistości jego panem — powie już komisarzowi to, co chciał mu powiedzieć bez świadków.

— Proszę usiąść — rzekł starzec, wskazując na fotel, w którym siedział przed chwilą ksiądz Crucilla.

Montalbano usiadł.

— Napije się pan czegoś? — spytał Balduccio, wyciągając rękę w stronę trzech umocowanych przy poręczy kanapy przycisków.

— Nie, dziękuję.

Montalbano nie mógł się powstrzymać przed postawieniem sobie pytania, do czego służą dwa pozostałe guziki. Jeśli pierwszym przyzywało się pokojówkę, to drugim najprawdopodobniej dyżurnego killera. A trzecim? Może służył do ogłoszenia ogólnego alarmu, który rozpętywał coś w rodzaju trzeciej wojny światowej?

— Proszę zaspokoić moją ciekawość — powiedział starzec, poprawiając sobie koc na nogach. — Gdybym podał panu rękę kilka minut temu, kiedy pan tu wszedł, uściskałby ją pan?

„Piękne pytanie, ty przeklęty sukinsynu!” — pomyślał Montalbano.

Postanowił natychmiast udzielić szczerzej odpowiedzi.

— Nie.

— Czy zechce mi pan wytłumaczyć dlaczego?

— Bo my dwaj, panie Sinagra, stoimy po przeciwnych stronach barykady. I jeszcze nie ogłoszono zawieszenia broni, choć może niewiele do tego brakuje.

Starzec chrząknął, potem jeszcze raz i dopiero wtedy komisarz zrozumiał, że był to śmiech.

— Niewiele brakuje?

— Są pewne oznaki.

— Miejmy nadzieję. Pomówmy teraz poważnie. Pan, komisarzu, z pewnością chciałby wiedzieć, dlaczego tu pana zaprosiłem.

— Nie.

— Tylko „nie” umie mi pan powiedzieć?

— Panie Sinagra, będę z panem szczery. Wiem już o panu wszystko, co mogłoby mnie zainteresować jako policjanta. Przeczytałem wszystko, co pana dotyczy, nawet to, co dotyczyło pana jeszcze przed moim urodzeniem. A jako człowiek pan mnie nie interesuje.

— Wytłumaczy mi więc pan, dlaczego do mnie przyjechał?

— Bo uważam, że nie stoję dostatecznie wysoko, żeby odmówić komuś, kto chce ze mną rozmawiać.

— Słuszne słowa — powiedział starzec.

— Panie Sinagra, jeśli chce mi pan coś zakomunikować, słucham pana. Jeśli nie...

Wydało się, że pan Balduccio się waha. Jeszcze bardziej wyciągnął ku komisarzowi swoją żółtą szyję, wlepiając w niego rozwodnione jaskrą oczy.

— Kiedy byłem młody, miałem wzrok ostry, że aż strach. Teraz widzę coraz więcej mgły, panie komisarzu. Mgła robi się coraz gęstsza. Nie mówię tylko o moich chorych oczach.

Westchnął, wciskając się w oparcie kanapy, jakby chciał się w nim pogrążyć.

— Człowiek powinien żyć tyle, ile trzeba. Dziewięćdziesiąt lat to dużo, zbyt dużo. A ciąży jeszcze bardziej, kiedy musimy wziąć w swoje ręce sprawy, o których myśleliśmy, że już nas nie dotyczą. Panie komisarzu, okropnie się gryzę Japichinu, nie śpię ze zmartwienia. Jest chory na serce. Powiedziałem mu: zgłoś się sam do karabinierów, przynajmniej będziesz miał opiekę lekarską. Ale Japichinu jest uparty, jak wszyscy młodzi. W każdym razie musiałem się zająć sprawami rodziny. To trudne, bardzo trudne. Czas poszedł do przodu, ludzie się zmienili. Nie można już zrozumieć, jak myślą, co im przychodzi do głowy. W przeszłości — mówiąc

przykładowo — o sprawach skomplikowanych się rozmawiało. Długo, całymi dniami, dochodziło nawet do wyzwisk i do kłótni — ale się rozmawiało. Teraz ludzie nie chcą już rozmawiać, nie chcą tracić czasu.

— No i co robią?

— Strzelają, panie komisarzu, strzelają. Strzelać potrafimy wszyscy, nawet ci najgłupszy. Jeśli pan — mówiąc przykładowo — wyciągnie teraz z kieszeni rewolwer...

— Nie mam go, nie chodzę uzbrojony.

— Naprawdę?

Zdziwienie pana Balduccio było zupełnie szczere.

— Panie komisarzu, co za nieostrożność! Tyłu przestępców wśród nas krąży...

— Wiem, ale nie lubię broni.

— Ja też nie lubię. Ale wróćmy do tematu. Jeżeli pan wyceluje we mnie teraz rewolwer i powie: „Balduccio, na kolana!”, ja nic na to nie poradzę. Jestem bez broni i muszę uklęknąć. Mam rację? Ale to nie znaczy, że jest pan człowiekiem honoru; znaczy tylko, proszę mi wybaczyć, że jest pan kutasem z rewolwerem w dłoni.

— A jak postępuje człowiek honoru?

— Nie jak postępuje, panie komisarzu, ale jak postępował. Pan przychodzi do mnie bez broni i rozmawia ze mną, przedstawia mi sprawę, argumenty za i przeciw. Jeśli ja się nie zgadzam, pan wraca następnego dnia i rozmawiamy dalej, dopóki ja się nie przekonam, że nie pozostaje mi nic innego, jak uklęknąć zgodnie z pańskim życzeniem, w interesie własnym i wszystkich innych.

W pamięci komisarza rozbłysnął fragment *Historii niesławnej kolumny Manzoniego*, w którym pewien nieszczęśnik zostaje zmuszony do

wypowiedzenia zdania: „Rzeknijcie mi, co chcecie ode mnie usłyszeć”, czy czegoś w tym rodzaju. Nie miał jednak ochoty na podejmowanie dyskusji o Manzoni z panem Balducciem.

— Wiadomo mi jednak, że również w tamtych szczęśliwych czasach, o jakich pan mi opowiada, zabijało się ludzi, którzy nie chcieli uklęknąć.

— Oczywiście! — zawołał żywo starzec. — Oczywiście! Ale wie pan, co oznaczało zabić człowieka dlatego, że odmówił posłuszeństwa?

— Nie.

— Oznaczało to przegraną bitwę, oznaczało, że jego odwaga nas do tego zmusiła. Rozumie pan?

— Rozumiem doskonale. Ale, panie Sinagra, nie przyszedłem tutaj, żeby wysłuchać opowieści o dziejach mafii z pańskiego punktu widzenia.

— Przecież z punktu widzenia prawa zna je pan znakomicie!

— Tak, ale pan jest już przegrany albo prawie przegrany. A historii nie piszą nigdy ci, którzy przegrali. W chwili obecnej potrafią może lepiej ją pisać ci, co nie rozmawiają, tylko strzelają. Zwycięzcy, na razie. A teraz, za pozwoleniem...

Zaczął wstawać, lecz starzec powstrzymał go gestem.

— Proszę mi wybaczyć. W moim wieku, przy tylu dolegliwościach, zrobiłem się na dodatek gadatliwy. Panie komisarzu, krótko mówiąc: popełniliśmy może wiele poważnych błędów, bardzo poważnych. Powiedziałem „my”, bo mam na myśli także świętej pamięci Sisina Cuffaro i jego ludzi. Sisino był moim wrogiem, dopóki żył.

— Co to, zaczyna pan wyrażać skruchę?

— Nie, panie komisarzu, wobec prawa nie wyrażam skruchy. Wyrażę ją przed Panem Bogiem, kiedy nadejdzie

właściwa chwila. Chciałem panu powiedzieć jedno: mogliśmy popełniać

bardzo poważne błędy, ale zawsze wiedzieliśmy, że jest pewna granica, której nie wolno przekraczać. Nigdy. Bo po przekroczeniu tej granicy człowiek przestaje się różnić od bestii.

Zamknął oczy, zupełnie wyczerpany.

— Zrozumiałem — powiedział Montalbano.

— Zrozumiał pan naprawdę?

— Naprawdę.

— Wszystko?

— Tak.

— Więc powiedziałem panu to, co chciałem powiedzieć — rzekł starzec, otwierając ponownie oczy. — Jeśli chce pan odejść, proszę bardzo. Życzę miłego wieczoru.

— Nawzajem — odparł komisarz i wstał. Przeszedł przez podwórze i dalej aleją, nie spotykając nikogo. Na wysokości dwóch domków pod araukariami usłyszał dziecięce głosy. W jednym domku był chłopczyk z pistoletem wodnym w rękę, w drugim chłopczyk z kosmicznym karabinem maszynowym. Widocznie Guttadauro usunął stamtąd brodatego ochroniarza i zastąpił go szybko prawnukami pana Balduccio, aby komisarzowi nie przychodziły do głowy złe myśli.

— Bum! Bum! — wołał chłopczyk z pistoletem.

— Tratatata! — odpowiadał mu ten z karabinem maszynowym.

Trenowali, zanim dorosną. Może nawet nie musieli dorastać. Właśnie poprzedniego dnia w Feli aresztowano „baby-killera”, jak nazwały go gazety; miał dopiero jedenaście lat. Jednego z tych, którzy zaczęli mówić (Montalbano nie czuł się na siłach określać ich mianem „skruszonych”, a już szczególnie — „współpracujących z wymiarem sprawiedliwości”). Wyjawił istnienie swojego rodzaju szkoły publicznej, gdzie chłopcy uczyli się strzelać

i zabijać. Wnukom pana Balduccio uczęszczanie do takiej szkoły nie było potrzebne; w domu mogli do woli pobierać prywatne lekcje. Guttadaura ani śladu. Człowiek przy bramie wjazdowej zdjął czapkę, żeby się uklonić przejeżdżającemu komisarzowi, i natychmiast znowu zamknął bramę. Jadąc w dół, Montalbano nie mógł nie zwrócić uwagi na doskonały stan drogi — żadnych kamyków, żadnego, najmniejszego nawet pęknięcia na asfaltowej nawierzchni. Może co rano specjalna ekipa zamiatała ją jak podłogę pokoju. Utrzymanie tej drogi musiało markiza Lauricellę kosztować majątek. Na placówkach postojowych nic się nie zmieniło, choć upłynęła chyba godzina. Jeden mężczyzna przyglądał się nadal płynącym po niebie chmurom, drugi palił w samochodzie papierosa, trzeci wciąż usiłował naprawić motorower. Komisarzowi przyszła ochota zakpić sobie z tego ostatniego. Zatrzymał obok niego samochód.

— Nie chce ruszyć? — zapytał.

— Nie — odpowiedział mężczyzna, patrząc na niego z wyraźnym zakłopotaniem.

— Mogę zajrzeć?

— Nie, dziękuję.

— Mógłbym pana podwieźć.

— Nie! — krzyknął zrozpaczony mężczyzna.

Komisarz pojechał dalej. W domku na końcu drogi stał w oknie człowiek z telefonem komórkowym przy uchu. Przekazywał z pewnością wiadomość, że Montalbano przekracza granicę królestwa pana Balduccia.

Zapadał zmrok. Dotarłszy do miasta, komisarz skierował się na ulicę Cavoura. Zatrzymał się przed numerem 44, otworzył schowek pod tablicą rozdzielczą, wyjął pęk kluczyków, wysiadł. Dozorczyńni nie było. Idąc do windy, nikogo nie spotkał. Otworzył drzwi do mieszkania państwa Griffo,

wszedł i natychmiast znowu je zamknął. Godzinę zajęło mu zebranie wszystkich możliwych papierów, które wkładał do znalezionej w kuchni worka na śmieci. Stało tam również blaszane pudełko po biszkoptach firmy Bracia Lazzaroni, wypełnione po brzegi paragonami. Papiery państwa Griffo powinien był przejrzeć od razu, na samym początku dochodzenia; zaniedbał tego, bo inne sprawy zbyt go absorbowały. Te papiery zawierały może tajemnicę ich choroby — choroby, która spowodowała wkroczenie wyjątkowo sumiennego lekarza.

Miał właśnie zgasić światło w przedpokoju, kiedy przypomniał sobie Fazia, jego niepokój w związku z odwiedzinami u pana Balduccio. Telefon był w jadalni.

— Halo? Halo? Kto to tam mówi? Tu komisariat jest!

— Catarella, tu Montalbano. Jest Fazio?

— Zaraz, od razu, natychmiast panu go daję!

— Fazio? Chciałem ci powiedzieć, że wróciłem cały i zdrowy.

— Wiedziałem o tym, panie komisarzu.

— A kto ci powiedział?

— Nikt, panie komisarzu. Zaraz po pana odjeździe pojechałem za panem. Czekałem potem niedaleko domku, w którym siedzą ochroniarze. Kiedy zobaczyłem, że pan wraca, też wróciłem do komisariatu.

— Jest coś nowego?

— Nic, panie komisarzu, tylko ta kobieta z Pawii dalej wydzwania i pyta o komisarza Augello.

— Prędzej czy później go znajdzie. Posłuchaj, chciałbyś się dowiedzieć, o czym rozmawiałem z wiadomą ci osobą?

— Oczywiście, panie komisarzu. Umieram z ciekawości. — A ja właśnie nic ci nie powiem. Choćbyś zdechł. Wiesz, dlaczego nic ci nie powiem? Bo

nie wykonałeś mojego rozkazu. Powiedziałem ci, żebyś się nie ruszał z komisariatu, a ty za mną pojechałeś. Zadowolony teraz jesteś?

Zgasił światło i z workiem na plecach wyszedł z mieszkania państwa Griffo.

8

Otworzył lodówkę i aż zarżał ze szczęścia. Adelina przygotowała mu dwie dorady w sosie cebulowym, z którymi niewątpliwie będzie się zmagał przez całą noc, ale nie pożałuje. Zanim wziął się do jedzenia, na wszelki wypadek zajrzał do kuchni, aby się upewnić, że jest tam paczuszka sody — Bogu niech będą dzięki! Usiadł na werandzie i opędzłował dokładnie wszystko; na talerzu zostały tylko ości i głowy ryb, wyczyszczone tak gruntownie, że wyglądały na znaleziska kopalne.

Uprzątnął potem stolik i wysypał na niego zebrane w mieszkaniu państwa Griffo papiery, mając nadzieję, że jakieś zdanie, jakaś linijka, jakaś wzmianka pomogą mu wyjaśnić zagadkę zniknięcia dwojga starszków. Zachowywali oni wszystko: listy i pocztówki z pozdrowieniami, fotografie, telegramy, rachunki za światło i za telefon, oświadczenia podatkowe, pokwitowania i paragony, ulotki reklamowe, bilety autobusowe, świadectwa urodzenia i ślubu, odcinki emerytury, legitymacje uprawniające do opieki zdrowotnej, inne, nieważne już legitymacje. Nie brakowało nawet „zaświadczenia o pozostawaniu przy życiu” — szczytowego osiągnięcia biurokratycznej głupoty. Co powiedziałyby Gogol ze swoimi martwymi duszami, gdyby przyszło mu zobaczyć takie zaświadczenie? Gdyby zaś wpadło ono w ręce Franza Kafki, mógłby na jego podstawie napisać jeszcze jedno niepokojące opowiadanie. A teraz, kiedy można już zaświadczać samemu, jak należałoby postąpić? Jaka jest — aby użyć cenionego w urzędach określenia — procedura? Trzeba napisać na kartce papieru zdanie w rodzaju: „Ja, niżej podpisany Salvo Montalbano, oświadczam, że pozostaję przy życiu”, złożyć u dołu podpis i wręczyć kartkę właściwemu urzędnikowi?

W każdym razie papierów dotyczących historii pozostawania przy życiu państwa Griffo nie było zbyt wiele — niecałe kilo kartek i karteczek. Przeglądanie ich Montalbano zakończył około trzeciej nad ranem.

Noc stracona, mamy dziewczynkę — jak zwykle się mówić. Włożył papiery z powrotem do worka i poszedł spać.

Obawy Montalbana okazały się płonne: strawił spożyte dorady bez żadnych trudności. Mógł więc zbudzić się o siódmej po spokojnym i wystarczająco długim śnie. Stał pod prysznicem dłużej niż zwykle, ryzykując, że zużyje cały zapas wody ze zbiornika. Stojąc tak, powtórzył sobie słowo po słowie cały dialog z panem Balduccio. Chciał mieć pewność, że zrozumiał dwa przekazy, które otrzymał od starca, zanim go opuścił. Doszedł wreszcie do wniosku, że słusznie je zinterpretował.

— Panie komisarzu, chciałem panu powiedzieć, że komisarz Augello zadzwonił jakieś pół godziny temu. Przyjdzie tutaj koło dziesiątej — zakomunikował Fazio.

I cofnął się nieco, oczekując, że — jak byłoby to naturalne i jak już się nieraz zdarzyło — Montalbano wybuchnie gniewem na wiadomość, iż jego zastępca znowu poważnie się spóźni. Komisarz zachował jednak spokój, nawet się uśmiechnął.

— Wczoraj wieczorem, kiedy tu wróciłeś, dzwoniła jeszcze ta kobieta z Pawii?

— A jakżeby nie?! Trzy razy jeszcze dzwoniła, zanim straciła nadzieję.

Mówiąc, Fazio przestępował z nogi na nogę jak ktoś, kto bardzo chce sikać, a musi się powstrzymywać. Ale Faziowi nie chciało się sikać — zżerała go ciekawość. Nie ośmielał się jednak otworzyć ust, aby zapytać, co Sinagra powiedział szefowi.

— Zamknij drzwi.

Fazio jednym susem podskoczył do drzwi, zamknął je na klucz i usiadł na brzegu krzesła; z piersią podaną do przodu, z błyszczącymi oczyma, wyglądał jak wygłodzony pies, który czeka, aż pan rzuci mu kość. Rozczarowało go więc nieco pierwsze pytanie Montalbana.

— Znasz księdza nazwiskiem Sciaverio Crucilla?

— Słyszałem o nim, ale osobiście go nie znam. Wiem, że nie jest stąd; jeśli się nie mylę, mieszka w Montereale.

— Postaraj się dowiedzieć o nim wszystkiego: gdzie mieszka, jakie ma przyzwyczajenia, w jakich godzinach bywa w kościele, z kim przestaje, co się o nim mówi. Wypytaj dobrze o wszystko. Kiedy już to zrobisz, a masz tylko jeden dzień...

— Przyjdę do pana i zdam raport.

— Mylisz się. Nie będziesz mi zdawał żadnego raportu. Zacznieś księdza dyskretnie śledzić.

— Panie komisarzu, na pewno pana nie zawiodę. Nie zauważy mnie, choćby miał oczy z tyłu głowy.

— Mylisz się znowu.

Fazio był zaskoczony.

— Panie komisarzu, kiedy kogoś się śledzi, jest żelazną regułą, że obiekt nie powinien tego zauważyć. Bo jeśli zauważy, to co z tego śledzenia?

— W tym przypadku sprawa wygląda inaczej. Ksiądz powinien zauważyć, że go śledzisz. Masz nawet zachowywać się tak, aby zrozumiał, że jesteś jednym z moich ludzi. Pamiętaj — to bardzo ważne, by się domyślił, że jesteś gliną.

— Z takim czymś jeszcze się nie zetknąłem.

— Za to nikt inny nie powinien w żadnym wypadku zauważyć, że ty

księdza śledzisz.

— Panie komisarzu, mogę być z panem szczery? Zupełnie nic z tego wszystkiego nie zrozumiałem.

— Nic nie szkodzi. Możesz nie rozumieć, ale rób to, co ci powiedziałem. Fazio wydawał się obrażony.

— Panie komisarzu, kiedy robię coś, czego nie rozumiem, efekty są beznadziejne. Proszę wziąć to pod uwagę.

— Fazio, ksiądz Crucilla oczekuje, że będziemy go śledzić.

— Ale dlaczego, na rany Chrystusa!

— Bo ma nas doprowadzić w pewne miejsce, ale musi to zrobić tak, aby się wydawało, że nic o tym nie wiedział. Takie przedstawienie, rozumiesz?

— Zaczynam rozumieć. A kto jest w miejscu, do którego ksiądz ma nas doprowadzić?

— Japichinu Sinagra.

— O, kurwa!

— Ten miły eufemizm dowodzi, że zrozumiałeś wreszcie wagę zagadnienia. — Komisarz mówił, jakby czytał z książki.

Tymczasem Fazio zaczął przyglądać się mu podejrzliwie.

— Ale jak pan odkrył, że ten ksiądz Crucilla zna miejsce pobytu Japichinu? Japichinu szukają wszyscy — służby do walki z mafią, ostre pogotowie policyjne, karabinierzy, agenci specjalni — i nikomu nie udaje się go znaleźć.

— Ja niczego nie odkryłem. On mi powiedział albo raczej dał do zrozumienia.

— On? Ksiądz Crucilla?

— Nie. Balduccio Sinagra.

Wydało się, że lekko zadrżała ziemia. Fazio z twarzą całą w ogniu zrobił krok do przodu, potem dwa kroki w tył.

— Jego dziadek? — zapytał, oddychając ciężko.

— Uspokój się, wyglądasz, jakbyś grał na scenie w teatrzyku kukiełkowym. Tak jest, jego dziadek. Chce, żeby Japichinu trafił do więzienia, ale on sam nie jest chyba co do tego całkiem przekonany. Łącznikiem między dziadkiem a wnukiem jest ksiądz, z którym Balduccio chciał mnie u siebie zapoznać. Gdyby nie był tym zainteresowany, odprawiłby go przed moim przyjściem.

— Panie komisarzu, nie mogę w to uwierzyć. Jaką miałby z takiego rozwiązania korzyść? Przecież Japichinu sam Pan Bóg nie uchroni przed dożywociem!

— Pan Bóg może i nie, ale kto inny tak.

— W jaki sposób?

— Zabijając go, Fazio. W więzieniu natomiast ma duże szanse na przeżycie. Młode pokolenie mafiosów daje w dupę i Sinagrom, i Cuffarom. Dlatego więzienie o najwyższym stopniu zabezpieczenia oznacza zabezpieczenie nie tylko tych, którzy żyją poza murami, lecz także tych, którzy przebywają w ich obrębie.

Fazio zastanowił się chwilę i wreszcie dał się przekonać.

— Czy mam także nocować w Montereale?

— Nie sądzę. W nocy ksiądz nie wychodzi chyba z domu.

— Jak ksiądz Crucilla da mi do zrozumienia, że nas doprowadzi do kryjówki Japichinu?

— Nie martw się, już on znajdzie jakiś sposób. Kiedy wskaże ci to miejsce, to pamiętaj, nie rób żadnych kawałów, nie podejmuj inicjatywy. Masz natychmiast skontaktować się ze mną.

— Zgoda.

Fazio wstał z krzesła i skierował się wolno ku drzwiom. W pół drogi stanął i odwrócił się, aby spojrzeć na Montalbana.

— Co jest?

— Panie komisarzu, znam pana dostatecznie długo, żeby się domyślić, że nie mówi mi pan całej prawdy.

— To znaczy czego?

— Pan Balduccio na pewno coś jeszcze panu powiedział.

— W rzeczy samej.

— Mogę wiedzieć co?

— Oczywiście. Powiedział mi, że to nie byli oni, i zapewnił, że nie byli to też ludzie z rodziny Cuffaro. A więc winni są ci nowi.

— Winni czego?

— Nie wiem. W tej chwili nie wiem jeszcze, o co mu, do cholery, mogło chodzić. Ale zaczynam się już czegoś domyślać.

— Powie mi pan?

— Jeszcze na to za wcześnie.

Fazio zdążył zaledwie przekręcić klucz w zamku, kiedy drzwi, otwarte szeroko przez Catarellę, przycisnęły go gwałtownie do ściany.

— Mało brakowało, a rozbiłby mi nos! — krzyknął Fazio, trzymając rękę przy twarzy.

— Panie komisarzu, panie komisarzu — wysapał Catarella — przepraszam za wytargnięcie, ale jest osobiście kwestor we własnej osobie!

— Gdzie jest?

— W aparacie telefonu!

— Daj mi go!

Catarella skoczył zajęczym susem. Fazio poczekał, aż zniknie, i również wyszedł.

Głos Bonetti–Alderighiego był tak zimny, że wydawał się płynąć z zamrażalnika.

— Montalbano? Najpierw proszę o informację, jeśli pan pozwoli: czy do pana należy samochód Tipo z rejestracją AG 334 JB?

— Tak.

Odniosł wrażenie, że głos kwestora dochodzi teraz bezpośrednio z kręgu polarnego. W tle słychać było wycie białych niedźwiedzi (ale czy niedźwiedzie wyją?).

— Proszę natychmiast tu do mnie przyjechać.

— Będę za godzinkę. Załatwię tylko...

— Rozumie pan po włosku? Powiedziałem: natychmiast.

— Proszę wejść, zostawiając drzwi otwarte — nakazał kwestor, zaledwie go zobaczył.

Sprawa musiała być rzeczywiście poważna, bo spotkany przed chwilą na korytarzu Lattes udał, że nie dostrzega komisarza. Kiedy Montalbano zbliżał się do biurka, Bonetti–Alderighi wstał z fotela i poszedł otworzyć okno.

„Zamieniłem się chyba w jakiegoś wirusa — pomyślał Montalbano. — Boi się, że go zarazę”.

Kwestor usiadł ponownie, nie dając znaku, aby i on spoczął. Zupełnie jak w czasach szkolnych, kiedy pan kierownik wzywał go do gabinetu, by porządnie zmyć mu głowę.

— No, to pięknie — odezwał się Bonetti–Alderighi, mierząc go wzrokiem. — Pięknie. Naprawdę pięknie.

Montalbano milczał. Zanim zdecyduje, jak się zachować, musiał wiedzieć, dlaczego zwierzchnik się wścieka.

— Dziś rano — ciągnął kwestor — jak tylko wszedłem do biura, dowiedziałem się o sprawie, którą bez wahania nazwę nieprzyjemną, a nawet nadzwyczaj nieprzyjemną. Dotyczył jej raport, który w najwyższym stopniu mnie rozgniewał. W tym raporcie chodzi o pana.

„Ani słowa!” — rozkazał komisarz sobie samemu. — W raporcie napisano, że samochód Tipo z rejestracją... Przerwał, pochylając się do przodu, aby spojrzeć na leżący na biurku arkusz papieru.

— AG 334 JB? — zasugerował nieśmiało Montalbano.

— Proszę milczeć, ja teraz mówię. Samochód Tipo z rejestracją AG 334 JB przejechał wczoraj wieczorem przed naszym posterunkiem kontrolnym, kierując się w stronę miejsca zamieszkania znanego bossa mafijnego Balduccia Sinagry. Po zebraniu właściwych danych ustalono, że samochód należy do pana, i uznano, że trzeba mnie zawiadomić. Proszę mi teraz powiedzieć jedno: czy jest pan na tyle głupi, by uważać, że ta willa nie znajduje się pod stałą obserwacją?

— Naprawdę? Co pan mówi? — Montalbano udał ogromne zdziwienie. Nad głową zajaśniała mu z pewnością aureola. Potem nadał twarzy wyraz niepokoju i wyszeptał przez zęby: — Psiakrew! Tego tylko brakowało...

— Ma pan naprawdę powód do zmartwienia, Montalbano! Wymagam wyjaśnień. Wyjaśnień, które mnie zadowolą. W przeciwnym wypadku pańska wątpliwa kariera w tym punkcie się kończy. Już od zbyt dawna toleruję pańskie metody, wykraczające bardzo często poza granice prawa!

Komisarz spuścił głowę, udając skruszonego grzesznika. Widząc go w tej pozie, kwestor nabrał pewności siebie i atakował dalej.

— Proszę posłuchać, Montalbano. W przypadku kogoś takiego jak pan nie byłoby wcale wielką niedorzecznością podejrzenie o zмовę! Istnieją, niestety, słynne precedensy, których nie będę panu przypominał, bo zna je

pan doskonale! A poza tym mam już po dziurki w nosie całego waszego komisariatu w Vigacie! Nie wiadomo, czy z was policjanci, czy kamoryści!

Podobało mu się to wyrażenie. Użył go już wcześniej w rozmowie z Augellem.

— Przeprowadzę zupełną czystkę!

Montalbano, zgodnie z ustalonym przez siebie scenariuszem, najpierw załamał ręce, potem wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł sobie twarz. Odezwał się wreszcie z wahaniem.

— Panie kwestorze, jestem w stanie konfliktu wewnętrznego.

— Nie zrozumiałem.

— Jestem bardzo zakłopotany, bo po rozmowie z Balducciem Sinagrą dałem mu... na jego żądanie... słowo honoru, że...

— Że co?

— Że o naszym spotkaniu nikomu nie wspomnę.

Kwestor wyrznął ręką w biurko tak mocno, że z pewnością uszkodził sobie dłoń.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co mi pan tu opowiada? Nikt nie miał wiedzieć o tym spotkaniu! Więc według pana ja, kwestor, pański bezpośredni zwierzchnik, jestem nikim? Pan ma obowiązek, powtarzam: obowiązek...

Montalbano podniósł ręce na znak, że się poddaje. Potem przetarł szybko chusteczką oczy.

— Wiem o tym, panie kwestorze, wiem — powiedział. — Ale gdyby pan zechciał zrozumieć, w jak wielkiej jestem rozterce między obowiązkiem z jednej a danym słowem z drugiej strony...

Pogratulował sam sobie. Jakże piękny jest język włoski! Rozterka — to właśnie słowo, którego potrzebował.

— Komisarzu Montalbano, pan chyba oszalał! Nie zdaje pan sobie zupełnie sprawy z tego, co mówi! Stawia pan na tym samym poziomie obowiązek i obietnicę daną przestępcy!

Komisarz kilkakrotnie przytaknął głową.

— To prawda, prawda! Święte słowa!

— Proszę więc przestać kluczyć i powiedzieć mi zaraz, dlaczego spotkał się pan z Sinagrą! Chcę wyczerpującego wyjaśnienia!

Teraz miała nastąpić kluczowa scena spektaklu, który Montalbano naprędce wyreżyserował. Jeżeli kwestor połknie haczyk, cała sprawa na tym się skończy.

— Sądzę, że chce pójść na współpracę — wyszeptał cicho.

— Co takiego? — spytał kwestor, który zupełnie nic nie zrozumiał.

— Sądzę, że Balduccio Sinagra ma chyba zamiar pójść na współpracę.

Jakby uniesiony w powietrze wybuchem, Bonetti–Alderighi wyskoczył ze swojego fotela i dysząc, pobiegł zamknąć okno. Potem przekręcił klucz w drzwiach.

— Usiądźmy tutaj — powiedział, popychając komisarza w stronę kanapy.
— Nie będziemy musieli głośno mówić.

Montalbano usiadł i zapalił papierosa, choć wiedział, że na widok żdźbła tytoniu kwestora ogarnia szal, prawdziwa histeria. Ale teraz Bonetti–Alderighi nawet tego nie zauważył. Z uśmiechem na ustach i rozmarzonymi oczyma kontemplował samego siebie w otoczeniu swarliwych i niecierpliwych dziennikarzy, w świetle reflektorów, z szeregiem mikrofonów podsuniętych pod same wargi, kiedy, nie stroniąc od krasomówczych efektów, tłumaczy, jak zdołał przekonać do współpracy z wymiarem sprawiedliwości jednego z najbardziej krwiożerczych mafijnych bossów.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć — poprosił Montalbana

konspiracyjnym tonem.

— No więc tak, panie kwestorze. Wczoraj Sinagra zadzwonił do mnie osobiście we własnej osobie, mówiąc, że chce natychmiast się ze mną zobaczyć.

— Mógł pan przynajmniej mnie zawiadomić! — skarcił go lekko kwestor, grożąc palcem wskazującym prawej ręki, jakby się zwracał do dziecka.

— Nie miałem na to czasu, proszę mi wierzyć. Chociaż nie, chwileczkę...

— Tak?

— Przypominam sobie teraz, że do pana dzwoniłem, ale mi powiedziano, że jest pan zajęty, był pan na zebraniu czy na czymś takim...

— To całkiem możliwe — przyznał kwestor. — Ale proszę dalej. Co powiedział panu Sinagra?

— Panie kwestorze, z raportu dowiedział się pan z pewnością, że rozmowa trwała bardzo krótko.

Bonetti–Alderighi wstał, podszedł do biurka, rzucił okiem na arkusz papieru, po czym znowu usiadł na kanapie.

— Czterdzieści pięć minut to nie tak mało.

— Zgoda, ale w te trzy kwadransy musi pan wliczyć drogę tam i z powrotem.

— Słusznie.

— A więc Sinagra nie tyle powiedział mi to otwarcie, ile dał do zrozumienia. Nawet jeszcze mniej: pozostawił wszystko mojej intuicji.

— Sycylijskim obyczajem, prawda?

— Właśnie.

— Czy mógłby pan jaśniej się wyrażać?

— Powiedział, że zaczyna czuć się zmęczony.

— Wyobrażam sobie. Ma dziewięćdziesiąt lat!

— Dokładnie. Zapewnił, że trudno mu znieść uwięzienie syna i zmuszenie wnuka do życia w ukryciu.

Wypowiedź żywcem wyjęta z drugorzędnego filmu udała mu się znakomicie. Ale kwestor wydawał się lekko rozczarowany.

— I nic więcej?

— To już bardzo dużo, panie kwestorze. Proszę się zastanowić: dlaczego chciał mi to wszystko opowiedzieć? Oni, jak panu wiadomo, postępują zawsze nadzwyczaj ostrożnie. Trzeba nam spokoju, cierpliwości i wytrwałości.

— Tak, tak.

— Powiedział mi, że wkrótce zadzwoni znowu.

Po chwili zniechęcenia Bonetti–Alderighi odzyskał entuzjazm.

— Tak właśnie powiedział?

— Dokładnie tak. Ale musimy postępować bardzo rozważnie. Jeden fałszywy krok może wszystko zniszczyć. Stawka jest bardzo wysoka.

Czuł się zdegustowany słowami, które wychodziły mu z ust. Zlepek banałów — ale taki właśnie język w tej chwili popłacał. Zapytał sam siebie, jak długo jeszcze będzie mógł ciągnąć tę farsę.

— Oczywiście, rozumiem.

— Zapewniam pana, panie kwestorze, że nie powiedziałem o tym nikomu z moich ludzi. Nigdy nie można wykluczyć, że znajdzie się donosiciel.

— Ja zrobię tak samo! — przysiągł kwestor, wyciągając do przodu prawicę.

Zupełnie jak średniowieczny rycerz składający przysięgę w Pontidzie. Komisarz wstał.

— Jeśli nie ma pan innych rozkazów...

— Proszę bardzo, niech pan idzie. I dziękuję. Wymienili mocny uścisk dłoni, patrząc sobie w oczy.

— Tylko że... — kwestor osowiał nagle.

— Słucham pana?

— Mam ten nieszczęsny raport. Nie mogę go zignorować, rozumie pan? Muszę dać jakąś odpowiedź.

— Panie kwestorze, jeżeli ktoś wyczuje, że utrzymujemy jakiekolwiek, choćby najbardziej ograniczone kontakty z rodziną Sinagra, i zacznie to rozpowiadać, wszystko będzie na nic. Jestem o tym święcie przekonany.

— Tak, tak.

— Dlatego kiedy powiedział mi pan, że zauważono mój samochód, nie mogłem ukryć rozczarowania.

No proszę, jak to on potrafi pięknie się wyrażać! Czyżby odkrył właściwy sobie sposób mówienia?

— Czy mój samochód został sfotografowany? — spytał po odpowiednio długiej przerwie.

— Nie, zapisano tylko numer rejestracyjny.

— Znalazłoby się więc rozwiązanie. Nie ośmielam się go jednak zaproponować, gdyż trudno byłoby je pogodzić z pańską niezłomną uczciwością człowieka i urzędnika państwowego.

Bonetti–Alderighi westchnął głęboko, jakby miał za chwilę wyzionąć ducha.

— Trudno, niech pan mówi.

— Wystarczy im powiedzieć, że się pomylili, zapisując numer.

— No, ale skąd ja mógłbym o tym wiedzieć?

— Bo właśnie w ciągu tej półgodziny, kiedy według nich przebywałem u Sinagry, pan prowadził ze mną długą rozmowę telefoniczną. Nikt nie ośmieli się panu zaprzeczyć. Co pan na to?

— Hm — powiedział niezbyt przekonany kwestor — zastanowię się.

Montalbano wyszedł, nie wątpiąc, że BonettiAlderighi przewycięży jednak skrupuły i zrobi tak, jak on mu zasugerował.

Zanim wyruszył w drogę powrotną z Montelusy, zadzwonił na komisariat.

— Halo? Halo? Kto tam telefoni?

— Catarella, tu Montalbano. Połącz mnie z komisarzem Augello.

— Nie mogę połączyć, bo nie jest tutaj. Ale był. Czekał, ale pan nie przychodził, to sobie poszedł.

— Wiesz, dlaczego wyszedł?

— Wiem, wiem. Z powodu podpalenia wyszedł.

— Podpalenia?

— Tak, tak. Podpalenie zmyślne, jak powiedział strażak. No i komisarz Augello poszedł z moimi kolegami Gallem i Galluzzem, bo Fazio się nie znajdował.

— Czego chcieli od nas strażacy?

— Powiedzieli, że gaszą to podpalenie zmyślne. Potem komisarz Augello sam wziął aparat telefonu i z nimi gadał.

— Wiesz, gdzie wybuchł pożar?

— Pożar wybuchł w gminie Lava.

Montalbano o takiej gminie nigdy nie słyszał. Komenda straży pożarnej znajdowała się w odległości kilku kroków od komisariatu; poszedł tam natychmiast, przedstawił się. Powiedziano mu, że wywołany z pewnością umyślnie pożar wybuchł w gminie Fava.

— Dlaczego do nas zadzwoniliście?

— Bo w tym wiejskim, na wpół rozwalającym się domu nasi ludzie znaleźli dwa ciała. Chyba dwoje staruszków, mężczyzna i kobieta.

— Zginęli w pożarze?

— Nie, panie komisarzu. Płomienie ogarnęły już resztki chałupy, ale strażacy zdążyli na czas.

— No więc jak umarli ci ludzie?

— Zostali zamordowani.

9

Skręciwszy z szosy, musiał wjechać w polną drogę tak wąską, stromą, usianą kamieniami i wyboistą, że samochód posuwał się po niej z wysiłkiem, wydając żalosne jęki, jakby był żywą istotą. W pewnym punkcie Montalbano musiał się zatrzymać, bo dalszą jazdę uniemożliwiały wozy strażackie i samochody osobowe, zaparkowane wszędzie wokoło.

— Kim pan jest? Dokąd pan idzie? — spytał go nieuprzejmie jakiś podoficer policji, gdy tylko zobaczył, że wysiada z auta i chce iść dalej na piechotę.

— Jestem komisarz Montalbano. Dowiedziałem się, że...

— Dobrze — przerwał mu podoficer — proszę, pańscy ludzie są już na miejscu.

Było gorąco. Zdjął marynarkę i krawat, które musiał włożyć, udając się do kwestora. Mimo to już po kilku krokach znowu był spocony jak ruda mysz. Gdzie ten pożar?

Odpowiedź otrzymał zaraz za zakrętem. Krajobraz nagle zmienił się zupełnie. Nie widać było ani jednego drzewa, ani źdźbła trawy, ani krzaków, ani w ogóle jakichkolwiek roślin — tylko bezkształtną ciemnobrązową przestrzeń, wypaloną słońcem; powietrze było gęste jak w dni okrutnego sirocco, zalatywało spalenizną, tu i ówdzie wznosił się jeszcze słupek dymu. Poczerniały od ognia dom stał w odległości około stu metrów. Usytuowany był na zboczu niewielkiego wzgórza, w pół drogi na szczyt, gdzie błyskały jeszcze płomienie i uwijali się ludzie.

Ktoś idący z przeciwnej strony zbliżył się do komisarza, wyciągając dłoń.

— Cześć, Montalbano. Kolega, komisarz z Comisini.

— Witaj, Micciche. Co ty tu robisz?

— Właściwie to ja powinienem ciebie o to spytać.

— Dlaczego?

— To mój teren. Strażacy nie wiedzieli dobrze, czy gmina Fava podlega Vigacie, czy Comisini, i na wszelki wypadek zawiadomili oba komisariaty. Właściwie to ja powinienem zająć się zwłokami.

— Właściwie ty?

— No tak. Razem z Augellem zadzwoniliśmy do kwestora. Zaproponowałem, że podzielimy się trupami, po jednym dla każdego.

Roześmiał się, oczekując, że Montalbano uczyni to samo, lecz ten w ogóle nie zareagował.

— Ale kwestor kazał zostawić oba trupy dla ciebie, bo zajmujesz się już tą sprawą. Życzę ci powodzenia. Cześć!

Oddalił się, pogwizdując, najwidoczniej zadowolony, że pozbywa się kłopotu.

Montalbano poszedł dalej. Z każdym jego krokiem niebo stawało się coraz bardziej szare. Zaczął pokasływać, oddychał z pewnym trudem. Nie umiał wytłumaczyć sobie przyczyny, lecz ogarnął go jakiś niepokój. Tymczasem podniósł się lekki wiaterek, popiół zawisł w powietrzu, aby opaść dopiero po chwili, nieuchwytny. Montalbano zrozumiał, że odczuwa nie tyle zdenerwowanie, ile irracjonalny strach. Wydłużył krok, lecz przyspieszonym oddechem wchłaniał wciąż do płuc ciężkie, jakby czymś zarażone powietrze. Nie mógł już iść dalej sam. Przystanął i zawołał:

— Augello! Mimě!

Z poczerniałej od dymu, rozwalonej chałupy wyszedł Augello i pobiegł w jego stronę, machając białym kawałkiem płótna. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko, podał go komisarzowi — była to maseczka chroniąca od

smogu.

— Dostaliśmy je od strażaków. Lepsze to niż nic.

Mimě wyglądał teraz na starszego o dwadzieścia lat. Jego włosy zrobiły się siwe, brwi także. To przez ten popiół.

Kiedy Montalbano, wsparty na ramieniu swojego zastępcy, miał już wejść do wnętrza chałupy, poprzez maseczkę poczuł silny zapach przypalonego mięsa. Cofnął się; Mimě spojrział na niego ze zdumieniem.

— Czy to oni?

— Nie — uspokoił go Augello — za domem był pies na łańcuchu; nie wiadomo, do kogo należał. Spalił się żywcem. Okropna śmierć.

— A śmierć państwa Griffo była mniej okropna? — spytał Montalbano, gdy tylko ujrzął oba ciała.

Podłoga z twardo ubitej ziemi zamieniła się w rodzaj bagna, gdyż strażacy włali tam morze wody. Wydawało się, że ciała zaczną zaraz pływać.

Leżeli na brzuchu. Zabito ich pojedynczymi strzałami w kark. Przedtem musieli uklęknąć w komórce bez okna, kiedyś pewnie pełniącej funkcję spiżarni, a potem, gdy dom popadł w ruinę, zamienionej w wychodek, w którym panował przeraźliwy smród. Było to miejsce raczej mało widoczne dla kogoś, kto zajrzyłby przypadkiem do wielkiego pomieszczenia, zamieszkiwanego dawniej przez ludzi.

— Czy można dojechać tu samochodem?

— Do samego domu nie. Można podjechać dość blisko, potem trzeba przejść ze trzydzieści metrów na piechotę.

Komisarz wyobraził sobie dwoje starych ludzi, jak idą nocą, po ciemku, przed kimś, kto trzyma ich pod lufą. Z pewnością potykali się o kamienie, padali i odnosili bolesne obrażenia, za każdym razem musieli jednak się podnieść i iść dalej, może poganiani kopniakami przez swoich oprawców.

Bez wątpienia nie stawiali oporu, nie krzyczeli, nie błagali o litość, zmrożeni świadomością nieuchronnej śmierci. Niekończąca się agonia, prawdziwa droga krzyżowa długości trzydziestu metrów.

Czy ta bezlitosna egzekucja oznaczała ową nieprzekraczalną granicę, o której mówił Balduccio Sinagra? Popełnione z zimną krwią morderstwo dwojga drżących, bezbronnych staruszków? Ależ nie, Balduccio nie taką granicę miał na myśli, nie o to podwójne morderstwo mu chodziło. On i jego ludzie wcale nie byli lepsi: dręczyli i torturowali starych i młodych, udusili nawet i rozpuścili potem w kwasie dziesięcioletnie dziecko, winne tylko tego, że należało do wrogiej rodziny. Dla nich to, co teraz widział, nie znajdowało się jeszcze poza ową linią. Nieznana dotychczas potworność, o której myślał Balduccio, musiała zatem być czymś gorszym. Poczł jakby lekki zawrót głowy i wsparł się mocnej na ramieniu Augella.

— Salvo, nic ci nie jest?

— Ta maseczka przeszkadza mi oddychać.

Nie, to nie przez maseczkę brakowało mu tchu, czuł ciężar na piersi, duszność i smak niezmiernego smutku. Schylił się, aby lepiej obejrzeć oba ciała. I wtedy dostrzegł coś, co go dobiło.

Pod warstwą błota rysowały się wyraźnie jej prawe i jego lewe ramię. Oba były wyprostowane, przylegały do siebie. Komisarz pochylił się jeszcze bardziej, chciał lepiej widzieć. I zobaczył dłonie obojga zamordowanych: palce prawej ręki kobiety były splecione z palcami lewej ręki mężczyzny. Umarli, trzymając się za ręce. W nocy, ogarnięci przerażeniem, mając przed oczyma najciemniejszą ciemność śmierci, odnaleźli się, usiłowali dodać sobie otuchy, jak z pewnością wiele razy czynili za życia. Nagły przypływ bólu i litości uderzył Montalbana w pierś. Komisarz zachwiał się na nogach, jakby dostał cios pięścią. Mimě natychmiast go podtrzymał.

— Wyjdź stąd, nie jest z tobą dobrze.

Posłuchał go. Kiedy znalazł się na zewnątrz, rozejrzał się wokoło. Nie pamiętał już kto — jakiś przedstawiciel Kościoła — oświadczył niegdyś, że piekło z pewnością istnieje, lecz nie wiadomo gdzie. Dlaczego nie spróbuje przyjść tutaj? Może udałoby się je zlokalizować.

Mimě podszedł do niego i uważnie mu się przyjrzał.

— Salvo, jak się czujesz?

— Dobrze, dobrze. Gdzie Galluzzo i Gallo?

— Posłałem ich, żeby pomogli strażakom. Co mieli tu robić? Ty też mógłbyś już pójść. Ja zostanę.

— Zawiadomiłeś wiceprokuratora i sądówkę?

— Wszystkich zawiadomiłem. Prędzej czy później przyjadą. A ty idź już.

Montalbano nie poruszył się. Stał sztywno, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— Czuję się winny — powiedział.

— Co takiego? — zdziwił się Augello. — Winny?

— Tak, winny. Tę sprawę dwojga starszków lekceważyłem sobie od samego początku.

— Salvo — obruszył się Augello — przecież ich przed chwilą widziałeś. Biedacy zostali zamordowani od razu w niedzielę w nocy, po powrocie z wycieczki. Co my mogliśmy zrobić? Nie wiedzieliśmy nawet, że istnieją!

— Chodzi mi o to, co się stało później, kiedy już syn przyszedł zawiadomić nas o zaginięciu.

— Przecież zrobiliśmy wszystko, co należało!

— To prawda. Ale ja zrobiłem to bez przekonania. Mimě, już tu nie wytrzymam. Jadę do Marinelli. Zobaczymy się w biurze koło piątej.

— Dobrze — powiedział Augello.

I patrzył zmartwiony za oddalającym się komisarzem, póki ten nie zniknął

za zakrętem.

Po powrocie do domu nie zajął nawet lodówki. Nie miał ochoty jeść, czuł ucisk w żołądku. Poszedł do łazienki i przejrzał się w lustrze. Od popiołu nie tylko poszarzały mu włosy i wąsy, ale też uwydatniły się zmarszczki, a twarz nabrała bladawego, niezdrowego wyglądu. Obmył ją z grubsza, rozebrał się, rozrzucając po podłodze ubranie i bieliznę, włożył kąpielówkę i pobiegł na brzeg morza.

Uklęknął na piasku i zaczął kopać rękami dużą dziurę. Kopał, dopóki nie zobaczył, że dno szybko zapełnia woda. Zebrał wtedy garść świeżych jeszcze wodorostów i rzucił je w dziurę. Położył się potem na brzuchu, wetknąwszy do środka głowę. Odetchnął głęboko raz, dwa, trzy razy; za każdym wdechem zapach soli morskiej i wodorostów czyścił mu płuca z popiołu, który do nich przeniknął. Podniósł się i wszedł do morza. Kilkoma silnymi uderzeniami ramion oddalił się od brzegu. Nabrał do ust morskiej wody, płukał nią długo podniebienie i gardło. Następnie przez pół godziny kołysał się na falach, o niczym nie myśląc.

Unosił się na wodzie jak sucha gałąź, jak liść.

Wrócił do biura i zadzwonił do doktora Pasquano, który powitał go w typowy dla niego sposób.

— Czekałem na ten pański cholerny telefon! Zastanawiałem się nawet, czy coś się panu nie przytrafiło, bo długo się pan nie odzywał! Martwiłem się! Co chce pan wiedzieć? Tymi dwoma trupami zajmę się jutro.

— Doktorze, proszę tylko o odpowiedź „tak” lub „nie”. Chciałbym wiedzieć w przybliżeniu, czy ci ludzie zostali zabici w nocy z niedzieli na poniedziałek.

— Tak.

— Pojedynczy strzał w kark? Rodzaj egzekucji?

— Tak.

— Czy przed śmiercią byli torturowani?

— Nie.

— Dziękuję, panie doktorze. No i proszę, ile tchu pan zaoszczędził! Będzie go pan miał więcej w chwili zgonu.

— Z jaką przyjemnością przeprowadziłbym na panu autopsję! — odparował lekarz.

Mimě Augello okazał się tym razem nadzwyczaj punktualny — przyszedł dokładnie o piątej. Twarz miał jednak zafrasowaną; widać było doskonale, że dręczy go jakaś myśl.

— Mimě, znalazłeś trochę czasu, żeby odpocząć?

— Ależ skąd! Musieliśmy czekać na Tommasea, wpadł z samochodem do rowu.

— Zjadłeś coś?

— Beba przygotowała mi kanapkę.

— Kto to taki — Beba?

— Sam mi ją przedstawiłeś. Beatrice.

Już była dla niego Beba! Zatem sprawy szły dobrze. Więc dlaczego mnie miał jak na pogrzebie? Montalbano nie zdążył zgłębić tego tematu, bo Augello postawił mu całkiem nieoczekiwane pytanie:

— Kontaktujesz się jeszcze z tą Szwedką... jak jej na imię... Ingrid?

— Nie widzieliśmy się od dawna, ale tydzień temu dzwoniła do mnie. Dlaczego pytasz?

— Możemy jej ufać?

Montalbano nie znosił, aby na jego pytanie odpowiadano innym. Wprawdzie on sam czasem również to robił, ale miał wtedy zawsze określony cel. Teraz postanowił się zabawić, naśladowując rozmówcę.

— A ty jak myślisz?

— Czyż nie znasz jej lepiej ode mnie?

— Do czego jest ci potrzebna?

— Jeśli powiem, nie weźmiesz mnie za wariata?

— Sądzisz, że mógłbym?

— A jeżeli powiem coś zaskakującego?

Komisarza znudziła już ta zabawa. Mimě w ogóle nie zauważył, że ich dialog staje się absurdalny.

— Słuchaj, Mimě, dyskrecji Ingrid jestem absolutnie pewny. A za wariata brałem cię już tyle razy, że nie sprawi żadnej różnicy, jeśli zrobię to znowu.

— Tej nocy nie zmrużyłem oka. Szkoda gadać, Beba nieźle sobie poczyną!

— Przez kogo?

— Przez co. Przez pewien list, jeden z listów Nenč Sanfilippa do kochanki. Nie wyobrażasz sobie, Salvo, jak dokładnie te listy przestudiowałem. Znam je teraz prawie na pamięć.

Ale z ciebie kutas, Salvo! — zganił się w duchu Montalbano. Ciągłe źle o nim myślisz, a tymczasem biedak pracuje nawet w nocy!

Udzieliwszy sobie zasłużonej nagany, natychmiast przewyciężył ten nagły samokrytyczny nastrój.

— Dobrze, dobrze. No i co było w tym liście?

Mimě nie od razu zdecydował się na odpowiedź.

— No więc on najpierw się złości, bo ona się depiluje.

— Dlaczego miał się złościć? Przecież wszystkie kobiety depilują się pod

pachami.

— Nie chodziło o pachy.

— Coś takiego — powiedział Montalbano.

— Depilacja całkowita, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Potem, w kolejnych listach, ta nowość zaczyna mu się podobać.

— No dobrze, ale jakie to wszystko ma znaczenie?

— To ważne! Bo ja, kosztem utraty snu, a może również i wzroku, zrozumiałem chyba, kim była kochanka Nenč Sanfilippa. Pewne opisy jej ciała w listach, pewne drobne szczegóły są bardziej wymowne od fotografii. Wiesz, że ja lubię przyglądać się kobietom.

— Nie tylko się przyglądać.

— Nie przeczę. I jestem przekonany, że tę panią mógłbym rozpoznać. Wystarczy drobiazg, żeby bez cienia wątpliwości ją zidentyfikować.

— Drobiazg? Mimě, co ci przychodzi do głowy? Chcesz, żebym do niej poszedł i powiedział: „Jestem komisarz Montalbano. Będzie pani uprzejma na chwilę ściągnąć majteczki”. Przecież ona w najlepszym wypadku każe mnie zamknąć w zakładzie dla obłąkanych!

— Właśnie dlatego pomyślałem sobie o Ingrid. Jeśli naprawdę chodzi o kobietę, którą mam na myśli, to widziałem ją kilkakrotnie w Montelusie w towarzystwie tej Szwedki. Muszą się przyjaźnić.

Montalbano wykrzywił usta.

— Nie trafia ci to do przekonania? — spytał Mimě.

— Trafia. Ale cała ta sprawa nie jest bynajmniej prosta.

— Dlaczego?

— Nie wyobrażam sobie, żeby Ingrid zechciała zdradzić przyjaciółkę.

— Zdradzić? Kto tu mówi o zdradzie? Można wymyślić jakiś sposób, doprowadzić do tego, że wymknie się jej jakieś słowo...

— Na przykład?

— Powiedzmy, że zaprosisz Ingrid na kolację, zabierzesz ją do domu, wlejesz w nią sporo wina — tego naszego czerwonego wina, za którym cudzoziemki przepadają, i...

— I co, wypytam o owłosienie? Szlag by ją trafił, gdybym zaczął z nią mówić o takich rzeczach. Nie spodziewa się tego po mnie!

Mimě rozdziawił usta ze zdziwienia.

— Nie spodziewa się? Powiedz mi coś... ty i Ingrid... wy nigdy?

— A co ci się wydaje?! — zawołał poirytowany Montalbano. — Ja nie jestem tobą, Mimě!

Augello popatrzył na niego przez chwilę, potem złożył ręce jak do modlitwy i wzniósł oczy ku niebu.

— Co robisz?

— Jutro wyślę list do Jego Świątobliwości — odpowiedział Mimě, udając skruchę.

— I co papieżowi napiszesz?

— Żeby cię kanonizował za życia.

— Przestałbyś w końcu się wygłupiać! — powiedział cierpko komisarz.

Mimě natychmiast spoważniał. Na pewne tematy z szefem należało niekiedy rozmawiać niezwykle ostrożnie.

— W każdym razie, co się tyczy Ingrid, daj mi trochę czasu, żebym się zastanowił.

— Zgoda, Salvo, i nie bierz tego zbyt na serio. Rozumiesz, że zabójstwo z zemsty za przyprawienie rogów to jedno, a...

— Mimě, rozumiem doskonale różnicę. Nie musisz mnie pouczać. W porównaniu ze mną masz jeszcze mleko pod nosem.

Augello przyjął cios w milczeniu. Popęłnił wielki błąd, mówiąc z komisarzem o Ingrid. Teraz trzeba dać mu się wyzłościć.

— Jest, Salvo, inna sprawa, o której chciałbym ci powiedzieć. Wczoraj po kolacji Beba zaprosiła mnie do siebie.

Komisarz wstrzymał oddech. Czyżby między Augellem a Beatrice zaszło w mgnieniu oka to wszystko, co jeszcze nie powinno zajść? Bo jeśli Beatrice poszła z nim od razu do łóżka, to sprawa mogłaby się szybko zakończyć. Mimě wróciłby wtedy siłą rzeczy do swojej Rebeki.

— Nie, Salvo, nie zrobiliśmy tego, co ci się wydaje — powiedział Augello, jakby czytał w jego myślach. — Beba to kochana dziewczyna, bardzo poważna.

Jak to napisał Szekspir? Ach, tak: „Twoje słowa są dla mnie najlepszym pokarmem”. Jeśli Mimě mówi w ten sposób, można mieć nadzieję.

— W pewnej chwili Beba poszła się przebrać. Zostałem sam; wziąłem do ręki leżące na stoliku czasopismo. Otworzyłem je i wypadła wetknięta między strony fotografia. Przedstawiała wnętrze autokaru z pasażerami siedzącymi na swoich miejscach. Na pierwszym planie z boku widać było odwróconą plecami Bebe z rondlem w ręku.

— Kiedy wróciła, zapytałeś, przy jakiej sposobności...

— Nie, wydało mi się to... jak by tu powiedzieć... niedyskretne. Włożyłem zdjęcie z powrotem na miejsce i nic więcej.

— Dlaczego mi to opowiadasz?

— Bo coś sobie pomyślałem. Jeśli podczas tych podróży robi się pamiątkowe zdjęcia, to może są też jakieś z wycieczki do Tindari, w której uczestniczyli państwo Griffi. Jeśli odnajdziemy te fotografie, to może czegoś

się z nich dowiemy... nie wiem dokładnie czego.

No tak, nie można zaprzeczyć, że Augello wpadł na dobry pomysł. Oczekiwał z pewnością na pochwałę. Montalbano jednak zachował się ozięble i po świńsku, odmawiając mu tej satysfakcji. Gorzej — zawziął się na niego.

— Mimě, powieść przeczytałeś?

— Jaką powieść?

— Jeśli się nie mylę, razem z listami dałem ci rodzaj powieści, którą Sanfilippo...

— Nie, tego jeszcze nie przeczytałem.

— A właściwie dlaczego?

— Jak to dlaczego? Przecież pocę się nad tymi listami. Zanim zacznę czytać powieść, chciałbym wiedzieć, czy odgadłem, kto był kochanką Sanfilippa.

Augello wstał.

— Dokąd idziesz?

— Mam spotkanie.

— Słuchaj, Mimě, to nie hotel, gdzie każdy robi...

— Obiecałem Bebie, że pójdę z nią...

— Dobrze już, dobrze. Idź, w drodze wyjątku — zgodził się wspaniałomyślnie Montalbano.

— Halo, firma Malaspina? Tu komisarz Montalbano. Czy jest kierowca Tortorici?

— Właśnie wrócił. Stoi tu obok. Już go panu daję.

— Dobry wieczór, panie komisarzu — powiedział Tortorici.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale potrzebuję pewnej informacji.

— Na pańskie rozkazy.

— Może mi pan powiedzieć, czy na wycieczkach robi się zdjęcia?

— No więc... tak... ale...

Wydawał się mocno zakłopotany, mówił z wahaniem.

— Robi się czy nie?

— Przepraszam, panie komisarzu, czy mogę oddzwonić do pana najpóźniej za pięć minut?

Zadzwoił wcześniej.

— Panie komisarzu, proszę mi wybaczyć, nie mogłem mówić przy księgowym.

— Dlaczego?

— Widzi pan, panie komisarzu, bardzo mało mi tu płacą.

— Co to ma do rzeczy?

— Ma, ma... Muszę zaokrąglić, panie komisarzu.

— Panie Tortorici, proszę mówić jaśniej.

— Prawie wszyscy pasażerowie mają ze sobą aparaty fotograficzne. Kiedy wyjeżdżamy, mówię im, że w autokarze nie wolno robić zdjęć, że będą sobie fotografować do woli, jak dojedziemy na miejsce. Dodaję, że pozwolenie na fotografowanie podczas podróży mam tylko ja. Wszyscy mi wierzą, nikt nie protestuje.

— No, ale pan musi prowadzić, więc kto robi te zdjęcia?

— Proszę o to akwizytora albo jednego z pasażerów. Potem je daję do wywołania i sprzedaję tym, którzy życzą sobie mieć pamiątkę z wycieczki.

— A dlaczego nie chciał pan, żeby słyszał pana księgowy?

— Bo nie prosiłem go o pozwolenie na robienie zdjęć.

— Więc wystarczy to zrobić i po sprawie.

— Właśnie, wtedy on jedną ręką da mi pozwolenie, a drugą zażąda swojej doli. Panie komisarzu, mam bardzo nędzną pensję.

— Zachowuje pan negatywy?

— Oczywiście.

— Mogę od pana dostać te z ostatniej wycieczki do Tindari?

— Mam je już wywołane! Po zaginięciu państwa Griffo zabrakło mi odwagi, żeby te zdjęcia sprzedawać. Ale teraz, kiedy już wiadomo, że zostali zamordowani, sprzedam na pewno wszystkie, i to za podwójną cenę!

— Niech pan posłucha, zrobimy tak. Kupuję wszystkie zdjęcia już wywołane i zostawiam panu negatywy. Sprzeda je pan wedle własnego uznania.

— Kiedy chce pan mieć zdjęcia?

— Jak najszybciej.

— Teraz muszę jechać, żeby coś załatwić w Montelusie. Przyniosę je panu do komisariatu koło dziewiątej, dobrze?

Zrobił już tyle, że robi jeszcze więcej. Ingrid z mężem przeprowadzili się po śmierci jego ojca. Poszukał numeru. Była pora kolacji; Szwedka, kiedy tylko mogła, wolała jeść z rodziną.

— Ty mófić, ja słukać — odezwał się w słuchawce kobiecy głos.

Ingrid zmieniła mieszkanie, ale pozostała wierna swoim zwyczajom i nadal sprowadzała pomoce domowe z Ziemi Ognistej, ze stoków Kilimandżaro, z arktycznego kręgu polarnego.

— Tu Montalbano.

— Jak ty mófić?

Ta kobieta wywodziła się zapewne z australijskich Aborygenów.

Naprawdę godna uwagi byłaby rozmowa między nią a Catarellą.

— Tu Montalbano. Jest pani Ingrid?

— Ona robić papu–papu.

— Zawołasz mi ją?

Mijały długie minuty. Gdyby nie dochodzące z oddali głosy, pomyślałby, że przerwano połączenie.

— Kto mówi? — zapytała w końcu Ingrid podejrzliwie.

— Montalbano.

— To ty, Salvo! Służąca powiedziała, że przy telefonie jest jakiś Bano. Miło cię słyszeć.

— Ingrid, przepraszam, ale potrzebuję twojej pomocy.

— Przypominasz sobie o mnie tylko wtedy, kiedy mogę ci się przydać.

— Daj spokój, to poważna sprawa.

— No dobrze, czego chcesz?

— Czy jutro wieczorem możemy zjeść razem kolację?

— Doskonale, rezygnuję z innych zajęć. Gdzie?

— W tym samym co zwykle barze w Marinelli. O ósmej, jeśli to dla ciebie nie za wcześnie.

Odkładając słuchawkę, poczuł się zakłopotany i nieszczęśliwy. Mimě postawił go w naprawdę trudnej sytuacji. Co zrobi, jakie słowa znajdzie, aby wypytać Ingrid o tę jej przypuszczalną depilowaną przyjaciółkę? Widział się już, jak czerwony na twarzy i spocony bełkoce niezrozumiałe zdania, a Szwedka słucha go z rosnącym rozbawieniem... Nagle zeszywniał. Jest chyba wyjście. Jeśli Nenč Sanfilippo umieścił w komputerze swoją erotyczną korespondencję, to może...

Złapał klucze od mieszkania na ulicy Cavoura i wybiegł z komisariatu.

10

Z taką samą szybkością, z jaką Montalbano wychodził z komisariatu, Fazio do niego wchodził. Doszło zatem do nieuchronnego czołowego zderzenia, godnego najlepszych filmowych komedii: ponieważ byli jednego wzrostu i pędzili obaj z pochyloną głową, o mało co nie szczepili się rogami, jak jelenie w rui.

— Dokąd pan idzie? Muszę z panem porozmawiać — powiedział Fazio.

— No to rozmawiajmy — rzekł Montalbano.

Fazio zamknął na klucz drzwi biura i usiadł, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Załatwione, panie komisarzu.

— Jak to? — zdziwił się Montalbano. — Tak od razu?

— Tak jest, od razu. Ksiądz Crucilla jest sprytny; kiedy odprawia mszę, potrafi pewno obserwować w lusterku wstecznym wewnątrz kościoła, żeby zobaczyć, co robią parafianie. Krótko mówiąc, zaraz po przybyciu do Montereale poszedłem do kościoła i usiadłem w jednej z ławek tylnego rzędu. Oprócz mnie nie było żywego ducha. Wkrótce potem z zakrystii wyszedł ksiądz Crucilla w szatach liturgicznych, za nim ministrant. Szli chyba z ostatnim namaszczeniem do umierającego. Mijając mnie, spojrział w moją stronę, byłem dla niego nową twarzą; ja też na niego spojrziałem. Pozostałem jak przykuty do ławki przez niecałe dwie godziny, dopóki nie wrócił. Znowu na siebie spojrzeliśmy. Posiedział z dziesięć minut w zakrystii i wyszedł ponownie, ciągle z ministrantem. Przechodząc obok, pozdrowił mnie — pomachał mi dłonią z rozpostartymi pięcioma palcami. Co to pańskim zdaniem miało znaczyć?

— Że chce, byś wrócił do kościoła o piątej.

— Ja też tak pomyślałem. No i widzi pan, jaki on sprytny? Gdybym był po prostu jednym z wiernych, to pozdrowienie byłoby tylko pozdrowieniem; jednak dla mnie, pańskiego wysłannika, nie było to pozdrowienie, ale znak, że spotkanie ma się odbyć o piątej.

— I co zrobiłeś?

— Pojechałem na obiad.

— W Montereale?

— Nie, panie komisarzu, nie jestem taki głupi, jak pan sądzi. W Montereale są tylko dwie restauracje, a ja znam tam kupę ludzi. Nie chciałem, żeby mnie zobaczyli. Miałem czas, więc pojechałem w okolice Bibery.

— Tak daleko?

— Tak, ale pomyślałem, że warto. Powiedziano mi, że jest tam zajazd, gdzie się je, jak Pan Bóg przykazał.

— Jak się nazywa? — spytał natychmiast żywo zainteresowany Montalbano.

— „U Peppuccia”. Ale gotują okropnie. Może trafiłem na zły dzień, może właściciel, który jest też kucharzem, był nie w humorze. W każdym razie jeśli będzie pan w tamtych stronach, proszę unikać tego Peppuccia. Krótko mówiąc, za dziesięć piąta byłem z powrotem w kościele. Tym razem zebrało się tam trochę ludzi, dwóch mężczyzn i siedem, osiem kobiet, sami starzy. Punkt piąta ksiądz Crucilla wyszedł z zakrystii, popatrzył na parafian. Odniosłem wrażenie, że szuka mnie oczyma. Potem zajął miejsce w konfesjonale i zaciągnął firankę. Zaraz podeszła jakaś kobieta i skończyła dopiero po dobrym kwadransie. Z czego mogła się tak długo spowiadać?

— Pewno z niczego — powiedział Montalbano. — Chodzą do spowiedzi,

żeby sobie z kimś pogadać. Wiesz chyba, jaka jest starość.

— Wtedy podniosłem się i znowu usiadłem w ławce blisko konfesjonału. Po tamtej staruszce podeszła druga, spowiadała się ze dwadzieścia minut. Potem była moja kolej. Ukląkłem, przeżegnałem się i oznajmiłem: „Ojcze, przysyła mnie komisarz Montalbano”. Chwilę nic nie mówił, po czym zapytał, jak się nazywam. Powiedziałem mu, a on: „Dzisiaj nie można tego zrobić. Wróć wyspowiadać się jutro rano, przed pierwszą mszą”. „Przepraszam, o której jest pierwsza msza?” — zapytałem. On na to: „O szóstej. Masz przyjść za kwadrans szósta. Komisarzowi powiedz, żeby był gotowy, bo zrobimy to na pewno jutro pod wieczór”. Potem dodał jeszcze: „Teraz wstaniesz, przeżegnasz się, wrócisz na to samo miejsce, odmówisz pięć *Zdrowaś Mario* i trzy *Ojcze nasz*, znowu się przeżegnasz i sobie pójdziesz”.

— A ty co zrobiłeś?

— Co miałem zrobić? Odmówiłem pięć zdrowasiek i trzy *Ojcze nasz*.

— Dlaczego nie wróciłeś wcześniej, skoro tak szybko wszystko załatwiłeś?

— Popsuł mi się samochód i straciłem niemało czasu. Co robimy?

— To, co ksiądz nam każe. Jutro rano, za kwadrans szósta, wysłuchasz tego, co ci powie, i wrócisz tu złożyć raport. Jeśli powiedział, że sprawę da się załatwić pod wieczór, to miał na myśli wpół do siódmej, siódmą. Postąpimy zgodnie z tym, czego się od niego dowiesz. Pojedziemy w czwórkę jednym wozem, żeby nie robić hałasu. Ja, Mimě, ty i Gallo. Do zobaczenia jutro, jestem zajęty.

Fazio wyszedł, a Montalbano wybrał numer domowy Ingrid.

— Ty mófić, ja stukać — usłyszał znany mu już egzotyczny głos.

— Mófi ten sam, co mófił przedtem. Jestem Bano.

Podziałało doskonale, Ingrid odpowiedziała mu w pół minuty.

— Salvo, co się stało?

— Zmiana planu, ogromnie mi przykro. Jutro wieczorem nie możemy się zobaczyć.

— No to kiedy?

— Pojutrze.

— Całuję cię.

Nie dodała nic więcej. Taka była Ingrid i dlatego Montalbano szanował ją i lubił. Nie domagała się wyjaśnień, których on zresztą nie mógłby jej udzielić. Po prostu przyjmowała do wiadomości. Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety tak bardzo kobiecej jak Ingrid, a jednocześnie tak całkowicie niekobiecej.

Przynajmniej zgodnie z wyobrażeniem, jakie my, mężczyźni, wyrobiliśmy sobie o kobietach — zakończył swoje rozważania Montalbano.

Szedł szybkim krokiem, ale na wysokości zajazdu „San Calogero” zatrzymał się nagle, jak to robią osły, kiedy z jakichś tajemniczych powodów postanawiają stanąć i nie ruszać się mimo uderzeń batem i kopniaków. Spojrzał na zegarek, była dopiero ósma. Za wcześnie na kolację. Jednak praca, oczekująca go na ulicy Cavoura, będzie trwała długo, z pewnością zabierze mu całą noc. Może mógłby zacząć, a potem przerwać koło dziesiątej... Ale jeśli poczuje apetyt wcześniej?

— No i co, panie komisarzu, decyduje się pan czy nie?

To był Calogero, właściciel. Stał w drzwiach i na niego patrzył.

Montalbano powziął decyzję.

Pomieszczenie było zupełnie puste; o ósmej wieczorem jadają mediolańczycy, na Sycylii zaczyna się myśleć o kolacji dopiero po dziewiątej.

— Co dziś mamy dobrego?

— Proszę popatrzeć tutaj — powiedział z dumą Calogero, wskazując na ladę chłodniczą.

Śmierć uderza ryby w oczy, przesłania je mgłą. Te ryby miały jednak oczy żywe i błyszczące, jakby pływały jeszcze w morzu.

— Przygotuj mi cztery barweny.

— Pierwszego dania pan nie chce?

— Nie. Co masz na przystawkę?

— Ośmiorniczki, rozpuszczają się w ustach. Nie będzie pan musiał używać zębów.

Calogero mówił prawdę. Ośmiorniczki były tak miękkie, że rzeczywiście rozpuszczały się w ustach. Barwenami delectował się wolno, skropiwszy je odrobiną „przyprawy furmańskiej”, to jest oliwy aromatyzowanej czosnkiem i papryką.

Komisarz miał zwyczaj spożywać ryby na dwa sposoby. Pierwszy stosował rzadko i tylko wtedy, gdy mu się spieszyło: usuwał wówczas ości, gromadził na talerzu same części jadalne i zaczynał konsumpcję. Jeśli wybrał drugi sposób, dający mu o wiele więcej zadowolenia, zapracowywał sobie na każdy kolejny kęs, stopniowo wydobywając z niego ości. Zabierało mu to wprawdzie więcej czasu, ale te właśnie chwile stanowiły rodzaj zapowiedzi: kiedy usuwał ości z przyprawionego już kawałka, w jego mózgu włączały się wstępnie zmysły smaku i powonienia. Zdawało mu się wówczas, że je już rybę, którą za moment spożyje po raz drugi.

Gdy wstał od stołu, było już wpół do dziesiątej. Postanowił przejść się do portu. Zrobił tak w gruncie rzeczy dlatego, że nie spieszyło mu się do atrakcji, które najprawdopodobniej miał zobaczyć na ulicy Cavoura. Na

statek pocztowy do Sampedusy ładowano kilka wielkich ciężarówek. Pasażerów mało, żadnych turystów, sezon jeszcze się nie zaczął. Pochodził bez celu przez godzinę.

Jak tylko wszedł do mieszkania Nenč Sanfilippa, upewnił się, że okna są szczelnie zamknięte i nie przepuszczają światła. Potem udał się do kuchni, gdzie wśród wielu innych rzeczy denat trzymał przybory do parzenia kawy. Montalbano użył największego ze znalezionych ekspresów, takiego na cztery filiżanki. Czekaając na kawę, rozejrzał się po mieszkaniu. Obok komputera, którego zawartość przejrzał Catarella, znajdował się regał pełen dyskietek, płyt CD-ROM i kompaktowych, wideokaset. Catarella uporządkował dyskietki komputerowe i włożył między nie kartkę z napisem drukowanymi literami: DYSKWIETKI ŚWIŃSKIE. A zatem materiał pornograficzny. Policzył wideokasety — było ich trzydzieści. Piętnaście zakupionych w jakimś sex-shopie, o kolorowych okładkach i zupełnie jednoznacznych tytułach; pięć nagranych przez samego Nenč i opatrzonych każda innym kobiecym imieniem — Laura, Renée, Paola, Giulia, Samantha. Pozostałe dziesięć było oryginalnymi kasetami z filmami, bez wyjątku amerykańskimi, o tytułach sugerujących seks i przemoc. Montalbano zabrał kasety z imionami kobiet i zaniósł je do sypialni, gdzie Nenč Sanfilippo miał telewizor z gigantycznym ekranem. Tymczasem kawa się zagotowała. Komisarz wypił filiżankę, wrócił do sypialni, zdjął marynarkę i buty, wsadził do magnetowidu pierwszą kasetę, jaka nawinęła mu się pod rękę — Samantha — i wyciągnął się na łóżku, podłożywszy sobie pod głowę dwie poduszki. Zapalił papierosa i włączył magnetowid.

Scenografia sprowadzała się do małżeńskiego łóża — tego samego, na którym wyciągnął się Montalbano. Film nakręcono nieruchomą kamerą, nadal stojącą na komodzie naprzeciwko i daremnie oczekującą na nowe

sceny erotyczne. W górze, dokładnie nad komodą, umocowane były dwa małe reflektory, które włączało się we właściwej chwili, odpowiednio nakierowane. Powołaniem Samantha, rudzielca o wzroście nieprzekraczającym metr pięćdziesiąt, była przede wszystkim akrobacja; dziewczyna skręcała się tak bardzo i przyjmowała tak niezwykle pozy, że często nie starczało dla niej miejsca w kadrze. Co do Nenč Sanfilippa, wyglądało na to, że w tej powtórcie z Kamasutry doskonale się czuje. Nagranie było okropne, nieliczne słowa ledwo dały się słyszeć, natomiast przeraźliwie głośno rozbrzmiewały przeróżne jęki, kwiki, westchnienia i stęknienia — jak w telewizji, kiedy nadają reklamę. Cały program trwał trzy kwadransy. Śmiertelnie znudzony komisarz włączył drugą kasetę — Renée. Zauważył tylko, że scenografia się nie zmieniła i że Renée jest bardzo wysoką i bardzo chudą dwudziestolatką z olbrzymimi cycami, bez śladu depilacji. Nie chciał mu się oglądać całej kasety, więc postanowił uruchomić pilotem szybki podgląd do przodu i powracać do normalnej prędkości tylko od czasu do czasu. Pomysłu nie zdołał urzeczywistnić, bo zaledwie ujrzał Sanfilippa biorącego Renée od tyłu, ogarnęło go tak przemożne, nieodparte znużenie, że natychmiast zamknął oczy i zapadł w głęboki, ciężki sen. Tuż przed tym pomyślał jeszcze, że najlepszym środkiem nasennym jest pornografia.

Obudził się nagle, nie pojmując, czy to z powodu wycia Renée pod wpływem przypominającego trzęsienie ziemi orgazmu, czy też z powodu odgłosów gwałtownego kopania w drzwi wejściowe i nieustannego brzęczenia dzwonka. Co się dzieje? Oszołomiony wyłączył magnetowid i rozczochrany, bez marynarki, w opadających spodniach (więc rozpiął pasek, żeby mu było wygodniej?) i bez butów skierował się w stronę drzwi. Idąc, usłyszał gromki głos, którego w pierwszej chwili nie rozpoznał.

— Otwierać! Policja!

Naprawdę dziwne. Czy to nie on jest policją?

Otworzył drzwi i przeraził się. Zobaczył najpierw Mimě Augella złożonego poprawnie do strzału (kolana lekko ugięte, dupa podana nieco do tyłu, ramiona wyciągnięte naprzód, obie ręce obejmują kolbę pistoletu), za nim wdowę Concettę Lo Mascolo z domu Burgio, a za ich plecami cały tłum, stłoczony zarówno na podeście, jak i na klatce schodowej. Jednym rzutem oka rozpoznał: rodzinę Crucilla w komplecie (pan Stefano, emeryt, w koszuli nocnej, jego żona w płaszczu kąpielowym frotte i córka Samanta, ta bez litery „h”, w długim, prowokująco obcisłym swetrze); pana Mistrettę w kalesonach i podkoszulku oraz — co było zupełnie dziwne — z czarną, bezkształtną torbą w ręku; Pasqualina De Dominicis, małego podpalacza, między tatusiem Guidem w piżamie i mamusią Giną w zwiewnej, choć niemodnej już podomce baby-doll.

Pojawienie się komisarza wywołało dwa skutki: czas się zatrzymał i wszyscy skamienieli. Skorzystała z tego wdowa Concetta Lo Mascolo z domu Burgio, aby dramatycznym tonem zaimprovizować pouczająco — wyjaśniający monolog.

— O Matko Przenajświętsza, o Matko Boża, ile ja się najadłam strachu! Ledwo co poszłam do łóżka, a tu nagle wydaje mi się, że znowu słyszę symfonię z czasów, kiedy ten świętej pamięci był jeszcze żywy! Kurwa krzyczała: ach, ach, ach, a on rznął ją jak świnie! Dokładnie, identycznie tak jak przedtem! Więc jak to, duch wraca do domu i przyprowadza ze sobą kurwę? I zaczyna, przepraszam za słowo, jebać, jakby był żywy? Aż mnie zmroziło! Umierałam ze strachu! Więc zadzwoniłam na policję. Wszystko mogłam sobie wyobrazić, tylko nie to, że pan komisarz tu przyszedł, by sobie pofolgować. Wszystko mogłam sobie wyobrazić!

Wniosek, do którego doszła wdowa Concetta Lo Mascolo z domu Burgio,

a wraz z nią wszyscy obecni, opierał się na żelaznej logice. Ogarniętemu przerażeniem Montalbanowi zabrakło sił, aby zareagować. Stał w drzwiach zamieniony w słup soli. Zareagował natomiast Mimě Augello, który włożywszy pistolet do kieszeni, popchnął gwałtownie komisarza do tyłu, w głąb mieszkania.

— Dostyc tego! Idźcie spać! Rozejść się! Nie ma tu nic do oglądania! — krzyknął tak głośno, że lokatorzy natychmiast rzucili się do ucieczki.

Potem zatrzasnął drzwi za plecami i zbliżył się do komisarza. Twarz miał zmienioną zdenerwowaniem.

— Co ty, kurwa, sobie myślisz? Co ci strzeliło do łba, żeby przyjść tu z kobietą? Gdzie ona jest? Spróbujemy wyprowadzić ją z domu bez robienia nowej awantury.

Montalbano nie odpowiedział. Przeszedł do sypialni, Mimě za nim.

— Schowała się w łazience? — spytał Augello.

Komisarz włączył ponownie magnetowid, nastawiając go ciszej.

— Oto ona, ta kobieta — powiedział.

I usiadł na brzegu łóżka. Augello spojrział na ekran i osunął się nagle na krzesło.

— Jak ja mogłem nie pomyśleć o tym wcześniej?

Montalbano zatrzymał taśmę.

— Mimě, prawda jest taka: i ja, i ty podeszliśmy do zabójstwa tych dwojga starszaków i Sanfilippa bez zbytniego zaangażowania, zaniedbując pewne rzeczy, które należało zrobić. Może mamy głowy zaprzątnięte innymi myślami, zajmujemy się bardziej własnymi sprawami niż śledztwem. Koniec z tym. Zaczynamy od nowa. Zastanowiłeś się kiedykolwiek, dlaczego Sanfilippo umieścił w komputerze korespondencję z kochanką?

— Nie, ale ponieważ on komputerami zajmował się zawodowo...

— Mimě, dostawałeś jakieś listy miłosne?

— Oczywiście.

— Co z nimi robiłeś?

— Niektóre zachowałem, innych — nie.

— Dlaczego?

— Bo niektóre były ważne i...

— Stop. Powiedziałeś: ważne. Naturalnie ze względu na treść, ale może także ze względu na to, jak były napisane, na charakter pisma, błędy, skreślenia, akapity, kolor papieru, adres na kopercie... Jednym słowem, patrząc na taki list, łatwo wywoływałeś z pamięci osobę, która go napisała. Mam rację czy nie?

— Masz rację.

— Kiedy przeniesiesz go do komputera, taki list traci wszelką wartość. No, może nie wszelką, ale w dużym stopniu. Traci też wartość dowodową.

— Przepraszam — w jakim sensie?

— Nie można na przykład wykonać na jego podstawie ekspertyzy grafologicznej. Ale lepiej mieć kopię listu z drukarki komputerowej niż w ogóle nic.

— Mów jaśniej.

— Przypuśćmy, że związek Sanfilippa jest związkiem niebezpiecznym, oczywiście nie jak u Laclos...

— Co to za jeden ten Laclos?

— Mniejsza z tym. Powiedziałem „niebezpieczny” w tym sensie, że jego odkrycie mogłoby się naprawdę źle skończyć, doprowadzić do morderstwa. Może Nenč Sanfilippo pomyślał tak: jeśli nas odkryją, przekazanie im oryginalnej korespondencji uratuje nam życie. Krótko mówiąc, przynosi listy

do komputera, a pakiet oryginałów zostawia na widoku, przygotowany do wymiany.

— Do której jednak nie dochodzi, bo oryginały listów zniknęły, a jego i tak zamordowano.

— Właśnie. Jestem jednak przekonany o jednym: Sanfilippo wiedział, że decydując się na ten związek, znajdzie się w niebezpieczeństwie, ale nie docenił jego wagi. Odnoszę wrażenie... uważaj dobrze, tylko wrażenie... że nie chodzi tu jedynie o potencjalną zemstę męża, któremu przyprawiono rogi. Idźmy jednak dalej. Powiedziałem sobie: jeśli Sanfilippo pozbawił się korzyści, jaką daje posiadanie odręcznych listów partnerki, czyli możliwości łatwego wywołania jej z pamięci, to jest bardzo mało prawdopodobne, żeby nie zachował przynajmniej jakiegoś zdjęcia, jakiegoś wizerunku kochanki. Dlatego pomyślałem o złożonych tutaj wideokasetach.

— I przyszedłeś je sobie obejrzeć.

— Tak, ale zapomniałem, że jak tylko zaczynam oglądać film pornograficzny, ogarnia mnie senność. Widziałem filmy nakręcone tu, w mieszkaniu, przez niego samego, z udziałem różnych dziewczyn. Nie sądzę jednak, żeby był aż tak głupi.

— Co chcesz powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że na pewno podjął jakieś środki ostrożności, żeby ktoś trzeci nie mógł od razu odkryć, kim ona jest.

— Salvo, może to przez zmęczenie, ale...

— Mimě, kaset jest trzydzieści i trzeba je wszystkie przejrzeć.

— Wszystkie?!

— Tak, wszystkie, i zaraz ci wytłumaczę dlaczego. Są tutaj trzy rodzaje kaset. Pięć nakręconych przez Sanfilippa dokumentuje jego wyczyny z pięcioma różnymi kobietami. Piętnaście to kasety pornograficzne, które

gdzieś kupił. Dziesięć to amerykańskie filmy do użytku domowego. Jak ci już powiedziałem, trzeba je wszystkie przejrzeć.

— Nie zrozumiałem jeszcze, dlaczego mamy tracić tyle czasu. Na kasetach ze sklepu nie można nagrywać od nowa, bez względu na to, jakiego rodzaju filmy się na nich znajdują.

— I tu się mylisz, bo można. Wystarczy odpowiedni zabieg; wytłumaczył mi to kiedyś Nicolò Zito. Widzisz, Sanfilippo mógł zrobić tak: wziął taśmę z jakimkolwiek filmem, powiedzmy z *Kleopatry*, puścił ją przez kwadrans, zatrzymał i nagrał na niej to, co chciał. I co się dzieje? Otóż osoba trzecia wkłada kasetę do magnetowidu, widzi, że to naprawdę *Kleopatra*, zatrzymuje taśmę, wyjmuje i wkłada inną kasetę. A właśnie na tamtej kasecie było to, czego szukała. Jasne?

— Wystarczająco — powiedział Mimè — aby mnie przekonać, że trzeba przejrzeć wszystkie kasety. A potrwa to z pewnością długo, nawet jeśli wciśniemy podgląd z przyspieszeniem.

— Uzbrój się w cierpliwość — skomentował Montalbano.

Wciągnął i zasznurował buty, włożył marynarkę.

— Dlaczego się ubierasz? — spytał Augello.

— Bo idę do domu. Ty zostajesz tutaj. Wiesz przecież, jak może wyglądać ta kobieta, jesteś jedynym, który umiałby ją rozpoznać. Jeśli ją odnajdziesz na jednej z tych taśm — a jestem pewien, że tak będzie — dzwoń do mnie o jakiegokolwiek porze. Dobrej zabawy.

Wyszedł z pokoju, nie czekając na odpowiedź Augella.

Gdy szedł schodami w dół, zauważył, że na poszczególnych piętrach ostrożnie uchylają się drzwi. Mieszkańcy domu przy ulicy Cavoura 44 nie poszli do łóżek, licząc na to, że zobaczą ognistą niewiastę, która spółkowała z komisarzem. Stracona noc — dla nich.

Na ulicy ani żywego ducha. Z bramy wyszedł kot i pozdrowił go miauczeniem. Komisarz odwzajemnił się słowami: „Cześć, co słyhać?” Kot poczuł do niego sympatię i towarzyszył mu przez dwie przecznice, zanim zawrócił. Nocne powietrze spędzało z oczu senność. Samochód Montalbana stał przed komisariatem. Strumyczek światła wydostawał się spod zamkniętych drzwi. Komisarz nacisnął dzwonek; otworzył mu Catarella.

— Co się stało, panie komisarzu? Ma pan jakąś potrzebę?

— Spałeś?

Obok wejścia, gdzie znajdowała się centralka, był malutki pokoik z łóżkiem polowym, na którym dyżurujący mógł się zdrzemnąć.

— Nie, panie komisarzu, rozwiązywałem krzyżówkę.

— Tę, nad którą ślęczysz od dwóch miesięcy?

Catarella uśmiechnął się z dumą.

— Nie, panie komisarzu, tamtą już rozwiązałem. Zacząłem teraz nową, na sto procent nową.

Montalbano wszedł do swojego gabinetu. Na biurku leżała duża koperta. Zawierała zdjęcia z wycieczki do Tindari.

Zaczął je przeglądać. Same uśmiechnięte twarze, jak zwykle na takiej wyprawie; twarze mu znane, bo widział je już w komisariacie. Nie uśmiechali się tylko państwo Griffo, widoczni jedynie na dwóch fotografiach. Na pierwszej on trzymał głowę na wprost odwróconą, patrząc przez tylną szybę, ona zaś z otepiłą miną wlepiła oczy w obiektyw. Na drugiej miała głowę spuszczoną i nie było widać wyrazu jej twarzy, natomiast on patrzył nieruchomo prosto przed siebie, zmatowiałym jakby wzrokiem.

Montalbano spojrział znowu na pierwsze zdjęcie. Potem zaczął szukać czegoś po szufladach, coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo.

— Catarella!

Catarella zjawił się natychmiast.

— Masz lupę?

— To coś, co pokazuje wszystko bardzo duże?

— Tak.

— Może Fazio ma to w swojej szufladzie.

Wrócił, trzymając lupę w uniesionej triumfalnie ręce.

— Znalazłem, panie komisarzu.

Sfotografowany przez tylną szybę samochód, jadący tuż — tuż za autokarem, okazał się fiatem punto — jak jeden z dwóch wozów Nenč Sanfilippa. Tablica rejestracyjna była widoczna, ale komisarzowi nie udało się odczytać numerów ani liter nawet za pomocą lupy. Może nie należało się ludzić. Ileż to fiatów punto krążyło po Włoszech!

Włożył zdjęcie do kieszeni, pożegnał się z Catarella, wsiadł do samochodu. Musiał teraz dobrze się wyspać.

Spał bardzo krótko, niecałe trzy godziny. Przewracał się w łóżku, okręcony w prześcieradła jak mumia. Co pewien czas zapalał światło i patrzył na fotografię, którą postawił na stoliku nocnym, jakby mógł zdarzyć się cud, jakby nagle jego wzrok mógł stać się tak ostry, że pozwoliłby mu odczytać numer rejestracyjny fiata punto jadącego za autokarem. Czuł węchem, jak pies myśliwski na tropie, że kryje się tam klucz, który otworzy mu właściwe drzwi. Dzwonek telefonu o szóstej rano był dla niego prawdziwym wyzwoleniem. To niewątpliwie Mimě. Podniósł słuchawkę.

— Panie komisarzu, obudziłem pana? Nie, to nie Mimě; to Fazio.

— Nie, Fazio, nie przejmuj się. Byłeś u spowiedzi?

— Tak jest. Zadał mi tę samą pokutę co przedtem — pięć zdrowasiek i trzy *Ojcze nasz*.

— Ustaliliście, co i jak?

— Tak jest. Wszystko potwierdził. Sprawę załatwi się o zmierzchu. Mamy się stawić...

— Poczekaj, Fazio, nie mów o tym przez telefon. Idź sobie odpocząć, zobaczymy się w biurze koło jedenastej.

Pomyślał nagle, że Mimě, który ogląda teraz wideokasety Nenč Sanfilippa, też powinien przerwać robotę i położyć się na kilka godzin do łóżka. Sprawa, którą mieli się zająć o zmierzchu, wymagała przygotowania; wszyscy powinni być w jak najlepszej formie. No tak, ale on nie znał numeru telefonu Sanfilippa. Ten numer musiał być zapisany gdzieś w komisariacie, ale przecież Catarella, gdyby mu zlecić szukanie, na pewno by go nie znalazł. Znał go bez wątplenia Fazio, który wracał właśnie do domu i dzwonił do

niego z komórki. No tak, ale on nie znał numeru komórki Fazia. A w książce telefonicznej Vigaty numeru Sanfilippa z całą pewnością nie ma! Otworzył ją bez przekonania i również bez przekonania poszukał. Numer był! Dlaczego kiedy szuka się w książce telefonicznej jakiegoś numeru, zawsze wychodzi się z założenia, że go tam nie ma?

Mimě odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

— Kto mówi?

Odezwał się cicho, z wahaniem. Pomyślał widocznie, że o tej godzinie może dzwonić tylko jakiś znajomy Sanfilippa. Montalbano całkiem po świńsku postanowił go podpuścić. Umiał doskonale zmieniać głos; nadał mu teraz łobuzerski, prowokacyjny ton.

— Ty mi powiedz, kim jesteś, kutasie.

— Nie, najpierw ty.

Mimě nie rozpoznał komisarza.

— Chcę mówić z Nenč, daj mi go.

— Nenč nie ma w domu, Ale możesz mi powiedzieć, o co chodzi, a ja...

— No więc jeśli w domu nie ma Nenč, to znaczy, że jest tam Mimě.

Montalbano usłyszał stek przekleństw, a potem rozzłoszczony głos Augella.

— Tylko takiemu wariatowi jak ty mogło przyjść do głowy, żeby się wygłupiać przez telefon o szóstej rano. Co cię napadło? Powinieneś iść do lekarza.

— Znalazłeś coś?

— Nic. Gdybym coś znalazł, tobym do ciebie zadzwonił, no nie?

Augello wciąż jeszcze był zły.

— Słuchaj, Mimě, dziś wieczorem musimy załatwić jedną ważną sprawę.

Lepiej, żebyś przestał przeglądać i poszedł trochę odpocząć.

— Co mamy wieczorem załatwić?

— Powiem ci później. Zobaczymy się w biurze koło trzeciej po południu.

Dobrze?

— Bardzo dobrze. Przejrzałem już tyle tych taśm, że chciałbym teraz zostać mnichem, najlepiej trapistą. Zrobimy tak: przejrzę jeszcze dwie kasety i pójdę do domu.

Komisarz odłożył słuchawkę, potem wybrał numer swojego biura.

— Halo! Halo! Komisariat mówi tutaj! Kto tam do mnie telefoni?

— Mówi Montalbano.

— Osobiście we własnej osobie?

— Tak, Catarella. A teraz powiedz mi coś: jeśli się nie mylę, masz dobrego znajomego w sekcji naukowo–technicznej kwestury w Montelusie.

— Tak jest, panie komisarzu. Nazywa się Cicco De Cicco. Wysoki jak tyka, neapolitańczyk w tym sensie, że jest z Salerno, człowiek, że do rany przyłóż. Więc jednego dnia rano telefoni do mnie i mówi...

Trzeba od razu go powstrzymać, bo inaczej przedstawi ze szczegółami cały życiorys swojego przyjaciela Cicca De Cicco.

— Słuchaj, Catarella, opowiesz mi to później. O której on przychodzi zwykle do biura?

— Cicco przychodzi do biura zwykle koło mniej więcej dziewiątej. Prawdopodobnie chyba za jakieś dwie godziny.

— Ten Cicco pracuje w dziale fotografii, prawda?

— Tak jest, panie komisarzu.

— Bądź tak dobry i zatelefonuj do Cicca, żeby się z nim umówić. Jeszcze dziś rano masz mu zawieźć...

— Nie mogę, panie komisarzu.

— Dlaczego?

— To znaczy mogę na pański rozkaz, ale De Cicca dziś rano na pewno z pewnością nie będzie. Powiedział mi to sam osobiście wczoraj wieczorem, kiedy do mnie zatelefonił.

— A gdzie będzie?

— W Montelusie, w kwesturze, ale będą wszyscy na zebraniu.

— Z jakiego powodu?

— Pan kwestor sprowadził z Rzymu ważnego, najważniejszego kryminałologa, żeby zrobił im wykład.

— Wykład?

— Tak jest, panie komisarzu. De Cicco powiedział mi, że to wykład o tym, co mają robić, kiedy przypadkiem zachce się im pie...pie...pierdnać.

Montalbano zdumiał się.

— Catarella, co ty mi tu opowiadasz?!

— Przysięgam, panie komisarzu!

W tym momencie komisarz nagle pojął.

— Catarella, nie pie-pie-pie, tylko pe-pe-pe: „prawdopodobny profil przestępcy”. Zrozumiałeś?

— Nie, panie komisarzu. Ale co mam mu zawieźć?

— Zdjęcie, żeby mi je powiększył.

W telefonie zapadło milczenie.

— Halo, Catarella, jesteś tam jeszcze?

— Tak, panie komisarzu, nie ruszyłem się stąd. Ciągle tutaj jestem. Zastanawiam się.

Upłynęło znowu ponad trzy minuty.

— Catarella, zastanawiaj się szybciej.

— Panie komisarzu, proszę przynieść mi zdjęcie, wezmę je i ze...ze...
skasuję.

Montalbano zdumiał się ponownie.

— Ze...ze...zeskasujesz? Dlaczego chcesz je skasować?

— Nie, panie komisarzu, nie ze...ze...zeskasuję, miało być ze...ze...
zeskanuję zdjęcie.

— Catarella, wytłumacz się jaśniej. Chodzi o coś, co robi się komputerem?

— Dokładnie, panie komisarzu. Jeśli ja nie potrafię, bo będzie potrzeba
lepszego, najlepszego ska...skanera, jaki tylko jest, pójdę do mojego
przyjaciela, to pewny człowiek.

— Dobrze, dziękuję. Przyjdę niebawem.

Odłożył słuchawkę i zaraz zadzwonił telefon.

— Udało się! Udało!

Mimě Augello był wyraźnie podniecony.

— Salvo, trafiłem doskonale! Czekaj na mnie, za kwadrans jestem u
ciebie. Twój magnetowid działa?

— Tak, ale nie chcę tego oglądać, Mimě. Wiesz, że nie znoszę pornografii,
denerwuje mnie.

— Salvo, ale to nie jest pornografia.

Odłożył słuchawkę i zaraz zadzwonił telefon.

— Nareszcie!

To była Livia. Owo „nareszcie!” zostało jednak wypowiedziane nie z
radością, lecz nader chłodno. Igła osobistego barometru Montalbana zaczęła
się przesuwać w stronę oznaczenia „burza”.

— Livia! Co za miła niespodzianka!

— Jesteś pewny, że taka miła?

— A dlaczego nie?

— Bo od kilku dni nie wiem, co się z tobą dzieje. Nie raczysz do mnie zatelefonować! A ja dzwonię i dzwonię, ale ciebie nigdy nie ma w domu.

— Mogłaś zadzwonić do pracy.

— Salvo, dobrze wiesz, że nie lubię tam do ciebie telefonować. Wiesz, co zrobiłam, żeby się czegoś o tobie dowiedzieć?

— Nie. Słucham.

— Kupiłam waszą gazetę, „Giornale di Sicilia”. Czytałeś?

— Nie. Co tam napisali?

— Że zajmujesz się jednocześnie trzema morderstwami — pary starszych ludzi i dwudziestolatka. Z artykułu wynika też, że zupełnie sobie nie radzisz. Krótko mówiąc, że nie jesteś już taki jak kiedyś.

Tędy mogła prowadzić droga do zbawienia. Musi powiedzieć, że jest nieszczęśliwy, że wlecze się w ogonie, że właściwie powinno się go już ubezwłasnowolnić. Wtedy Livia się uspokoi, a może nawet zacznie mu współczuć.

— Ach, kochana Livio, to wszystko prawda! Starzeję się chyba, mój mózg nie pracuje już tak jak dawniej...

— Nie, Salvo, nie martw się. Twój mózg jest całkiem w porządku, o czym najlepiej świadczy to, że udajesz teraz przede mną kiepskiego aktora. Chciałbyś, żebym cię pocieszała, co? Ale mnie nie nabierzesz, znam cię zbyt dobrze. Zadzwon — oczywiście jeśli znajdziesz odrobinę czasu.

I odłożyła słuchawkę. Dlaczego każda rozmowa telefoniczna z Livią musi się kończyć kłótnią? Dalej tak nie można, trzeba koniecznie znaleźć jakieś rozwiązanie.

Poszedł do kuchni, napełnił ekspres, postawił na ogniu. Czekaając, aż kawa

się zaparzy, otworzył oszklone drzwi i wyszedł na werandę. Przepiękny dzień. Jasne, ciepłe kolory, morze leniwe. Montalbano odetchnął głęboko i w tej samej chwili znowu zadzwonił telefon.

— Halo! Halo!

Nikt nie odpowiadał, ale telefon dzwonił dalej. Jak to możliwe, skoro trzyma w dłoni słuchawkę? Wreszcie zrozumiał: to nie telefon, tylko dzwonek u drzwi wejściowych.

Mimě Augello okazał się szybszy od kierowcy rajdowego. Stał w drzwiach, z szerokim uśmiechem na twarzy, niezdecydowany, czy ma wejść do środka. W ręku trzymał wideokasetę i machał nią przed nosem komisarza.

— Widziałeś *Ucieczkę gangstera*? No wiesz, ten film...

— Tak, widziałem.

— Podobał ci się?

— Tak sobie.

— Ta wersja jest lepsza.

— Mimě, wejdiesz w końcu? Chodź ze mną do kuchni, kawa czeka.

Nalał pół filiżanki sobie i pół gościowi.

— Przejdźmy do pokoju — powiedział Augello.

Opróżnił filiżankę jednym haustem, niewątpliwie parząc sobie gardło. Bardzo mu się spieszyło, chciał koniecznie jak najprędzej pokazać komisarzowi to, co odkrył, a przede wszystkim pochwalić się swoim wyczuciem. Był tak podekscytowany, że próbował włożyć kasetę na odwrot. Zaklął, włożył ją właściwie, włączył magnetowid. Puścił w przyspieszeniu pierwsze dwadzieścia minut *Ucieczki gangstera*, po których nastąpiło pięć minut z wykasowanym obrazem — widać było tylko skaczące białe punkciki. Dźwięk skwierczał jak tłuszcz na patelni; Mimě wyłączył go zupełnie.

— Zdaje mi się, że w ogóle nie mówią.

— Co znaczy „zdaje mi się”?

— Wiesz, nie obejrzałem całości. Przeglądałem skokowo.

Potem pojawił się obraz. Mażeńskie łoże przykryte śnieżnobiałym prześcieradłem, u góry dwie poduszki — jedna oparta o bladozieloną ścianę. Widać było także dwie bardzo eleganckie szafki nocne z jasnego drewna. Nie była to sypialnia Sanfilippa. Przez jakąś minutę nic się nie działo — najwyraźniej obsługujący kamerę starał się ustawić odpowiednią ostrość; cała ta biel razila oczy. Moment zupełnej czerni, po czym ukazało się to samo ujęcie, ale na większym zbliżeniu — znikły szafki nocne. Tym razem jednak na łóżku leżała młoda kobieta, około trzydziestki, kompletnie naga, wspaniale opalona; ukazana w pełnej krasie. Miejsca depilowanego trudno było nie zauważyć, bo skóra miała tam barwę kości słoniowej; przed promieniami słońca musiały uchronić ją stringi. Na widok tej kobiety komisarz doznał wstrząsu. Znał ją z pewnością! Ale gdzie mogli się spotkać? W chwilę później poprawił się: nie, nie znał jej, ale kiedyś gdzieś ją widział. Na stronach jakiejś książki, na jakiejś reprodukcji. Bo jej poza — bardzo długie nogi i dół tułowia na łóżku, reszta ciała uniesiona, wsparta na poduszkach i pochylona z lekka w lewo, ręce skrzyżowane za głową — była dokładnym odtworzeniem *Mai nagiej Goi*. Zresztą nie tylko poza nasunęła komisarzowi tę myśl, gdyż kobieta miała również to samo uczesanie co Maja; leciutko się też uśmiechała.

„Raczej jak Gioconda” — zdał sobie sprawę Montalba — no, który wstąpił już na drogę malarskich porównań.

Kamera trwała w bezruchu, jakby urzeczona skadrowanym przez siebie obrazem. Nieznajoma sprawiała wrażenie, że na prześcieradle i poduszkach czuje się nadzwyczaj swobodnie, w pełni zrelaksowana, w swoim żywiole. Prawdziwa dziewczyna do łóżka.

— To o niej myślałeś, czytając listy?

— Tak — odpowiedział Augello.

Czy w jednej jedynej sylabie można zawrzeć dumę całego świata? Mimě zdołał to uczynić.

— Jak do tego doszedłeś? Zdaje mi się, że widziałeś ją tylko kilka razy, i to przelotnie. No i zawsze ubraną.

— Widzisz, on w tych listach ją maluje, portretuje. Albo nie — nie maluje, raczej graweruje.

„Dlaczego kiedy mówi się o tej kobiecie, przychodzą na myśl skojarzenia związane ze sztuką?”

— Na przykład — ciągnął dalej Mimě — pisze o dysproporcji między długością nóg a długością tułowia, który... przypatrz się dobrze... w stosunku do nóg powinien być odrobinę dłuższy. No i opisuje uczesanie, wykrój oczu...

— Zrozumiałem — przerwał mu Montalbano w nagłym przypiływie zawiści.

Mimě bez wątpienia potrafił obserwować przedstawicielki płci pięknej.

Tymczasem kamera ześlizgnęła się na stopy nieznanomej, a potem zaczęła bardzo wolno przesuwac się w górę wzdłuż jej ciała, zatrzymując się króciutko na wzdórku łonowym, na pępku, na sutkach, aż wreszcie sięgnęła oczu i znowu znieruchomiła.

Czy to możliwe, aby źrenice tej kobiety płonęły wewnętrznym światłem tak mocnym, że jej wzrok wydawał się emanować rodzaj hipnotycznej fosforescencji? Kim ona była — niebezpiecznym nocnym zwierzęciem? Przyjrzał się dokładniej i odzyskał spokój. Nie były to oczy czarownicy; w źrenicach odbijał się blask małych reflektorów zainstalowanych przez Sanfilippa. Kamera przesunęła się teraz na usta. Wargi — dwa płomienie wypełniające cały ekran — poruszyły się, rozchyliły. Ukazał się między nimi

koci czubek języka, oblizujący delikatnie najpierw górną, potem dolną wargę. Nie było w tym nic wulgarnego, lecz obaj mężczyźni wstrzymali dech, zaskoczeni gwałtowną zmysłowością tego gestu.

— Cofnij i nastaw dźwięk tak głośno, jak tylko się da.

— Po co?

— Jestem pewien, że ona coś powiedziała.

Mimě wykonał polecenie. Zaledwie powróciło ujęcie ust, męski głos wyszeptał coś niezrozumiałego.

„Tak” — odpowiedziała wyraźnie kobieta i zaczęła wodzić czubkiem języka po wargach.

A zatem dźwięk był. Z rzadka, ale się pojawiał. Augello ustawił go na pełny regulator.

Potem kamera zeszła na szyję, musnęła ją jak dłoń kochanka z lewa w prawo i z prawa w lewo, i znowu, i znowu — gestem namiętnej pieśczoły. I rzeczywiście kobieta wydała lekki jęk.

— Słysać morze — powiedział Montalbano.

Mimě spojrzał na niego zaskoczony, z trudem odrywając wzrok od ekranu.

— Co takiego?

— Słysać stały i rytmiczny szum. To nie są szmery, zakłócenia w odbiorze. To szum lekko wzburzonego morza. Dom, w którym kręca, stoi nad brzegiem morza — zupełnie tak jak mój.

Teraz Augello spojrzał na niego z podziwem.

— Salvo, masz fantastyczny słuch! Jeśli to szum morza, to wiem, gdzie kręceno te sceny.

Komisarz schylił się, wziął do ręki pilota, wyłączył obraz.

— Dlaczego? — zaprotestował Mimě. — Nie oglądamy dalej? Mówiłem

ci przecież, że widziałem to tylko wyrywkowo.

— Obejrysz sobie wszystko, jeśli będziesz grzecznym chłopczykiem. A teraz postaraj się streścić to, co udało ci się zobaczyć.

— No więc widzi się dalej piersi, pępek, brzuszek, wznórek łonowy, uda, nogi, stopy. Potem ona się odwraca, a on filmuje ją całą od tyłu. Na koniec ona kładzie się znowu na wznak, przyjmuje wygodniejszą pozycję, pod tyłeczek wtyka sobie poduszkę i rozsuwa nogi na tyle, żeby kamera...

— Dobrze już, dobrze — przerwał mu Montalbano. — I nic innego się nie dzieje? Mężczyzna nie pokazuje się nigdy?

— Nigdy. I nic innego się nie dzieje. Dlatego powiedziałem ci, że to nie pornografia.

— Naprawdę nie?

— Nie. Ten film to poezja miłosna.

Mimě miał rację. Montalbano nie replikował.

— Czy zechcesz przedstawić mi tę panią? — spytał tylko.

— Z prawdziwą przyjemnością. Nazywa się Vanja Titulescu, lat trzydzieści jeden, Rumunka.

— Uciekła stamtąd?

— Bynajmniej. Jej ojciec był w Rumunii ministrem zdrowia. Ona skończyła medycynę, ale tutaj nie wykonuje zawodu. Jej obecny mąż, który był już sławą w swojej specjalizacji, został zaproszony do Bukaresztu na cykl wykładów. Zakochali się w sobie albo przynajmniej on zakochał się w niej, bo zabrał ją do Włoch i poślubił. Był od niej starszy o jakieś dwadzieścia lat, ale dziewczyna schwyciła w lot okazję.

— Od jak dawna są małżeństwem?

— Od pięciu lat.

— Powiesz mi, kim jest mąż? Chyba że chcesz opowiadać tę historię w odcinkach.

— Profesor doktor Eugenio Ignazio Ingrň, czarodziej od przeszczepów.

Słynne nazwisko. O profesorze pisano w gazetach, pokazywano go w telewizji. Montalbano poszperał w pamięci: ujrzał niewyraźnie wysokiego, eleganckiego, małomównego mężczyznę. Uważano go w istocie za chirurga o złotych rękach, był wzywany na operacje w całej Europie. Posiadał też własną klinikę w Montelusie, gdzie się urodził i gdzie nadal mieszkał.

— Mają dzieci?

— Nie.

— Wybacz, Mimě, ale czy te wszystkie informacje zgromadziłeś dziś rano po przejrzeniu taśmy?

Augello uśmiechnął się.

— Nie. Zrobiłem to, jak tylko nabrałem przekonania, że kobieta z listów to ona. Taśma była jedynie potwierdzeniem.

— Co jeszcze wiesz?

— Że tutaj, w naszych stronach, a dokładniej między Vigatą a Santoli, mają willę nad morzem, z małą prywatną plażą. To na pewno tam właśnie filmowali, korzystając z nieobecności męża w Montelusie.

— Mąż jest zazdrosny?

— Tak, ale z umiarem. Także dlatego, że — jak ustaliłem — nie krążą żadne pogłoski o tym, że żona przyprawia mu rogi. Ona i Sanfilippo postępowali nadzwyczaj ostrożnie, o ich związku nikt nic nie wiedział.

— Mimě, spytam teraz konkretnie. Czy po odkryciu zdrady profesor Ingrň byłby zdolny zamordować lub zlecić zamordowanie kochanka swojej żony?

— Czemu mnie o to pytasz? Powinieneś spytać Ingrid, jest jej przyjaciółką. Właśnie... kiedy się z nią spotkasz?

— Mieliśmy się zobaczyć dziś wieczorem, ale musiałem przesunąć termin.

— Ach, tak, wspominałeś mi o ważnej sprawie, o czymś, co mamy zrobić, kiedy się ściemni. O co właściwie chodzi?

— Zaraz ci powiem. Kasetę zostaw u mnie.

— Chcesz ją pokazać Szwedce?

— Oczywiście. A więc żeby zakończyć na razie tę historię: co myślisz o morderstwie Nenč Sanfilippa?

— Salvo, a co ja mam myśleć? Wszystko jest jasne jak słońce. Profesor Ingrñ odkrywa w jakiś sposób ich romans i zleca zamordowanie chłopaka.

— A dlaczego nie i jej?

— Bo wybuchłby ogromny, międzynarodowy skandal. A jemu nie wolno rzucić cienia na swoje życie prywatne, bo mogłoby to spowodować spadek jego dochodów.

— Jest przecież bogaty.

— Bardzo bogaty. Albo raczej mógłby być, gdyby nie mania, która kosztuje go masę pieniędzy.

— Jest hazardzistą?

— Nie, nie jest hazardzistą. Grywa może w durnia raz do roku na Boże Narodzenie. Ma manię kolekcjonowania obrazów. Opowiadają, że w skarbcach kilku banków przechowuje dzieła olbrzymiej wartości. Kiedy zobaczy płótno, które mu się podoba, nie potrafi się oprzeć; byłby zdolny kazać je ukraść. Pewien złośliwiec powiedział mi, że gdyby właściciel jakiegoś obrazu Degasa zaoferował mu go w zamian za żonę, zgodziłby się bez wahania. Salvo, co z tobą? Nie słuchasz mnie?

Augello zauważył, że szef buja myślami w obłokach. I rzeczywiście — komisarz zastanawiał się nad dziwną prawidłowością: kiedy mowa o Vanji Titulescu, zawsze pojawia się coś, co ma związek z malarstwem.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — powiedział Montalbano — to uważasz, że zabójstwo Sanfilippa zostało zlecone przez profesora.

— A kto inny mógł je zlecić?

Komisarz pomyślał natychmiast o stojącej nadal na nocnej szafce fotografii. Równie szybko jednak odstąpił od tej myśli; trzeba było czekać na werdykt Catarelli, współczesnej wyroczni.

— Powiesz mi w końcu, co to za sprawę mamy załatwić dziś wieczorem?
— zapytał Augello.

— Wieczorem? Nic takiego, idziemy złapać Japichinu, ukochanego wnuka Balduccia Sinagry.

— Tego, co się ukrywa?

— W rzeczy samej.

— I ty wiesz, gdzie się zaszył?

— Nie, ale powie nam to pewien ksiądz.

— Ksiądz? Do cholery, co to znowu za historia? Opowiedz mi ją teraz od początku, niczego nie pomijając.

Montalbano opowiedział więc od początku, niczego nie pomijając.

— O Matko Przenajświętsza! — skomentował na zakończenie Augello, przyciskając pięści do skroni. Wyglądał jak rycina z dziewiętnastowiecznego podręcznika dla aktorów, opatrzona podpisem „konsternacja”.

12

Catarella przypatrył się zdjęciu najpierw tak, jak to robią krótkowidze, niemal przyklejając je do oczu, a potem tak, jak to robią dalekowidze, trzymając je na odległość wyciągniętego ramienia.

— Panie komisarzu, moim ska...skanerem z całą pewnością na pewno tego nie ze...zeskanuję. Muszę zanieść fotografię do znajomego, pewnego człowieka.

— Ile ci to zajmie?

— Mało mniej jak dwie godziny, panie komisarzu.

— Wracaj jak najszybciej. Kto będzie przy centralce?

— Galluzzo. Ach, panie komisarzu, miałem powiedzieć, że jest tu pan sierota, czeka od samego rana, bo chce z panem rozmawiać.

— Jaki sierota?

— Griffó z nazwiska się nazywa, ten, co to mu ojca i matkę zabili. I co mówi, że trudno mnie zrozumieć.

Davide Griffó był w ścisłej żałobie, cały na czarno. Włosy potargane, marynarka i spodnie wygniecione, mina osoby zupełnie wyczerpanej. Montalbano podał mu rękę i poprosił, żeby usiadł.

— Wezwano pana w celu oficjalnego rozpoznania zwłok?

— Tak, niestety. Przyjechałem do Montelusy wczoraj późnym popołudniem. Zaprowadzono mnie do nich. Potem... potem wróciłem do hotelu i rzuciłem się w ubraniu na łóżko; źle się poczułem.

— Rozumiem pana.

— Czy jest coś nowego, panie komisarzu?

— Jeszcze nic.

Ze smutkiem spojrzeli sobie w oczy.

— Wie pan co? — powiedział Davide Griffio. — Nie pragnę zemsty, nie dlatego czekam niecierpliwie na schwytanie morderców. Chciałbym tylko zrozumieć, dlaczego to zrobili.

Był szczery; on też nie wiedział nic o tym, co Montalbano nazywał tajemniczą chorobą jego rodziców.

— Dlaczego to zrobili? Żeby ukraść portfel tatusia i torebkę mamusi?

— Słucham? — zapytał komisarz.

— Nie wiedział pan o tym?

— Że zabrali portfel i torebkę? Nie wiedziałem. Byłem przekonany, że torebka leży pod ciałem pańskiej matki, i nie zaglądałem do kieszeni pańskiego ojca. Zresztą ani portfel, ani torebka nie mają tu żadnego znaczenia.

— Tak pan uważa?

— Z pewnością. W każdym razie mordercy pańskich rodziców wyczyściliby dokładnie portfel i torebkę ze wszystkiego, co mogłoby nas naprowadzić na ich ślad.

Davide Griffio zagłębił się we wspomnieniach.

— Mamusia nie rozstawiała się nigdy ze swoją torebką, czasem z tego żartowałem. Pytałem, co za skarby w niej nosi.

Ogarnęło go nagle wielkie wzruszenie, z głębi piersi wydobył się rodzaj szlochu.

— Proszę mi wybaczyć. To dlatego, że zwrócono mi ich rzeczy: ubranie, znalezione w kieszeni ojca drobne, obrączki, klucze od mieszkania... No właśnie, przyszedłem pana prosić o pozwolenie... Czy mogę pójść teraz do mieszkania i zacząć inwentaryzację?

— Co chce pan zrobić z mieszkaniem? Było ich własnością, prawda?

— Tak, kupili je kosztem wielu wyrzeczeń. We właściwej chwili je sprzedam. Teraz nie mam już wielu powodów, żeby wracać do Vigaty.

Znowu stłumiony szloch.

— Pańscy rodzice posiadali coś jeszcze?

— Absolutnie nic, o ile mi wiadomo. Żyli ze swoich emerytur. Tatuś miał książeczkę banku pocztowego, na którą wpłacano obie emerytury, jego i matki... Ale pod koniec miesiąca bardzo niewiele z tego zostawało.

— Tej książeczki nigdzie nie widziałem.

— Nie było jej? Szukał pan dobrze w papierach tatusia?

— Nie było. Sam wszystko dokładnie przejrzałem. Może zabrali ją razem z portfelem i torebką.

— Ale po co? Na co im książeczka, którą nie mogą się posłużyć? Dla nich to bezużyteczny kawałek papieru!

Komisarz wstał, Davide Griffio również.

— Nie mam nic przeciw temu, żeby poszedł pan do mieszkania rodziców. A gdyby znalazł pan w tych papierach coś...

Niespodziewanie przerwał. Davide Griffio spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

— Przepraszam na chwilę — odezwał się komisarz i wyszedł z gabinetu.

Przeklinając w duchu, zdał sobie sprawę, że papiery państwa Griffio znajdują się jeszcze w komisariacie, dokąd przyniósł je z domu. Plastikowy worek na śmieci stał rzeczywiście w magazynie. Wydało mu się niestosowne wręczać synowi pamiątki rodzinne w takim opakowaniu. Przeszukał więc magazyn, ale nie znalazł nic odpowiedniego, ani tekturowego pudełka, ani jakiegoś przyzwoitszego worka. Trudno.

Davide Griffo patrzył na komisarza ze zdziwieniem, kiedy ten składał mu u stóp worek na śmieci.

— Wziąłem go z mieszkania pańskich rodziców, żeby przenieść papiery. Jeśli pan sobie życzy, dostarczy go panu jeden z moich...

— Nie, dziękuję. Mam tu samochód — odrzekł oziębłe Davide.

Nie chciał tego powiedzieć sierocie, jak nazwał go Catarella (właśnie... jak dawno wyszedł?), lecz książeczka mogła zagać nie bez powodu. Powód był, i to bardzo istotny: ktoś chciał zataić wysokość złożonego na koncie banku pocztowego depozytu. Zapisana w książeczce suma mogła być objawem owej tajemniczej choroby, która spowodowała interwencję sumiennego lekarza. To bez wątpienia tylko przypuszczenie, ale trzeba je koniecznie zweryfikować. Zatelefonował do wiceprokuratora Tommaseo i spędził pół godziny na obalaniu przeszkód natury prawnej, które ten wysuwał, zanim wreszcie obiecał, że podejmie natychmiastowe działania.

Gmach poczty, oddalony od komisariatu tylko o kilka kroków, odznaczał się okropną brzydotą. Jego budowę rozpoczęto bowiem w latach czterdziestych, kiedy srożyła się architektura faszystowska, zakończono zaś już po wojnie, gdy gusty uległy całkowitej zmianie. Biuro dyrektora mieściło się na drugim piętrze, w głębi całkowicie opróżnionego z ludzi i rzeczy korytarza; jego odosobnienie i zaniedbanie były wręcz przerażające. Komisarz zapukał do drzwi opatrzonych plastikowym prostokąciem z napisem: „Dyrektor”. Pod prostokąciem wisiała kartka, na której wyrysowany był papieros przecięty dwiema krzyżującymi się czerwonymi kreskami, pod nim zaś umieszczono słowa: „Palenie surowo wzbronione”.

— Proszę wejść!

Montalbano wszedł i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był prawdziwy

transparent na ścianie, znowu z napisem: „Palenie surowo wzbronione”.

Bo jak nie, to ja wam pokażę! — wydawał się mówić prezydent republiki, patrzący groźnie z portretu pod transparentem.

Jeszcze niżej stał fotel z wysokim oparciem, w którym siedział dyrektor, kawaler orderów Attilio Morasco. Przed nim stało ogromne biurko, całe zarzucone papierami. Pan dyrektor był karłem wzrostu świętej pamięci króla Wiktora Emanuela III, z krótko obciętymi włosami na wzór króla Humberta I oraz z długimi, zakręconymi do góry wąsami, przypominającymi wąsy króla Wiktora Emanuela II zwanego Prawym. Komisarz nabrał absolutnej pewności, że ma przed sobą potomka dynastii sabaudzkiej z nieprawego łoża — jednego z wielu, których rozsiał kiedyś po kraju Król Prawy.

— Pan pochodzi z Piemontu? — spytał mimo woli, patrząc na niego.

Dyrektor był zaskoczony.

— Nie, dlaczego? Jestem z Comitini.

Mógł sobie być z Comitini, z PaternŃ, z Raffadali lub z innej sycylijskiej miejscowości — Montalbano i tak nie zmieniłby zdania, jakie sobie o nim wyrobił.

— Pan komisarz Montalbano, prawda?

— Tak. Telefonował już do pana wiceprokurator Tommaseo?

— Owszem — przyznał niechętnie dyrektor — ale telefon to tylko telefon, chyba mnie pan zrozumiał.

— Oczywiście, że zrozumiałem. Dla mnie na przykład róża jest różą, jest różą, jest różą.

Na dyrektorze Morasco nie wywarł żadnego wrażenia uczony cytat z Gertrudy Stein.

— Widzę, że się zgadzamy.

— Przepraszam... w jakim sensie?

— W sensie, że słowa ulatują, pismo pozostaje.

— Czy zechce pan bliżej mi to wyjaśnić?

— Oczywiście. Wiceprokurator Tommaseo zatelefonował do mnie i powiedział, że jest pan upoważniony do przeprowadzenia śledztwa w sprawie książeczki banku pocztowego na nazwisko nieżyjącego Alfonsa Griffo. Zgoda; dla mnie jest to, że tak powiem, zawiadomienie wstępne. Dopóki jednak nie otrzymam wniosku lub upoważnienia na piśmie, nie mogę zezwolić, aby uzyskał pan dostęp do informacji chronionych tajemnicą służbową.

Komisarza te słowa doprowadziły do takiego stanu wrzenia, że o mało nie wybuchnął.

— Wróć tutaj.

Podnosił się już z krzesła, lecz dyrektor powstrzymał go ruchem dłoni.

— Proszę poczekać. Znalazłoby się rozwiązanie. Czy może się pan wylegitymować?

Niebezpieczeństwo wybuchu gwałtownie wzrosło. Montalbano jedną ręką uchwycił się krzesła, na którym siedział, a drugą podał swoją legitymację.

Sabaudzki bękart długo jej się przyglądał.

— Po telefonie wiceprokuratora pomyślałem od razu, że szybko się pan tu zjawi. Przygotowałem więc oświadczenie, które pan podpisze, a w którym powiedziano, że uwalnia mnie pan od wszelkiej odpowiedzialności.

— Z chęcią od pana się uwolnię — powiedział komisarz.

Podpisał oświadczenie, nie czytając. Włożył legitymację z powrotem do kieszeni. Dyrektor Morasco wstał.

— Proszę tu na mnie poczekać. To potrwa z dziesięć minut.

Zanim wyszedł, odwrócił się i wskazał na fotografię prezydenta republiki.

— Widział pan?

— Tak — powiedział Montalbano zdziwiony — to prezydent Ciampi.

— Nie chodzi mi o prezydenta, ale o to, co jest napisane nad nim: pa-le- nie wzbro-nio-ne. Proszę zapamiętać i nie korzystać z mojej nieobecności.

Zaledwie dyrektor zamknął za sobą drzwi, komisarz poczuł przemożną chęć zapalenia papierosa. Było to jednak wzbronione, ponieważ — jak wiadomo — dym papierosowy wdychany przez niepalących powoduje miliony śmiertelnych ofiar, których nie powodują bynajmniej smog, dioksyna i zawarty w benzynie ołów. Wstał, wyszedł z pokoju, zbiegł na parter, gdzie zobaczył trzech palących urzędników, stanął na chodniku, wypalił dwa papierosy z rzędu, wrócił — palących na parterze urzędników było teraz czterech — wspiął się po schodach, przemierzył ponownie pusty korytarz, otworzył bez pukania drzwi gabinetu dyrektora, wszedł do środka. Kawaler orderów Morasco siedział na swoim miejscu i patrzył na niego z dezaprobatą kręcąc głową. Montalbano usiadł na krześle, z miną winnego, taką samą, jaką przybierał, kiedy zdarzało mu się spóźnić do szkoły.

— Mamy wydruk — oznajmił uroczyście dyrektor.

— Mogę zobaczyć?

Morasco, zanim go podał, upewnił się jeszcze, że na jego biurku nadal leży podpisane przez komisarza oświadczenie.

Ten ostatni właściwie nic z wydruku nie zrozumiał; zbyt wysoka wydała mu się jednak suma widniejąca u samego dołu.

— Wytłumaczy mi to pan? — poprosił, nadając głosowi ton ze szkolnych lat.

Dyrektor pochylił się do przodu, praktycznie wyciągając się na biurku, i z oburzeniem wyrwał komisarzowi arkusz z ręki.

— Wszystko jest jasne jak słońce! — powiedział. — Z wydruku wynika,

że emerytura państwa Griffa wynosiła łącznie trzy miliony na miesiąc, z czego milion osiemset tysięcy przypadało na niego, a milion dwieście tysięcy — na nią. Przy wypłacie tej sumy pan Griffa podejmował w gotówce swoją emeryturę na wydatki bieżące w danym miesiącu, a emeryturę żony pozostawiał w depozycie. Taki był normalny tryb postępowania; z rzadka trafiały się oczywiście wyjątki.

— Ale nawet przyjmując, że byli tacy wstrzemięźliwi i oszczędni — rozumował głośno komisarz — rachunek i tak się nie zgadza. Jeśli się nie mylę, na tej książeczce jest prawie sto milionów.

— Nie myli się pan. A dokładniej: dziewięćdziesiąt osiem milionów trzysta tysięcy lirów. Nie ma w tym jednak niczego nadzwyczajnego.

— Tak pan uważa?

— Tak uważam, bo od dwóch lat pan Alfonso Griffa wpłacał punktualnie, pierwszego każdego miesiąca, zawsze tę samą sumę — dwa miliony. Czyni to razem czterdzieści osiem milionów, które należy dodać do oszczędności.

— A skąd on te dwa miliony na miesiąc brał?

— Mnie proszę o to nie pytać — odrzekł dyrektor obrażonym głosem.

— Dziękuję — powiedział Montalbano, wstając. I wyciągnął rękę.

Dyrektor również wstał, obszedł biurko, spojrzął na komisarza z dołu i uścisnął jego dłoń.

— Czy może mi pan dać ten wydruk? — spytał Montalbano.

— Nie — odparł sucho sabaudzki bękart.

Komisarz wyszedł z urzędu i zapalił papierosa, zaledwie stanął na chodniku. Trafił w sedno: książeczka zniknęła, bo te czterdzieści osiem milionów było objawem śmiertelnej choroby państwa Griffa.

Był już z powrotem w swoim biurze od jakichś dziesięciu minut, kiedy pojawił się Catarella z miną tak żalobną, jakby nastąpiło właśnie okropne

trzęsienie ziemi, godne tego w Casamiccioli. W ręku trzymał fotografię.

— Nie udało się nawet ze ska...skanerem mojego dobrego znajomego. Jeśli pan sobie życzy, zawiozę ją do Cicca De Cicco, bo to zebranie z kryminałologiem będzie jutro.

— Dziękuję, Catarella, sam mu ją zawiozę.

„Salvo, dlaczego ty w końcu nie nauczysz się posługiwać komputerem? — spytała go kiedyś Livia, dodając: — Żebyś tylko wiedział, ile problemów mógłbyś rozwiązać!”

No właśnie, a w rzeczywistości komputer nie potrafił rozwiązać nawet tego niewielkiego problemu, spowodował jedynie stratę czasu. Montalbano obiecał sobie, że powie o tym Livii — po prostu po to, żeby podtrzymać polemikę.

Wetknął zdjęcie do kieszeni, wyszedł z komisariatu, wszedł do samochodu. Postanowił jednak, że zanim pojedzie do Montelusy, zajrzy na ulicę Cavoura.

— Na górze jest pan Griffo — uprzedziła go dozorczyńni. Davide Griffo, bez marynarki, ze zmiotką w ręku, sprzątał mieszkanie.

— Było zbyt wiele kurzu.

Zaprosił go do jadalni. Na stole piętrzyły się papiery, które otrzymał niedawno od komisarza. Zauważył, że Montalbano na nie patrzy.

— Ma pan rację, panie komisarzu. Książeczki brak. Czy chciał mi pan coś zakomunikować?

— Tak. Poszedłem na pocztę i dowiedziałem się, jaką sumę mieli pańscy rodzice na książeczce.

Griffo machnął ręką, jakby w ogóle nie było o czym mówić.

— Tyle co nic, prawda?

— Dokładnie dziewięćdziesiąt osiem milionów trzysta tysięcy lirów.

Davide Griffo zbladł.

— To na pewno pomyłka — wybąkał.

— Żadna pomyłka, proszę mi wierzyć.

Pod Davide Griffo ugięły się kolana, opadł na krzesło.

— Jak to możliwe?

— Od dwóch lat pański ojciec wpłacał co miesiąc dwa miliony. Czy przychodzi panu do głowy, kto mógł mu dawać te pieniądze?

— Nie mam pojęcia! Nigdy mi nie mówili o żadnych dochodach ekstra. Wprost nie mogę uwierzyć. Dwa miliony netto miesięcznie to całkiem niezłe pobory. Co robił mój stary ojciec, że mu tyle płacono?

— Nie jest wcale powiedziane, że to były pobory.

Davide Griffo zmieszał się jeszcze bardziej; wyglądał teraz wprost na mocno przestraszonego.

— Sądzi pan, że może istnieć jakiś związek...?

— Między tymi dwoma milionami miesięcznie a zamordowaniem pańskich rodziców? To możliwość, nad którą trzeba poważnie się zastanowić. Zniknięcie książeczki tym właśnie się tłumaczy: ktoś nie chciał dopuścić, abyśmy pomyśleli o związku przyczynowo–skutkowym.

— Ale jeśli nie były to pobory, to co?

— Właśnie — powiedział komisarz. — Mam pewne przypuszczenie. Najpierw muszę jednak postawić panu pytanie i proszę o szczerą odpowiedź. Czy pański ojciec dla pieniędzy mógł zrobić coś nieuczciwego?

Davide Griffo nie odpowiedział od razu.

— Trudno o tym sądzić... Myślę, że niczego takiego by nie zrobił. Był jednak... jak by to wyrazić... nieco podatny.

— Co pan przez to rozumie?

— I jemu, i mamie bardzo zależało na pieniądzach. Jakie jest więc pańskie przypuszczenie?

— Pański ojciec mógł na przykład użyzyć swojego nazwiska komuś, kto prowadził niedozwoloną działalność.

— Tatuś by na to nie poszedł.

— Nawet w przypadku, gdyby tę działalność przedstawiono mu jako dozwoloną?

Tym razem Griffo nie odpowiedział. Komisarz wstał.

— Jeśli przyjdzie panu na myśl jakieś wytłumaczenie...

— Oczywiście, oczywiście — powiedział Griffo jakby w roztargnieniu.

Odprowadził komisarza do drzwi.

— Przypominam sobie coś, co usłyszałem od mamy w zeszłym roku. Przyjechałem ich odwiedzić i gdy ojciec na chwilę się oddalił, mama powiedziała mi szeptem: „Kiedy nas już nie będzie, czeka cię piękna niespodzianka”. Ale mama, biedaczka, czasami nie wiedziała już, co mówi. Nie wróciła nigdy do tego tematu, a ja zupełnie o tym zapomniałem.

Po przyjeździe do kwestury w Montelusie zlecił obsługującemu centralkę, aby wezwał Cicca De Cicco. Nie miał najmniejszej ochoty spotkać szefa sądówki, Vanniego Arqua, który objął to stanowisko po Jacomuzzim; żywili do siebie wzajemną antypatię.

Nadbiegł De Cicco, wziął do ręki fotografię.

— Obawiałem się, że będzie gorzej — powiedział, przyglądając się jej. — Catarella mówił, że próbowali komputerem, ale...

— Uda ci się odczytać numer rejestracyjny tego samochodu?

— Myślę, że tak, panie komisarzu. Wieczorem w każdym razie do pana zadzwonię.

— Jeśli mnie nie zastaniesz, podaj numer Catarelli. Ale uważaj, żeby dokładnie zapisał cyfry i litery, bo inaczej wyjdzie z tego tablica rejestracyjna stanu Minnesota.

W drodze powrotnej doszedł do wniosku, że musi podumać wśród gałęzi saraceńskiego drzewa oliwnego. Potrzebował chwili zastanowienia — zastanowienia prawdziwego, nie takiego, o jakim mówią politycy, a które oznacza zapadnięcie w głęboką śpiączkę. Usiadł okrakiem na swojej ulubionej gałęzi, oparł się plecami o pień i zapalił papierosa. Poczł jednak zaraz, że nie siedzi wygodnie, że sęki i narośle uciskają mu uda. Odnosił dziwne wrażenie, że drzewo oliwne nie chce, aby tak siedział, że życzy sobie, by usadowił się inaczej.

„Ale głupoty się mnie czepiają!”

Chwilę się opierał, po czym, nie mogąc już wytrzymać, zsunął się z gałęzi. Poszedł do samochodu, wziął gazetę, na ziemi pod drzewem rozpostarł jej strony i położył się na nich, zdjawszy marynarkę.

Widziane od dołu, z nowej perspektywy, drzewo wydało mu się większe i bardziej splątane. Zobaczył złożony układ gałęzi, którego nie dostrzegał przedtem, kiedy między nimi siedział. Przyszły mu na myśl słowa: „Jest wielkie saraceńskie drzewo oliwne... dzięki któremu znalazłem rozwiązanie”. Kto je wypowiedział? I jakie rozwiązanie drzewo pomogło znaleźć? Potem sobie przypomniał. Te słowa wypowiedział Pirandello do syna na kilka godzin przed śmiercią; dotyczyły *Olbrzymów z gór*, utworu, którego nie skończył.

Przez pół godziny leżał brzuchem do góry, ani na chwilę nie odrywając oczu od drzewa. Im dłużej mu się przyglądał, tym dokładniej ono opowiadało, jak czas je poskręcał, poszarpał, jak deszcz i wiatr zmuszały je rok po roku do przyjmowania tych kształtów, które były wynikiem nie kaprysu czy przypadku, tylko konieczności.

Zatrzymał wzrok na trzech grubych gałęziach, które na krótkim odcinku biegły prawie równolegle obok siebie, potem zaś rozchodziły się zgodnie z własną fantazją każda w innym kierunku, zygzakiem, do tyłu, do przodu, w bok, zakreślając łuki i arabeski. Środkowa zwisała nieco niżej od dwóch pozostałych, lecz czepiała się ich zakrzywionymi pędami, jakby chciała przywiązać je do siebie na całej przestrzeni, którą przemierzały razem.

Zmieniając położenie głowy i przypatrując się z coraz żywszą uwagą, Montalbano dostrzegł, że te trzy gałęzie, bardzo sobie bliskie, nie wyrastały osobno, lecz zaczynały się w tym samym miejscu — od czegoś w rodzaju wielkiego chropowatego guza wystającego z pnia.

To chyba lekki podmuch wiatru rozchylił liście. Promień słońca niespodziewanie oślepił komisarza, który uśmiechnął się, opuściwszy powieki.

Cokolwiek miał zakomunikować mu wieczorem De Cicco, był już całkowicie przekonany, że za kierownicą jadącego w ślad za autokarem samochodu siedział Nenč Sanfilippo.

Zaczaili się za kępą krzaków, z gotowymi do strzału pistoletami. Ksiądz Crucilla powiedział im, że ta odosobniona zagroda jest kryjówką Japichinu. Zanim odszedł, dodał jednak, że trzeba zachować maksymalną ostrożność, bo nie wiadomo, czy Japichinu jest gotów poddać się bez walki. Był przecież uzbrojony w pistolet maszynowy i wielokrotnie dowiódł, że umie nim się posługiwać.

Komisarz postanowił więc, że będą postępować zgodnie z przepisami. Fazio i Gallo mieli zejść dom od tyłu.

— Teraz powinni już tam być — odezwał się Mimě.

Montalbano nie odpowiedział; chciał dać swoim dwóm ludziom dość czasu, aby mogli się zasadzić we właściwym miejscu.

— Ja idę — oznajmił zniecierpliwiony Augello. — Ubezpieczaj mnie.

— Dobrze — zgodził się komisarz.

Mimě zaczął powoli się czołgać. Świecił księżyc — gdyby nie to, czołgającego w ogóle nie byłoby widać. Dziwne, że drzwi domu były szeroko otwarte. Właściwie, jak dobrze się zastanowić, wcale nie dziwne: Japichinu chciał z pewnością stworzyć wrażenie, że zagroda jest opuszczona, a w rzeczywistości czał się wewnątrz, z pistoletem maszynowym w ręku.

Przed drzwiami Mimě podniósł się ostrożnie, stanął na progu, zajrzał do środka. Potem wszedł tam lekkim krokiem. Pojawił się znowu po kilku minutach i pomachał rękaw stronę komisarza.

— Nikogo tu nie ma! — zawołał.

— Czy on stracił rozum? — spytał sam siebie zdenerwowany Montalbano.
— Czy nie wie, że może być pod ostrzałem?

W tej właśnie chwili, czując, że z przerażenia krew zamarza mu w żyłach, dojrzał lufę pistoletu maszynowego wychylającą się z okienka nad drzwiami. Porwał się na nogi.

— Mimě! Mimě! — zawołał.

I zamilkł, bo wydało mu się, że śpiewa arię z *Cyganerii*.

Huknął strzał i Mimě upadł.

Huk strzału, który zabił Augella, obudził komisarza.

Leżał nadal na stronach gazety pod saraceńskim drzewem oliwnym, zlany potem. Jego ciałem zawładnął co najmniej milion mrówek.

13

Różnic między snem a rzeczywistością zaszło niewiele i — przynajmniej na pierwszy rzut oka — wydały się one bez większego znaczenia. Odosobniony wiejski domek, który ksiądz Crucilla wskazał jako kryjówkę Japichinu, bardzo przypominał chałupę widzianą przez komisarza we śnie — tyle że zamiast okienka miał nad wejściem balkonik. Szeroko otwarte były zarówno drzwi wejściowe, jak i te nad balkonikiem.

Inaczej niż we śnie, ksiądz nie oddalił się w pośpiechu.

— Niewykluczone — powiedział — że mógłbym się na coś przydać.

Montalbano odpukał w duchu w niemalowane drewno. Siedzący w kucki za ogromną kępą sorga ksiądz, obok którego przykucnęli komisarz i Augello, popatrzył na domek i westchnął zaniepokojony.

— O co chodzi? — zapytał Montalbano.

— Nie podobają mi się te drzwi i balkon. Kiedy tu do niego przychodziłem, wszystko było pozamykane i musiałem pukać. Bądźcie bardzo ostrożni. Nie mogę przysiąc, że Japichinu chce dać się aresztować. Ma pod ręką pistolet maszynowy i umie z niego korzystać.

Kiedy było już pewne, że Fazio i Gallo zajęli pozycję za domem, Montalbano spojrzał na Augella.

— Teraz ja idę, a ty mnie ubezpieczasz.

— Co to za nowość? — obruszył się Mimě. — Zawsze robiliśmy na odwrót.

Komisarz nie mógł mu powiedzieć, że widział we śnie jego śmierć.

— Tym razem zrobimy inaczej.

Mimě nie odpowiedział, dostosował się, bo z tonu głosu szefa potrafił wyczuć, kiedy może dyskutować, a kiedy nie.

Noc jeszcze nie zapadła. Panowała poprzedzająca mrok szarzysta, pozwalająca rozróżniać kształty postaci i przedmiotów.

— Dlaczego nie zapalił światła? — spytał Augello, wskazując podbródkiem ciemny dom.

— Może czeka na nas — powiedział Montalbano. Podniósł się i wyszedł na odkryty teren.

— Co robisz? Co robisz? — wyszeptał Mimě, chwytając go za poję marynarki i usiłując pociągnąć w dół. Pomyślał nagle o czymś, co go przeraziło. — Masz pistolet?

— Nie.

— Weź mój.

— Nie — powtórzył komisarz i zrobił dwa kroki do przodu.

Zatrzymał się, zwinął dłonie w trąbkę i przyłożył do ust.

— Japichinu! Jestem Montalbano, nie mam broni.

Żadnej odpowiedzi. Komisarz przeszedł kawałek spokojnie, jak na spacerze. Na jakieś trzy metry przed drzwiami zatrzymał się znowu i powiedział niewiele głośniejszym niż w zwykłej rozmowie:

— Japichinu! Teraz wchodzę. Będziemy mogli sobie porozmawiać.

Nikt nie odpowiedział, nikt się nie ruszył. Montalbano podniósł ręce do góry i wszedł do domu trochę bokiem, aby nie odcinać się zbyt mocno na tle wnęki drzwi. Wtedy poczuł ten zapach, który czuł już tyle razy, a od którego zawsze robiło mu się niedobrze. Wiedział już, co zobaczy, zanim jeszcze zapalił światło. Japichinu leżał pośrodku pokoju na czymś, co wydawało się czerwonym kocem, a co w rzeczywistości było kałużą krwi, która wypłynęła z podciętego gardła. Musiał zostać zaskoczony zniemacka, zwrócony plecami

do mordercy.

— Salvo! Salvo! Co się dzieje?!

To wołał Mimě Augello. Pokazał się w drzwiach.

— Fazio! Gallo! Mimě! Chodźcie tu wszyscy.

Przybiegli kłusem, z zadyszczanym księdzem na czele.

Na widok Japichinu stanęli jak wryci. Pierwszy ruszył się ksiądz Crucilla. Nie zważając na krew, która plamiła mu sutannę, ukląkł przy zabitym, pobłogosławił go i zaczął szeptać modlitwy.

Mimě dotknął czoła zamordowanego.

— Musieli go załatwić niecałe dwie godziny temu.

— Co teraz robimy? — zapytał Fazio.

— Wy trzej wsiadacie wszyscy do jednego samochodu i odjeżdżacie. Mnie zostawiacie drugi, pobędę tu jeszcze trochę, porozmawiam z księdzem. W tym domu nas nigdy nie było, zabitego Japichinu w ogóle nie widzieliśmy. Jesteśmy tu zresztą bezprawnie, to nie nasz teren. Moglibyśmy mieć nieprzyjemności.

— Ale... — spróbował coś powiedzieć Augello.

— Żadnych ale. Zobaczymy się później w komisariacie.

Wyszli jak obite psy, niechętnie okazując mu posłuszeństwo. Montalbano słyszał, jak z ożywieniem szepczą między sobą. Ksiądz był pogrążony w modlitwie. Dużo musiał odmówić zdrowasiek, *Ojcze nasz* i wiecznych odpoczynków, biorąc pod uwagę ciężący na Japichinu bagaż zabójstw.

Komisarz wszedł po kamiennych schodkach na piętro i zapalił światło. W pokoju stały dwa łóżka polowe z materacami bez pościeli, pośrodku szafka nocna, pod ścianą rozklekotana szafa i dwa drewniane krzesła. W rogu ołtarzyk, zrobiony ze stolika przykrytego białym haftowanym obrusem. Na ołtarzyku trzy statuetki: Matka Boska, Serce Jezusowe i święty Calogero.

Przed każdą statuetką zapalona lampka. Prawdę mówił dziadzio Balduccio: Japichinu był młodzieńcem pobożnym, miał przecież nawet spowiednika. Szkoda tylko, że zarówno on, jak i ksiądz mylili pobożność z hołdowaniem przesądom — podobnie zresztą jak większość Sycylijczyków. Komisarz przypomniał sobie widziane kiedyś prymitywne wotum z początku dwudziestego wieku: przedstawiało chłopca uciekającego przed dwoma karabinierami z kitami na kapeluszach. Z prawej strony u góry wychylała się z chmur Madonna, wskazując ściganemu najpewniejszą drogę ucieczki. Pod spodem napis: „Za ratunek przed surowością prawa”.

Na jednym z łóżek leżał w poprzek kałasznikow.

Zgasił światło, zszedł na dół, wziął jedno ze stojących tam wyplatanych słomą krzesel, usiadł.

— Proszę księdza.

Crucilla, który jeszcze się modlił, otrząsnął się, podniósł oczy.

— Co takiego?

— Proszę usiąść, musimy porozmawiać.

Ksiądz wykonał polecenie. Krew napłynęła mu do twarzy, pocił się obficie.

— Jak mam o tym powiedzieć panu Balduccio?

— Nie będzie to potrzebne.

— Dlaczego?

— Bo on już wie.

— Od kogo?

— Od mordercy, to jasne.

Ksiądz Crucilla z początku nie pojął, o co chodzi. Wpatrywał się w komisarza i bezgłośnie poruszał wargami. Potem zrozumiał. Wytrzeszczył

oczy, wstał gwałtownie z krzesła, cofnął się, poślizgnął na mokrej od krwi podłodze, omal nie upadając.

„Zaraz szlag go trafi i wykituje” — pomyślał zaniepokojony Montalbano.

— Na miłość boską, co pan mówi?! — wykrztusił ksiądz.

— Mówię tylko, jak się sprawy mają.

— Przecież Japichinu szukała policja, szukali go karabinierzy i służby specjalne!

— Wszyscy oni nie podrzynają zazwyczaj gardeł ludziom, których chcą aresztować.

— A nowa mafia? A rodzina Cuffaro?

— Drogi ojcze, ksiądz po prostu nie chce uwierzyć, że ten chytrus Balduccio Sinagra wyrolował i mnie, i księdza.

— Ale jakie ma pan dowody, żeby sugerować...

— Proszę znowu usiąść. Napije się ksiądz trochę wody?

Crucilla kiwnął potakująco głową. Montalbano ujął dzban z wodą — był przyjemnie chłodny — i podał go duchownemu, który przyłgnął do niego ustami.

— Dowodów nie mam i sędzę, że nigdy nie będę ich miał.

— A więc?

— Najpierw proszę odpowiedzieć na moje pytania. Japichinu nie przebywał tutaj sam. Miał ochroniarza, który był tu także nocą, sypiał obok niego, prawda?

— Tak.

— Wie ksiądz, jak się nazywał?

— Lollñ Spadaro.

— Był przyjacielem Japichinu czy zaufanym człowiekiem Balduccia?

— Był człowiekiem pana Balduccio. To on go wyznaczył. Japichinu tego Spadara nie lubił, ale czuł się z nim bezpieczny. Sam mi to powiedział.

— Tak bezpieczny, że Spadaro mógł bez trudu go zamordować.

— Co panu przychodzi do głowy? Może najpierw zarżnęli Spadara, a dopiero potem Japichinu.

— W pokoju na górze nie ma zwłok Spadara, nie ma ich również tutaj.

— Może leżą na zewnątrz, w pobliżu domu!

— Moglibyśmy oczywiście ich szukać, ale byłoby to bezcelowe. Zapomina ksiądz, że ja i moi ludzie otoczyliśmy dom i przetrząsnęliśmy dokładnie okolicę. Nie znaleźliśmy ciała.

Ksiądz Crucilla załamał ręce. Pot spływał po nim kroplami.

— Ale dlaczego pan Balduccio miałby odgrywać całą tę komedię?

— Chciał mieć w nas świadków. Co, zdaniem księdza, powinienem był zrobić po stwierdzeniu morderstwa?

— No cóż... to, co zwykle się robi. Zawiadomić sądówkę, prokuratora...

— A wtedy Balduccio mógłby odegrać rolę zrozpaczonego dziadka, rozpowiadać, że ludzie z nowej mafii zamordowali jego ukochanego wnuczka, tak bardzo ukochanego, że w trosce o jego bezpieczeństwo przekonał go, żeby poddał się policji, co może poświadczyć osoba duchowna, ksiądz, który był wtedy obecny... Powiedziałem już księdzu: wyrolował nas obu. Ale tylko do pewnego stopnia, bo ja za pięć minut odjadę i wszystko zostanie tak, jakby mnie tu nigdy nie było. Balduccio będzie musiał wymyślić coś innego. Ale jeśli ksiądz go zobaczy, proszę mu poradzić, żeby kazał pochować wnuka cichaczem, bez hałasu.

— Tak, ale pan... Jak pan doszedł do tych wniosków?

— Japichinu był jak ścigane zwierzę. Nie ufał nikomu i niczemu. Myśli ksiądz, że stanąłby plecami do kogoś, kogo dobrze nie znał?

— Nie.

— Kałasznikow Japichinu leży na jego łóżku. Myśli ksiądz, że chłopak kręciłby się tu na dole nieuzbrojony w obecności kogoś, do kogo nie miałby pełnego zaufania?

— Nie.

— Proszę mi jeszcze coś powiedzieć. Czy ksiądz wie, jak miał się zachować Spadaro w razie aresztowania Japichinu?

— Tak. On także miał dać się aresztować, nie stawiając oporu.

— Kto wydał mu taki rozkaz?

— Pan Balduccio osobiście.

— Tak Balduccio powiedział księdzu. Coś całkiem innego usłyszał od niego Spadaro.

Księdzu Crucilla zaschło w gardle. Przypiął się znowu do dzbana.

— Dlaczego pan Balduccio kazał zabić swojego wnuka?

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Może Japichinu czymś mu się naraził, może nie uznawał już jego zwierzchnictwa. Wie ksiądz, wojny o następstwo tronu zdarzają się nie tylko między królami lub w zarządach wielkich koncernów.

Montalbano wstał z krzesła.

— Jadę. Mam księdza odprowadzić do samochodu?

— Nie, dziękuję — powiedział Crucilla. — Zostanę tu jeszcze trochę, będę się modlił. Bardzo go lubiłem.

— Jak ksiądz woli.

W drzwiach komisarz jeszcze się odwrócił.

— Chciałbym ojcu podziękować.

— Za co? — spytał Crucilla z zaniepokojeniem.

— Wysuwając rozmaite hipotezy co do możliwych zabójców Japichinu, nie wymienił ksiądz nazwiska ochroniarza. A mógł przecież powiedzieć, że Lollñ Spadaro zaprzedał się nowej mafii. Ale ksiądz wiedział, że on nigdy, przenigdy nie zdradziłby Balduccia Sinagry. I właśnie to milczenie pozbawiło mnie wszelkich wątpliwości, jestem teraz pewien tego, co myślę. I jeszcze jedno: wychodząc, proszę zgasić światło i dobrze zamknąć drzwi. Nie chciałbym, żeby jakiś bezpański pies... Rozumie mnie ksiądz?

Wyszedł z domu. Noc była całkiem ciemna. Zanim dotarł do samochodu, potknął się kilkakrotnie o kamienie i o mało nie wpadł do jakiegoś rowu. Przyszła mu na myśl droga krzyżowa małżonków Griffo, prowadzonych przez oprawców, którzy klęli i poganiali ich kopniakami, aby szybciej szli na spotkanie ze śmiercią.

— Amen — powiedział mimo woli, ze ściśniętym sercem.

W drodze powrotnej do Vigaty nabrał pewności, że Balduccio usłucha rady, którą mu przekazał za pośrednictwem księdza. Zwłoki Japichinu trafią na jakieś odległe wysypisko... Lub raczej nie: dziadek wie, że wnuk był bardzo pobożny. Każe pochować go po cichu w poświęconej ziemi, w trumnie z innym nazwiskiem.

Wszedł do komisariatu, gdzie panowała niezwykła cisza. Czy to możliwe, aby sobie poszli, chociaż poleciał im czekać? Nie, byli w komplecie. Mimě, Fazio i Gallo siedzieli każdy na swoim miejscu, z ponurymi twarzami, jak po poniesionej klęsce. Wezwał ich do gabinetu.

— Powiem wam coś. Wiecie na pewno od Fazia, co zaszło między mną a Balducciem Sinagrą. Więc wierzcie mi, musicie wierzyć, bo wielkich bredni nigdy wam nie opowiadałem. Od pierwszej chwili uświadomiłem sobie, że z prośbą Balduccia o aresztowanie Japichinu, który jakoby w więzieniu miał być bezpieczniejszy, jest coś nie tak.

— No to dlaczego w ogóle na nią przystałeś? — spytał Augello.

— Żeby się przekonać, dokąd on zmierza, i zneutralizować jego plan, jeśli uda mi się go zrozumieć. Zrozumiałem i wykonałem ruch przeciwny.

— Jaki? — zapytał tym razem Fazio.

— Zataiłem odnalezienie zwłok Japichinu. Balduccio chciał, żebyśmy je odnaleźli i jednocześnie zapewnili mu alibi, boja musiałbym wtedy zeznać, że to z jego inicjatywy mieliśmy schwytać chłopaka całego i zdrowego.

— Po wyjaśnieniach Fazia — odezwał się znowu Mimě — my również doszliśmy do wniosku, że to Balduccio kazał załatwić wnuka. Tylko dlaczego?

— W tej chwili trudno powiedzieć, ale prędzej czy później coś wypłynie. Dla nas cała sprawa kończy się teraz.

Drzwi uderzyły o ścianę tak gwałtownie, że zadrżały szyby w oknie. Wszyscy podskoczyli na krzesłach. Był to oczywiście Catarella.

— Ach, panie komisarzu, panie komisarzu, tuż przed chwilą zatelefonił Cicco De Cicco! Powiększył zdjęcie, udało mu się! Zapisałem numer na tym papierku. Cicco De Cicco chciał, żebym mu go powtórzył cztery razy!

Położył na biurku komisarza połówkę strony wydartej z zeszytu w kratkę i dodał:

— Proszę przebaczyć, że trzasnąłem trochę drzwiami.

Wyszedł, trzaskając tak mocno, że pęknięcie na tynku obok klamki znowu się poszerzyło.

Montalbano odczytał numer tablicy rejestracyjnej i spojrział na Fazia.

— Masz pod ręką numer samochodu Nenč Sanfilippa?

— Którego? Fiata punto czy duetto?

Augello nadstawił uszu.

— Punto.

— Ten znam na pamięć: BA 927 GG.

Komisarz bez słowa podał kartkę swojemu zastępcy.

— Zgadza się — powiedział Augello. — Ale co to znaczy? Wytłumacz mi.

Montalbano wszystko mu wyjaśnił. Opowiedział o księżeczce banku pocztowego i o zdeponowanych na niej pieniądzech, o tym, że idąc za jego radą, przejrzał fotografie z wycieczki do Tindari i odkrył, iż zaraz za autokarem jechał punto, że zawiózł do kwestury w Montelusie zdjęcie i poprosił o powiększenie. Podczas całej tej przemowy Augello patrzył na niego podejrzliwie.

— Ty już to wiedziałeś — rzekł.

— Co?

— Że jadący za autokarem samochód należał do Sanfilippa. Wiedziałeś o tym, zanim Catarella przyniósł ci kartkę.

— Tak — przyznał Montalbano.

— Kto ci powiedział?

Drzewo, saraceńskie drzewo oliwne — powinna brzmieć poprawna odpowiedź, ale komisarzowi zabrakło odwagi.

— Intuicja — odparł. Augello wolał nie nalegać.

— To oznacza, że między zabójstwem państwa Griffo a zabójstwem Sanfilippa istnieje ścisły związek.

— Tego nie możemy jeszcze stwierdzić — sprzeciwił się komisarz. — Na pewno wiemy tylko jedno: że samochód Sanfilippa jechał w ślad za autokarem, którym podróżowali Griffo.

— Beba powiedziała też, że Griffo często obracał się do tyłu i patrzył na

drogę. Najwidoczniej chciał się upewnić, że samochód dalej za nimi jedzie.

— Zgoda. Dowodzi to, że był jakiś związek między Sanfilippem a małżonkami Griffo. Ale w tym punkcie musimy się zatrzymać, choć niewykluczone, że Sanfilippo zabrał jego i ją do swojego samochodu w drodze powrotnej, na ostatnim postoju autokaru przed Vigatą.

— I pamiętaj, że według Beby to właśnie Alfonso Griffo zażądał od kierowcy tego ponadplanowego postoju. Znaczy to, że już wcześniej umówił się z Sanfilippem.

— Zgadzam się znowu. Nie możemy jednak stąd wnioskować, ani że to Sanfilippo zamordował małżonków Griffo, ani że jego samego zastrzelono w konsekwencji tego morderstwa. Hipoteza o zemście zdradzonego męża jest nadal aktualna.

— Kiedy spotkasz się z Ingrid?

— Jutro wieczorem. A ty jutro rano postaraj się zebrać trochę informacji o doktorze Eugeniu Ignaziu Ingrñ, tym od przeszczepów. Nie interesuje mnie to, co piszą o nim w gazetach, tylko inne sprawy — takie, o których głośno się nie mówi.

— Jest taki jeden w Montelusie, mój przyjaciel, który dobrze zna doktora. Zайдę do niego pod jakimś pretekstem.

— Mimě, proszę cię bardzo, uważaj, to delikatna sprawa. Nikt nie może pomyśleć nawet przez chwilę, że interesujemy się doktorem i jego szanowną małżonką Vanją Titulescu.

Mimě zrobił obrażoną minę.

— Bierzesz mnie za głupiego kutasa?

Zobaczył ją, zaledwie otworzył lodówkę.

Caponata: smażone bakłazany, kapary, oliwki i seler w kwaśnosłodkim

sosie. Smakowita, kolorowa, obfita, wypełniała głęboką salaterkę — porcja dla co najmniej czterech osób. Adelina nie przyrządzała jej już od miesiący. Chleb w plastikowym woreczku był świeży, musiała go kupić rano. Odruchowo, żywiłowo wytrysnęły z jego ust nuty marsza triumfalnego z *Aidy*. Podśpiewując, otworzył oszklone drzwi i zapalił światło na werandzie. Tak, noc była chłodna, ale na zewnątrz dało się zjeść. Ustawił stolik, przyniósł z kuchni salaterkę, wino, chleb. Kiedy siadał, zadzwonił telefon. Przykrył salaterkę papierową serwetką i poszedł odebrać.

— Halo? Komisarz Montalbano? Mówi mecenas Guttadauro.

Czekał na ten telefon, nie miał najmniejszej wątpliwości, że adwokat zadzwoni.

— Słucham pana, mecenasie.

— Przede wszystkim proszę wybaczyć, że jestem zmuszony niepokoić pana o tej porze.

— Zmuszony? Przez kogo?

— Przez okoliczności, panie komisarzu.

Nie ma co, sprytny ten adwokat.

— Co to za okoliczności?

— Mój klient i przyjaciel jest zaniepokojony.

Czy dlatego nie chciał wypowiadać przez telefon nazwiska Sinagra, że w grę wchodzi teraz świeży trup?

— Ach, tak. A dlaczego to?

— No więc... od wczoraj nie ma wiadomości od wnuka.

Od wczoraj? Balduccio Sinagra zaczynał się zabezpieczać.

— Od którego wnuka? Od uchodźcy?

— Uchodźcy? — powtórzył adwokat Guttadauro, całkiem zbity z tropu.

— Mecenasiu, nie bądźmy zbyt drobiazgowi. Dzisiaj uchodźca i ukrywający się przed prawem to jedno — albo przynajmniej niektórzy chcą, żebyśmy tak uważali.

— Tak, od tego — powiedział oszołomiony jeszcze adwokat.

— Ale jak pański klient mógł mieć wiadomości od wnuka, który się ukrywa?

Na krętacza — krętacz do kwadratu.

— No, wie pan, jak to bywa — wspólni znajomi, przejezdni...

— Rozumiem. Ale czy ja mam z tym coś wspólnego?

— Nic — sprecyzował pospiesznie Guttadauro i powtórzył, skandując słowa: — Pan nie ma z tym zupełnie nic wspólnego.

Komunikat nadany. Balduccio Sinagra zawiadamiał go, że posłuchał rady udzielonej mu za pośrednictwem księdza Crucilla. O zabójstwie Japichinu nikt nie wspomni, Japichinu mógł w ogóle się nie urodzić — gdyby nie ci, których pomordował.

— Mecenasiu, dlaczego odczuwa pan potrzebę powiadomienia mnie o niepokoju swojego przyjaciela i klienta?

— Chciałem tylko powiedzieć, że mimo tego silnego zaniepokojenia mój klient i przyjaciel pomyślał o panu.

— O mnie? — zdziwił się Montalbano.

— W istocie. Poleciał mi dostarczyć panu kopertę. Mówi, że zawiera ona coś, co mogłoby pana zainteresować.

— Mecenasiu, niech pan mnie posłucha. Kładłem się właśnie do łóżka, miałem ciężki dzień.

— Rozumiem pana doskonale.

Ten kutas adwokat pozwalał sobie ironizować.

— Kopertę proszę mi przynieść jutro rano do komisariatu. Dobranoc panu.

Odłożył słuchawkę. Wrócił na werandę, ale zaraz się rozmyślił. Poszedł znowu do sypialni, podniósł słuchawkę, wybrał numer.

— Livio, kochanie, co u ciebie?

Odpowiedziało mu tylko milczenie.

— Livio?

— Mój Boże, Salvo, co się stało? Dlaczego dzwonisz?

— A dlaczego miałbym nie dzwonić?

— Bo dzwonisz tylko wtedy, kiedy masz kłopoty.

— Też coś!

— Tak, tak, właśnie tak jest. Kiedy nie masz kłopotów, zawsze pierwsza do ciebie dzwonię.

— No dobrze, przepraszam.

— Co chciałeś mi powiedzieć?

— Zastanawiałem się długo nad naszym związkiem.

Livia — usłyszał to wyraźnie — wstrzymała oddech. Nie odezwała się. Ciągnął więc dalej.

— Uświadomiłem sobie, że bardzo często się kłócimy. Zupełnie jak starzy małżonkowie po latach długiego współżycia. Rzecz jednak w tym, że my ze sobą nie współzjemy.

— Mów dalej — powiedziała cichutko Livia.

— Pomyślałem więc sobie: dlaczego nie mielibyśmy zacząć wszystkiego od nowa?

— Nie rozumiem. Co chcesz przez to wyrazić?

— Livio, gdybyśmy tak się zaręczyli, co ty na to?

— A nie jesteśmy już zaręczeni?

— Nie, jesteśmy małżeństwem.

— Zgoda. Więc jak mamy zacząć?

— Tak: Livio, kocham cię. A ty?

— Ja też cię kocham. Dobranoc, kochanie.

— Dobranoc.

Odłożył słuchawkę. Teraz mógł spokojnie zjeść caponatę, nie obawiając się innych telefonów.

Obudził się o siódmej, po nocy przespanej ciężkim snem. Nic mu się nie śniło. Otwierając oczy, odniósł wrażenie, że leży w tej samej pozycji, którą przyjął w chwili zaśnięcia. Poranne niebo nie wyglądało zbyt radośnie; rozproszone chmury przypominały owce, które wkrótce zbiją się w stado. Montalbano mógł się jednak nie obawiać mocniejszych objawów złego humoru. Wciągnął stare, zniszczone spodnie, zszedł z werandy bosy i ruszył na spacer brzegiem morza. Świeże powiewy wietrzyły mu skórę, płuca i myśli. Wrócił do domu, ogolił się i stanął pod prysznicem.

W trakcie każdego śledztwa, które prowadził, nadchodził zawsze dzień, a raczej określony moment, kiedy niewytłumaczalny błogostan fizyczny, uszczęśliwiająca łatwość splatania się myśli i harmonijne sprzężenie mięśni czyniły go pewnym, że może iść swoją drogą z zamkniętymi oczyma, nie potykając się, nie wpadając na coś czy na kogoś. Zupełnie tak, jak dzieje się niekiedy w krainie snu. Ten moment trwał tyle co nic, ale okazywał się wystarczający. Montalbano wiedział już z doświadczenia, że jest jak boja, przy której łódź dokonuje zwrotu, że zapowiada zasadniczą zmianę. Od tej chwili każda część układanki, którą stanowi śledztwo, sama trafi na właściwe miejsce; nie trzeba będzie się wysilać, wystarczy tylko chcieć. Taki moment przeżywał teraz pod prysznicem, ale wiele jeszcze spraw — większość, prawdę mówiąc — pozostawało nadal niewyjaśnionych.

Kwadrans po ósmej dotarł do komisariatu i zwolnił, aby zaparkować; zaraz jednak zmienił zamiar i pojechał dalej, na ulicę Cavoura. Dozorczyńni spojrzęła na niego z niechęcią i nawet nie powiedziała „dzień dobry”; dopiero co skończyła myć posadzkę w holu, a komisarz pobrudzi wszystko swoimi

butami. Davide Griffio wydawał się już mniej wzburzony, trochę ochłonął. Nie zdziwił się na widok Montalbana i zaproponował mu od razu filiżankę świeżo zaparzonej kawy.

— Znalazł pan coś?

— Zupełnie nic — odpowiedział Griffio. — A szukałem wszędzie. Nie ma książeczki, nie ma niczego, co mogłoby wytłumaczyć, dlaczego ojciec dostawał te dwa miliony na miesiąc.

— Panie Griffio, proszę mi pomóc coś sobie przypomnieć.

— Słucham pana.

— Jak mi się wydaje, powiedział pan, że pański ojciec nie miał bliskich krewnych.

— To prawda. Miał brata... nie pamiętam jego imienia... który zginął pod amerykańskimi bombami w czterdziestym trzecim roku.

— Bliskich krewnych miała za to pańska matka.

— Tak jest, brata i siostrę. Brat, wuj Mario, mieszka w Comiso i ma syna, który pracuje w Sydney. Mówiliśmy o nim, pamięta pan? Spytał pan, czy...

— Pamiętam — uciął komisarz.

— Siostra, ciotka Giuliana, mieszkała w Trapani, uczyła tam w szkole. Była starą panną, nigdy nie chciała wyjść za mąż. Ani mama, ani wuj Mario nie utrzymywali z nią stosunków. Do mamy zbliżyła się trochę dopiero w ostatnich latach. Rodzice odwiedzili ją nawet na dwa dni przed jej śmiercią. Zostali wtedy w Trapani prawie przez tydzień.

— Czy wiadomo panu, dlaczego pana matka i jej brat żywili antypatię do tej Giuliany?

— Dziadek i babka, umierając, zapisali prawie cały swój niewielki majątek tej córce. Wydziedziczyli w praktyce dwoje pozostałych dzieci.

— Pana matka wyjaśniła panu kiedyś, z jakiej przyczyny?

— O czymś wspomniała. Wygląda na to, że dziadkowie poczuli się opuszczeni przez mamę i wuja Maria. Ale, widzi pan, mamusia wyszła za mąż bardzo młodo, a wuj poszedł do pracy i wyniósł się z domu, zanim skończył szesnaście lat. Z rodzicami została tylko ciotka Giuliana. Zaledwie dziadkowie umarli... pierwsza zmarła babka... ciotka Giuliana sprzedała wszystko, co tutaj miała, i przeniosła się do Trapani.

— Kiedy umarła?

— Dokładnie nie potrafię panu powiedzieć. Przynajmniej dwa lata temu.

— Wie pan, gdzie mieszkała w Trapani?

— Nie. Tutaj, u rodziców, nie znalazłem nic, co odnosiłoby się do ciotki Giuliany. Wiem jednak, że mieszkanie w Trapani należało do niej, wykupiła je.

— Jeszcze jedno: nazwisko panięńskie pańskiej matki.

— Di Stefano. Margherita Di Stefano.

Davide Griffo miał tę zaletę, że szczerze udzielał odpowiedzi i oszczędnie zadawał pytania.

Dwa miliony lirów miesięcznie. To mniej więcej tyle, ile zarabia drobny urzędnik przed przejściem w stan spoczynku. Ale Alfonso Griffo był emerytem od dawna i żył z emerytur swojej i żony, lub dokładniej — kiedyś żył, bo od dwóch lat otrzymywał znaczne uzupełnienie. Dwa miliony na miesiąc. Z innego punktu widzenia ta suma była jednak śmieszna. Na przykład gdyby w grę wchodził systematyczny szantaż. Zresztą Alfonso Griffo, chociaż lubił pieniądze, na szantaż nigdy by się nie zdobył, czy to z tchórzostwa, czy braku wyobraźni, nawet jeśli nie miałby skrupułów natury moralnej. Dwa miliony na miesiąc. Za użyczenie swojego nazwiska, jak Montalbano pomyślał w pierwszej chwili? Użyczającemu nazwiska płaci się

jednak zazwyczaj jednorazowo albo ma on swój udział w zyskach, którego nie podejmuje z pewnością w miesięcznych ratach. Dwa miliony na miesiąc. W pewnym sensie właśnie skromność tej sumy komplikowała sprawę. Jakąś wskazówką był jednak fakt, że wypłacano ją regularnie. Komisarz zaczynał czegoś się domyślać. Intrygował go pewien zbieg okoliczności.

Zatrzymał wóz przed ratuszem, wszedł do urzędu stanu cywilnego. Znał jego kierownika, pana Crisafulli.

— Potrzebuję pewnej informacji.

— Słucham pana, komisarzu.

— Jeśli ktoś urodzony w Vigacie umrze w innej miejscowości, zawiadamia się was o jego zgonie?

— Istnieje odpowiednie rozporządzenie — odrzekł wymijająco pan Crisafulli.

— Przestrzega się go?

— W zasadzie tak. Ale, widzi pan, potrzeba na to czasu. Wie pan, jak to bywa. Muszę też panu powiedzieć, że jeśli zgon nastąpił za granicą, to w ogóle nie ma o czym mówić. Chyba że jakiś członek rodziny zatroszczy się, żeby...

— Interesująca mnie osoba zmarła w Trapani.

— Kiedy?

— Ponad dwa lata temu.

— Zaraz sprawdzę.

Pan Crisafulli usiadł przy komputerze stojącym dumnie w kącie pokoju, włączył go. Po chwili podniósł wzrok na komisarza.

— Zmarła w Trapani szóstego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.

— Piszą tam, gdzie mieszkała?

— Nie, ale jeśli pan sobie życzy, powiem panu za pięć minut.

W tym miejscu pan Crisafulli zrobił coś dziwnego. Podeszedł do swojego biurka, otworzył szufladę, wyjął metalową piersiówkę, odkręcił nakrętkę, pociągnął łyk, zakręcił, piersiówkę zostawił na biurku. Wrócił potem do komputera. Jako że stojąca na stoliku popielniczka pełna była niedopałków cygar, których zapachem przesiąkł pokój, komisarz zapalił papierosa. Kończył właśnie palić, gdy kierownik oznajmił mu ledwo dosłyszalnym głosem:

— Mam. Mieszkała na ulicy Wolności numer dwanaście.

Źle się poczuł? Montalbano chciał go o to spytać, ale nie zdążył. Pan Crisafulli wrócił biegiem do swego biurka, chwycił piersiówkę i znowu łyknął.

— To koniak — wyjaśnił. — Za dwa miesiące przechodzę na emeryturę.

Komisarz spojrział na niego pytająco, bo nie widział i związku.

— Jestem urzędnikiem starej daty — powiedział kierownik — i dostaję zawrotu głowy za każdym razem, kiedy załatwiam szybko sprawę, która dawniej ciągnęłaby się miesiącami.

Dojazd do Trapani, na ulicę Wolności, zabrał mu dwie i pół godziny. Pod numerem 12 stał trzypiętrowy dom otoczony dobrze utrzymanym ogródkiem. Davide Griffo powiedział, że ciotka Giuliana posiadała mieszkanie własnościowe. Jednak kiedy umarła, mogli kupić je ludzie, którzy w ogóle jej nie znali, a uzyskane ze sprzedaży pieniądze trafiły prawie na pewno do jakiejś instytucji dobroczynnej. Obok zamkniętej furtki był domofon z trzema tylko nazwiskami; mieszkania musiały być dość obszerne. Przycisnął guzik na samej górze, opatrzony napisem „Cavallaro”. Odezwał się kobiecy

głos:

— Tak?

— Przepraszam panią bardzo. Chodzi mi o zmarłą pannę Giulianę Di Stefano.

— Niech pan zadzwoni do mieszkania numer dwa, guzik pośrodku.

Przy wskazanym guziku widniało nazwisko Baeri.

Kiedy komisarz, zadzwoniwszy na próżno trzy razy, stracił już nadzieję, odezwał się inny kobiecy głos, należący tym razem do starszej osoby.

— Ale wam się spieszy! Kto tam?

— Nazywam się Montalbano.

— I czego pan chce?

— Chciałbym zapytać panią o coś w związku z panną Giulianą Di Stefano.

— Proszę pytać.

— Przez domofon?

— A co, to długa sprawa?

— No, lepiej byłoby...

— Ja teraz otwieram — powiedział głos starszej kobiety — a pan ma zrobić, jak powiem. Po otwarciu furtki pan wchodzi i zatrzymuje się w połowie alejki. Jeśli pan tak nie zrobi, nie otworzę drzwi do domu.

— Dobrze — odpowiedział zrezygnowany komisarz.

Stał w alejce i nie wiedział, co dalej. Potem zobaczył, że otwierają się okiennice na balkonie i pojawia się tam staruszka w półperuce nakrywającej wierzch głowy nad czołem, cała w czerni, z lornetką w ręku. Przyłożyła lornetkę do oczu i przyjrzała mu się uważnie; Montalbano zarumienił się bez powodu, wydało mu się, że jest całkiem nagi. Staruszka wróciła do mieszkania i zamknęła okiennice. Po chwili usłyszał metaliczny dźwięk

zamka u drzwi wejściowych. Oczywiście nie było windy. Drzwi na drugim piętrze, z napisem „Baeri”, były zamknięte. Jaki jeszcze oczekiwał go egzamin?

— Jak pan powiedział, że się nazywa?

— Montalbano.

— Czym się pan zajmuje?

Jeśli jej powie, że jest komisarzem policji, trafi ją szlag.

— Jestem urzędnikiem w ministerstwie.

— Ma pan jakiś dokument?

— Tak.

— Proszę go wsunąć pod drzwi.

Uzbroiwszy się w świętą cierpliwość, komisarz wykonał polecenie.

Upłynęło pięć minut absolutnego milczenia.

— Otwieram — powiedziała staruszka.

Dopiero wtedy Montalbano zauważył z przerażeniem, że w drzwiach są cztery zamki. Od wewnątrz nie brakowało z pewnością zasuw i łańcucha. Po dziesięciu minutach różnych odgłosów i zgrzytów drzwi otworzyły się i Montalbano mógł wstąpić w progi mieszkania pani Baeri. Został zaprowadzony do dużego salonu, wyposażonego w ciemne, ciężkie meble.

— Nazywam się Assunta Baeri — zaczęła staruszka. — Z pańskiego dokumentu wynika, że pracuje pan w policji.

— W istocie.

— Gratuluję panu — powiedziała z ironią pani (a może panna?) Baeri.

Montalbano nie zareagował.

— Złodzieje i mordercy wyprawiają, co im się podoba, a policjanci pod pretekstem utrzymywania porządku chodzą na mecze piłki nożnej, zabawiają

się! Albo eskortują senatora Ardoli, któremu żadna eskorta niepotrzebna, bo wystarczy na niego spojrzeć, żeby umrzeć ze strachu!

— Proszę pani, ja...

— Jestem panną.

— Panno Baeri, przepraszam za kłopot, przyszedłem porozmawiać o panie Giulianie Di Stefano. To mieszkanie należało do niej?

— Owszem.

— Pani kupiła je od tej pani?

Niezręczne zdanie! Poprawił się zaraz.

— ...od nieboszczki?

— Niczego nie kupowałam! Nieboszczka, jak pan ją nazywa, zapisała mi je w testamencie! Mieszkałam z nią od trzydziestu dwóch lat i płaciłam komorne. Niskie, ale płaciłam.

— Zostawiła coś jeszcze?

— Więc pan nie jest z policji, tylko z urzędu podatkowego! Tak, zapisała mi jeszcze drugie mieszkanie, malutkie. Wynajęłam je.

— A innym? Zapisała coś innym?

— Jakim innym?

— No, nie wiem, jakimś krewnym...

— Swojej siostrze, z którą pogodziła się po latach... długo w ogóle ze sobą nie rozmawiały... zostawiła takie drobiazgi.

— Wie pani, co to za drobiazgi?

— Pewno, że wiem! Testament sporządziła w mojej obecności, mam nawet kopię. Siostrze zostawiła stajnię i zwłoki, tyle co nic, po prostu na pamiątkę.

Montalbano osłupiał ze zdumienia. Czy w spadku można zostawiać

zwłoki? Musiał się przesłyszeć. I rzeczywiście, dalsze słowa panny Baeri wyjaśniły nieporozumienie.

— Wie pan, ilu metrom kwadratowym odpowiada u nas włóka ziemi?

— Prawdę mówiąc, nie wiem — odpowiedział, odzyskawszy już równowagę ducha.

— Giulianie, kiedy przenosiła się tutaj z Vigaty, nie udało się sprzedać ani stajni, ani tego kawałka ziemi, które, jak się wydaje, leżą na zupełnym odludziu. Więc sporządzając testament, postanowiła zapisać je siostrze. Niewiele są warte.

— Wie pani, gdzie dokładnie znajduje się ta stajnia?

— Nie.

— Ale w testamencie powinno to być wyszczególnione. A pani mi powiedziała, że ma kopię.

— O Matko Boska! To pan chce, żebym jej teraz szukała?

— Gdyby pani była taka dobra...

Staruszka wstała, mamrocząc coś pod nosem, wyszła z pokoju i wróciła już po minucie. Wiedziała doskonale, gdzie trzyma kopię testamentu. Podała ją nieuprzejmie komisarzowi, który wczytał się w tekst i znalazł wreszcie to, co go interesowało.

Stajnia określona była mianem „budowli wiejskiej o jednym pomieszczeniu”; sądząc po opisie, kostka cztery na cztery metry. Wokół tysiąc metrów kwadratowych ziemi. Niewiele, zgodnie ze słowami panny Baeri. „Budowla” znajdowała się w okolicy zwanej Maurem.

— Dziękuję pani i przepraszam za kłopot — powiedział grzecznie komisarz, wstając.

— Dlaczego interesuje pana ta stajnia? — spytała staruszka, również się podnosząc.

Montalbano zawahał się; musiał znaleźć dobrą wymówkę. Ale panna Baeri ciągnęła dalej:

— Pytam, bo jest pan już drugą osobą, która się o nią dopytuje.

Komisarz usiadł ponownie, panna Baeri także.

— A kiedy dopytywała się ta pierwsza?

— W dzień po pogrzebie Giuliany. Jej siostra i mąż jeszcze tu byli, nocowali w tamtym pokoju w głębi.

— Proszę mi opowiedzieć, jak to było.

— Wyleciało mi to zupełnie z głowy, dopiero teraz sobie przypomniałam, bo rozmawialiśmy na ten temat. No więc w dzień po pogrzebie, prawie w porze obiadu, zadzwonił telefon i poszłam odebrać. Mówił jakiś mężczyzna; powiedział, że jest zainteresowany stajnią i gruntem. Spytałam, czy wie, że biedna Giuliana umarła, a on odpowiedział, że nie. I spytał, z kim może rozmawiać w tej sprawie. Dałam mu wtedy męża Margherity, bo spadkobierczynią była jego żona.

— Słyszała pani, o czym rozmawiali?

— Nie, wyszłam z pokoju.

— A czy mężczyzna, który zadzwonił, podał swoje nazwisko?

— Może i tak, ale ja go nie pamiętam.

— Czy potem pan Alfonso mówił w pani obecności z żoną o tym telefonie?

— Kiedy wszedł do kuchni i Margherita zapytała, z kim rozmawiał, powiedział tylko, że to ktoś z Vigaty, co mieszka w tym samym domu. Nic więcej nie dodał.

Strzał w dziesiątkę! Montalbano wstał znowu.

— Muszę już iść. Dziękuję i przepraszam — powiedział, kierując się ku

drzwiom.

— Ale niech mi pan powie — odezwała się, kusząc za nim, panna Baeri — dlaczego nie spyta pan o to wszystko Alfonsa?

— Jakiego Alfonsa? — powiedział Montalbano, który otworzył już drzwi.

— Jak to Jakiego”? Męża Margherity.

„Boże! Ona nic nie wie o zabójstwach! Prawdopodobnie nie ma telewizora i nie czytuje gazet”.

— Spytałem go — zapewnił komisarz, już będąc na schodach.

Zatrzymał się przy pierwszej dostrzeżonej kabinie telefonicznej, wysiadł, wszedł do niej i stwierdził, że w aparacie migocze czerwone światło. Pojechał dalej i zobaczył drugą; tam też telefon był popsuty.

Zaklął, gdy pojął, że po dotychczasowym pięknym biegu zaczyna teraz napotykać małe przeszkody — zapowiedź przeszkód większych. Z trzeciej kabiny udało mu się wreszcie dodzwonić do komisariatu.

— Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Gdzie pan się zakopał? Przez całe rano nic, tylko...

— Catarella, opowiesz mi o tym później. Czy wiesz, gdzie jest Maur?

— Panie komisarzu, a skąd mam wiedzieć? W Vigacie pełno Konogolańczyków.

— Połącz mnie zaraz z Faziem. Konogolańczyków? Mieszkańców Konoga? Co to za dziwny kraj?

— Słucham, panie komisarzu.

— Fazio, wiesz, gdzie znajduje się okolica nazywana Maurem?

— Chwileczkę, panie komisarzu.

Fazio uruchomił swój mózg działający jak komputer. Miał w głowie między innymi dokładną mapę całego rejonu Vigaty.

— Panie komisarzu, to niedaleko Monteserrato.

— Wytłumacz mi, jak tam dojechać. Fazio wyjaśnił i dodał:

— Przykro mi, ale Catarella koniecznie chce z panem mówić. Skąd pan dzwoni?

— Z Trapani.

— A co pan tam robi?

— Później ci powiem. Daj mi Catarellę.

— Halo, panie komisarzu? Chciałem panu powiedzieć, że rano...

— Catarella, kim są Konogolańczycy?

— Afrykanie z Konoga, panie komisarzu. A może z Konga? To jak się mówi — Konogolanie?

Montalbano odwiesił słuchawkę i pojechał dalej. Zatrzymał się przed dużym sklepem samoobsługowym z artykułami żelaznymi. Kupił łom, dłuto, wielkie obcęgi, młotek i piłkę do metalu. Kiedy poszedł zapłacić, kasjerka — ładna, ciemnowłosa dziewczyna — uśmiechnęła się do niego.

— Udanego skoku — powiedziała.

Nie chciało mu się odpowiadać. Wyszedł, wsiadł znowu do samochodu. Po niedługim czasie spojrzął na zegarek. Była prawie druga, poczuł wilczy apetyt. Przed zajazdem z szyldem „U Burbonów” parkowało kilka dużych ciężarówek — znak, że można tam dobrze zjeść. W duszy komisarza stoczyła się krótka, lecz bardzo zacięta walka między aniołem a diabłem. Zwyciężył anioł. Montalbano pojechał dalej w kierunku Vigaty.

„Może chociaż kanapkę?” — usłyszał żalosne pytanie diabła.

„Nie”.

Nazwę Monteserrato nosił łańcuch dość wysokich wzgórz, oddzielający Montelusę od Vigaty. Zaczynał się prawie na brzegu morza i ciągnął przez

pięć, sześć kilometrów w stronę leżących w głębi pól. Na ostatnim grzbiecie wznosiły się zabudowania wielkiego, starego gospodarstwa. Miejsce było całkiem odosobnione. Takie też pozostało, chociaż w okresie, kiedy prowadzono bez opamiętania rozmaite roboty publiczne, szukając rozpaczliwie lokalizacji, gdzie dałoby się jeszcze wybudować drogę, most, wiadukt czy tunel, połączono je pasmem asfaltu z szosą Vigata–Montelusa. O Monteserrato mówił mu kilka lat wcześniej stary dyrektor Burgio. Opowiedział, jak w 1944 roku poszedł tam na wycieczkę ze znajomym, amerykańskim dziennikarzem, do którego poczuł od razu odwzajemnioną sympatię. Szli najpierw godzinami przez pola, potem zaczęli się wspinać, odpoczywając od czasu do czasu. Gdy dotarli już w pobliże otoczonego wysokim murem gospodarstwa, zatrzymały ich dwa psy, jakich ani dyrektor, ani Amerykanin nigdy przedtem nie widzieli: tułów charta, lecz ogon bardzo krótki i zakręcony do góry jak u prosiaka, długie, zwisające uszy psa myśliwskiego, dziki wzrok. Te psy dosłownie unieruchomiły wędrowców; warczały groźnie, gdy tylko próbowali się poruszyć. Wreszcie nadszedł konno ktoś z gospodarstwa i ich oswobodził. Poznali właściciela, głowę rodziny, który pokazał im ruiny starego klasztoru. Zobaczyli tam na obdrapanej, wilgotnej ścianie wspaniałą fresk przedstawiający narodziny Chrystusa. Mogli jeszcze odczytać datę — 1410. Na fresku widać było także trzy psy, zupełnie takie same jak te, które ich zatrzymały, gdy wchodzili pod górę. Dyrektor wrócił tam wiele lat później, kiedy już wybudowano asfaltową drogę. Ruiny klasztoru zniknęły, na ich miejscu wznosił się ogromny garaż. Zburzono także ścianę z freskiem, wokół garażu leżały jeszcze kawałki kolorowego tynku.

Odnalazł kapliczkę, o której wspomniał mu Fazio. Dziesięć metrów za nią zaczynała się polna dróżka, biegnąca w dół zbocza.

„Jest bardzo stroma, niech pan uważa” — ostrzegł Fazio.

Stroma to mało! Miejscami stawała się prawie prostopadła. Montalbano jechał bardzo powoli. W połowie zbocza zatrzymał się, wysiadł i spojrzął przed siebie ze skraju drogi. Rozpościerający się przed nim krajobraz można było uznać — w zależności od gustu patrzącego — za ohydny lub przepiękny. Żadnego drzewa, żadnego domu oprócz tego, którego dach widoczny był o jakieś sto metrów niżej. Ziemi nie uprawiano; pozostawiona sama sobie, wydała zadziwiającą różnorodność dzikich roślin — do tego stopnia, że ów malutki domek prawie zginął w wysokiej trawie i widać było z niego właśnie tylko dach, który najwyraźniej niedawno naprawiono, podobnie jak rynny. Montalbano ujrzał też — i poczuł się przez to nieco zdezorientowany — przewody elektryczne i telefoniczne, ciągnące się skądś z daleka, z niewidzialnego miejsca, do budynekczku będącego kiedyś stajnią. Nie pasowały one całkiem do tego krajobrazu, który wydawał się niezmienny od zawsze, od początku wszech czasów.

Samochód musiał widocznie często jeździć tam i z powrotem, gdyż w pewnym punkcie dróżki, po lewej stronie, utworzył w wysokiej trawie rodzaj toru. Prowadził on prosto do drzwi byłej stajni, wykonanych niedawno z twardego drewna i opatrzonych dwoma zamkami. Umocowano na nich ponadto gruby, przyśrubowany z obu stron łańcuch, podobny do tych, którymi zabezpiecza się motorowery; wisiała na nim potężna kłódka. Obok drzwi znajdowało się okienko tak małe, że nie przedostałby się przez nie nawet pięcioletni chłopczyk. Chroniły je żelazne pręty, za którymi widać było szybę zamalowaną na czarno, najwidoczniej po to, aby w dzień nie udało się nikomu tam zajrzeć, a w nocy dostrzec palącego się wewnątrz światła.

Montalbano mógł postąpić dwojako: wrócić do Vigaty po posiłki albo zabawić się we włamywacza, choć wiedział, że będzie to praca długa i męcząca. Wybrał oczywiście drugie rozwiązanie. Zdjął marynarkę, wziął piłkę do metalu, w którą na szczęście zaopatrzył się w Trapani, i zaczął piłować łańcuch. Po kwadransie rozboleło go ramię. Po półgodzinie ból objął część piersi. Po godzinie łańcuch pękł, także dlatego, że Montalbano podważył go łomem i dodatkowo użył obcęarów. Komisarz był zlany potem. Zdjął koszulę i rozpostarł ją na trawie w nadziei, że trochę przeschnie. Usiadł w samochodzie, aby nieco wytchnąć; nie miał nawet ochoty zapalić papierosa. Gdy już odpoczął, wziął się do pierwszego z dwóch zamków, korzystając z pęku wytrychów, który teraz zawsze ze sobą nosił. Majstrował nimi przez pół godziny, zanim się przekonał, że nic z tego. Wytrychami nie poradził też sobie z drugim zamkiem. Przyszedł mu wtedy do głowy pomysł, który w pierwszej chwili uznał za genialny. Otworzył schowek w

samochodzie, wyciągnął stamtąd pistolet, wprowadził nabój do lufy, wycelował i wystrzelił w zamek. Kula uderzyła w cel, odbiła się od metalu i otarła o bok Montalbana, zraniony już kilka lat wcześniej. Jedynym rezultatem było to, że zniekształciła dziurkę od klucza. Komisarz zaklął i odłożył pistolet na miejsce. Jak to możliwe, że w amerykańskich filmach policjantom zawsze udaje się otwierać drzwi tym sposobem? Przestraszony przebiegiem eksperymentu z pistoletem, znowu porządnie się spocił, zdjął więc także podkoszulek i położył go obok koszuli. Uzbrojony w młotek i dłuto, natarł na drewno wokół zamka, w który strzelał. Minęła godzina i wydało mu się, że nadciął je dość głęboko i że teraz, po silnym uderzeniu ramieniem, drzwi na pewno się otworzą. Cofnął się o trzy kroki do tyłu, rozpędził, wyrznął ramieniem, ale drzwi ani drgnęły. Całe ramię i pierś rozbolały go tak bardzo, że aż łzy stanęły mu w oczach. Dlaczego te przeklęte drzwi się nie otworzyły? No, oczywiście — zapomniał, że zanim uderzy ramieniem, powinien zrobić z drugim zamkiem to samo co z pierwszym. Przeszkadzały mu teraz przesiąknięte potem spodnie; zdjął je i położył obok koszuli oraz podkoszulka. Po upływie następnej godziny także i drugi zamek ledwo się już trzymał. Komisarzowi spuchło ramię, czuł, jak nabrzmiewa. Złapał za młotek i łom, ale drzwi, co trudno było pojąć, jeszcze stawiały opór. Ogarnęła go nagle niepohamowana wściekłość: niczym Kaczor Donald w kreskówce zaczął kopać drzwi i walić w nie pięściami, wrzeszcząc jak opętany. Utykając, wrócił do samochodu. Bolała go lewa noga, ściągnął buty. W tej chwili usłyszał głośny stuk: drzwi postanowiły się poddać, wpadając do pomieszczenia. Montalbano rzucił się w tamtym kierunku. Dawna stajnia, wybielona i otynkowana, była całkowicie pusta. Ani jednego mebla, ani kawałka papieru; po prostu nic, jakby nikt nigdy w niej nie przebywał. Tylko u dołu w ścianach szereg gniazdek elektrycznych i telefonicznych. Komisarz długo wpatrywał się w tę próżnię, nie wierząc

własnym oczom. Otrząsnął się wreszcie, bo nadchodził zmierzch. Podźwignął drzwi, oparł je o futrynę, pozbierał koszulę, podkoszulek i spodnie, rzucił wszystko na tylne siedzenie. Wciągnął tylko marynarkę, zapalił światła i pojechał w kierunku Marinelli, mając nadzieję, że nikt nie zatrzyma go na trasie. Noc stracona, mamy dziewczynkę.

Wybrał drogę o wiele dłuższą, za to omijającą Vigatę. Musiał jechać wolno, bo czuł ostre kłucie w prawym ramieniu, opuchniętym jak bochenek chleba dopiero co wyjęty z pieca. Zatrzymał samochód na placyku przed wejściem do domu. Pojękując, zgarnął koszulę, podkoszulek, spodnie i buty, wyłączył światła i wysiadł. Lampa nad wejściem była zgaszona. Zrobił dwa kroki do przodu i znieruchomiał. Tuż obok drzwi stał jakiś cień, ktoś na niego czekał.

— Kto tam? — spytał zmieszany.

Cień nie odpowiedział. Komisarz zrobił jeszcze dwa kroki i rozpoznał Ingrid. Stała z rozchyłonymi ustami, wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczyma, niezdolna wyrzec słowa.

— Potem wszystko ci wytłumaczę — poczuł się w obowiązku wymamrotać, szukając kluczy w kieszeni spodni, które trzymał przerzucone przez ramię. Ingrid przyszła już trochę do siebie, wyjęła z jego rąk buty. W świetle lampy przyjrzała się mu ciekawie i kiedy wreszcie zdołał otworzyć drzwi, zapytała:

— Czy występowałeś w California Dream Men?

— Co to takiego?

— Zespół striptizerów.

Komisarz nie odpowiedział, tylko zdjął marynarkę. Na widok jego spuchniętego ramienia Ingrid nie krzyknęła, nie domagała się wyjaśnień.

Zapytała po prostu:

— Czy masz w domu balsam do wcierania?

— Nie.

— Daj mi kluczyki i kładź się do łóżka.

— Dokąd chcesz jechać?

— Znajdę chyba jakąś otwartą aptekę, prawda? — odpowiedziała Ingrid, biorąc także klucze od domu.

Montalbano rozebrał się — wystarczyło zdjąć skarpetki i slipy — po czym stanął pod prysznicem. Wielki palec bolącej nogi przybrał kształt średniej gruszki. Wyszedł spod prysznica i spojrzął na zegarek, który położył na szafce nocnej. Zrobiło się wpół do dziesiątej, a on tego w ogóle nie zauważył. Wybrał numer komisariatu, odpowiedział Catarella. Montalbano natychmiast zupełnie zmienił głos.

— Halo? Jestem monsieur Hulot. Je cherche monsieur Augelló.

— Pan jest Francuzem z Francji?

— Oui. Je cherche monsieur Augelló albo, jak wy mówicie, monsieur Augelló.

— Panie Francuzie, nie ma go tutaj.

— Merci.

Zadzwoił do Augella do domu. Długo czekał przy telefonie, ale nikt nie podnosił słuchawki. Na wszelki wypadek odszukał w książce numer Beatrice. Zadzwoił; odpowiedziała natychmiast.

— Beatrice, mówi Montalbano. Przepraszam, że sobie pozwalam...

— Chce pan mówić z Mimě? — przerwała mu z prostotą boska istota. — Już go panu daję.

Nie przejawiała najmniejszego zakłopotania. Natomiast Augello zaraz

zaczął się usprawiedliwiać.

— Wiesz, Salvo, szedłem przypadkiem koło domu Bebyi...

— Ależ nie krępuj się — przyzwolił wspaniałomyślnie Montalbano. —
Przede wszystkim wybaczyć, że ci przeszkadzam.

— Skądże znowu! Nie przeszkadzasz mi bynajmniej. Słucham.

Czy Chińczycy potrafiliby zachowywać się bardziej ceremonialnie?

— Chciałem cię spytać, czy jutro rano, powiedzmy o ósmej, moglibyśmy
zobaczyć się w komisariacie. Odkryłem coś ważnego.

— Co mianowicie?

— Powiązanie między państwem Griffo a Sanfilippem.

Usłyszał, że Mimě wciąga głęboko powietrze, jak ktoś, kogo uderzono
mocno w brzuch. Potem wymamrotał:

— Gdzie... gdzie jesteś? Przyjadę natychmiast.

— W domu, ale jest u mnie Ingrid.

— Ach! Pamiętaj, wymagaj ją dobrze, chociaż może po tym, co mi teraz
powiedziałaś, hipoteza o mężu rogaczu staje się mało prawdopodobna.

— Słuchaj, nie mów nikomu, gdzie jestem. Wyłączam się zupełnie.

— Rozumiem cię, rozumiem... — powiedział aluzyjnie Augello.

Utykając, komisarz poszedł się położyć. Cały kwadrans zabrało mu
znalezienie właściwej pozycji. Zamknął oczy i zaraz otworzył je ponownie:
czy nie zaprosił Ingrid na kolację? No i jak on teraz się ubierze, wyszykuje
odpowiednio i wyjdzie do restauracji? Słowo „restauracja” wywołało w nim
natychmiast uczucie ssącego głodu. Od jak dawna nic nie jadł? Wstał z łóżka,
poszedł do kuchni. W lodówce królował głęboki talerz, wypełniony
barwenami w kwaśnosłodkim sosie. Uspokojony, wrócił się położyć.
Zaczął właśnie drzemać, kiedy doszedł do niego stuk otwieranych drzwi

wejściowych.

— Już idę! — zawołała Ingrid z jadalni.

Weszła kilka minut później, niosąc buteleczkę, bandaż elastyczny i rolki gazy. Złożyła wszystko na szafce nocnej.

— Teraz spłacę mój dług — powiedziała.

— Jaki dług? — zapytał Montalbano.

— Nie pamiętasz? Przy naszym pierwszym spotkaniu zwichnęłam sobie nogę w kostce, ty przywiozłeś mnie tutaj, zrobiłeś mi masaż...

Oczywiście, że pamiętał. Kiedy Szwedka leżała półnaga na łóżku, zjawiała się Anna, zakochana w nim inspektor policji. Fałszywie oceniła sytuację, wynikła z tego straszna awantura. A czy Livia spotkała się kiedyś z Ingrid? Chyba tak, w szpitalu, gdy został ranny...

Pod powolnym, nieprzerwanym masażem Szwedki, wcierającej w niego balsam, zaczęły mu się zamykać oczy. Poddał się miłej senności.

— Podciągnij się trochę. Muszę cię owinąć... Trzymaj ramię w górze... Odwróć się trochę do mnie.

Wykonywał wszystkie rozkazy z uśmiechem zadowolenia na ustach.

— Skończyłam — oznajmiła Ingrid. — Za pół godzinki poczujesz się lepiej.

— A paluch u nogi? — zapytał niewyraźnie, już prawie śpiąc.

— Co mówisz?

Bez słowa wyciągnął stopę spod prześcieradła. Ingrid wzięła się znowu do roboty.

Otworzył oczy. Z jadalni dochodził cichy głos mężczyzny. Montalbano spojrział na zegarek — było po jedenastej. Czuł się o wiele lepiej. Czyżby Ingrid sprowadziła lekarza? Wstał i tak jak był, w slipach, z

obandażowanymi ramieniem, piersią i paluchem, poszedł zobaczyć. To nie lekarz — a raczej tak, lekarz, ale mówiący w telewizorze o cudownej diecie wyszczuplającej. Szwedka siedziała w fotelu. Na jego widok szybko wstała.

— Już ci lepiej?

— Tak. Dzięki.

— Jeśli jesteś głodny, wszystko gotowe.

Nakryła do stołu. Z lodówki wyjęła barweny. Usiedli. Kiedy napełniali talerze, Montalbano spytał:

— Dlaczego nie czekałaś na mnie w barze w Marinelli?

— Salvo, miałam czekać tam dłużej niż godzinę?

— No tak, przepraszam. Ale dlaczego nie przyjechałaś swoim samochodem?

— Nie mam, jest u mechanika. Do baru podrzucił mnie znajomy. Potem, ponieważ ty się nie zjawiałaś, postanowiłam przyjść tutaj spacerem. Do domu prędzej czy później musiałeś przyjechać.

Gdy jedli, komisarz zauważył, że Ingrid robi się coraz ładniejsza. W kącikach ust miała teraz drobne zmarszczki, czyniące ją dojrzałą, bardziej świadomą siebie. Co za nadzwyczajna kobieta! Nie przyszło jej nawet na myśl zapytać, w jakich okolicznościach uszkodził sobie ramię. Jadła z prawdziwą przyjemnością; barweny zostały sprawiedliwie podzielone, po trzy na głowę. Z równą przyjemnością piła: opróżniała już trzeci kieliszek, a Montalbano nie skończył jeszcze pierwszego.

— Czego ode mnie chciałeś? Pytanie zaskoczyło komisarza.

— Nie rozumiem.

— Salvo, zadzwoniłeś do mnie, aby mi powiedzieć, że... Wideokaseta! Wyleciała mu zupełnie z pamięci.

— Chciałem ci coś pokazać, ale najpierw skończmy jeść. Chcesz owoce?

Posadził potem Ingrid w fotelu i wziął do ręki kasetę.

— Ja ten film przecież znam — zaprotestowała Szwedka.

— Nie chodzi o film, tylko o to, co nagrano na tej taśmie.

Włożył kasetę do magnetowidu, włączył, sam usiadł w drugim fotelu. Potem za pomocą pilota przyspieszył bieg taśmy, póki nie pokazało się puste łóżko.

— Wygląda na obiecujący początek — powiedziała Ingrid z uśmiechem.

Chwila czerni. I znowu obraz; na łóżku leżała teraz kochanka Nenč Sanfilippa w pozie Mai nagiej. W chwilę potem Ingrid zerwała się na nogi, zaskoczona i wzburzona.

— Ależ to Vanja! — krzyknęła zduszonym głosem.

Montalbano nie widział jej jeszcze nigdy tak poruszonej — nawet wtedy, kiedy niemal zarzucono jej popełnienie przestępstwa.

— Znasz ją?

— Oczywiście.

— Jest twoją przyjaciółką?

— Właściwie tak.

Montalbano wyłączył telewizor.

— Skąd masz tę taśmę?

— Porozmawiamy w tamtym pokoju? Trochę zaczyna mnie znowu boleć.

Położył się, Ingrid usiadła na brzegu łóżka.

— Tak jest mi niewygodnie — poskarżył się Montalbano.

Wstała, podniosła go, wetknęła mu poduszkę za plecy, tak że mógł na wół siedzieć. Komisarzowi zaczęło się podobać, że ma pielęgniarkę.

— Skąd wzięłeś tę kasetę? — spytała znowu Ingrid.

— Znalazł ją mój zastępca w mieszkaniu Nenč Sanfilippa.

— Kto to taki? — powiedziała Ingrid, marszcząc brwi.

— Nie wiesz? To ten dwudziestolatek zastrzelony kilka dni temu.

— Tak, słyszałam. Ale dlaczego miał tę kasetę?

Szwedka wyglądała na szczerze zdziwioną.

— Bo był jej kochankiem.

— Jak to? Taki młody chłopak?

— Tak. Nigdy ci o nim nie mówiła?

— Nigdy. Lub przynajmniej nigdy nie wymieniła jego imienia. Vanja jest bardzo dyskretna.

— Jak się poznałyście?

— Wiesz, w Montelusie jest tylko kilka cudzoziemek, które dobrze wyszły za mąż: ja, dwie Angielki, jedna Amerykanka, dwie Niemki i Vanja, Rumunka. Założyłyśmy rodzaj klubu, ot tak, dla zabawy. Wiesz, kim jest mąż Vanji?

— Tak. Doktor Ingrñ, chirurg od przeszczepów.

— No więc, jeśli dobrze zrozumiałam, nie jest to człowiek zbyt przyjemny. Współżycie z nim przez pewien czas układało się Vanji dobrze, chociaż jest o dwadzieścia lat młodsza. Potem miłość się skończyła, także ze strony męża. Zaczęli coraz mniej się widywać, on bardzo często jeździł za granicę.

— Vanja miała kochanków?

— O ile mi wiadomo, nie miała. Była mu bardzo wierna, mimo wszystko.

— Co znaczy „mimo wszystko”?

— Na przykład nie sypiali już razem. A ona jest kobietą, która...

— Rozumiem.

— No i nagle, jakieś trzy miesiące temu, zmieniła się. Stała się jakby

weselsza i smutniejsza jednocześnie. Zrozumiałam, że się zakochała. Spytałam ją o to — powiedziała, że tak. Wydało mi się, że chodzi o wielką namiętność, opartą przede wszystkim na pociągu fizycznym.

— Chciałbym się z nią spotkać.

— Z nią?

— Tak, z twoją przyjaciółką.

— Ależ ona wyjechała dwa tygodnie temu!

— Wiesz, gdzie teraz jest?

— Oczywiście. W jakimś miasteczku niedaleko Bukaresztu; mam adres i numer telefonu. Przysłała mi kartkę. Pisze, że musiała wrócić do Rumunii, bo jej ojciec się rozchorował, odkąd popadł w niełaskę i przestał być ministrem.

— Wiesz, kiedy wróci?

— Nie.

— Znasz dobrze doktora Ingrñ?

— Widziałam go najwyżej ze trzy razy. Przyszedł kiedyś do mnie do domu. Facet bardzo elegancki, ale odpychający. Posiada, zdaje się, niezwykłą kolekcję obrazów. Vanja mówi, że kolekcjonerstwo jest u niego rodzajem choroby. Wydał na obrazy górę pieniędzy.

— Teraz zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz. Byłby zdolny zabić Vanję albo zlecić zabójstwo, gdyby się dowiedział, że go zdradza?

Ingrid roześmiała się.

— Co za pomysł! Vanja zupełnie go już nie obchodziła!

— Czy jednak to nie on zmusił Vanję do wyjazdu, żeby ją oddalić od kochanka?

— Tego bym nie wykluczyła. Jeśli tak zrobił, to żeby uniknąć ewentualnych pogłosek, nieprzyjemnych plotek. Ale nie jest człowiekiem

zdolnym posunąć się dalej.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Nic więcej nie było do powiedzenia. Nagle Montalbano o czymś sobie przypomniał.

— Nie masz samochodu. Jak wrócisz stąd do domu?

— Zadzwonię po taksówkę.

— O tej porze?

— No to przenocuję tutaj.

Poczuł, że pot zaczyna występować mu na czoło.

— A twój mąż?

— Nie martw się o niego.

— Posłuchaj, zrobimy tak: weźmiesz mój samochód i pojedziesz.

— A ty?

— Jutro rano po mnie przyjadą.

Ingrid spojrzała na niego w milczeniu.

— Uważasz mnie za kurwę w rui? — spytała bardzo poważnie. Z jej oczu przebijała melancholia.

Komisarz zmieszał się, zawstydził.

— Zostań, sprawisz mi przyjemność — powiedział szczerze.

Ingrid, jakby zawsze mieszkała w tym domu, wysunęła szufladę komody, wyjęła czystą koszulę.

— Mogę spać w tej?

W środku nocy zaspany Montalbano zorientował się, że obok niego leży kobiece ciało. Mogła to być tylko Livia. Wyciągnął rękę i położył ją na twardym i gładkim pośladku. Nagle zeszywniał, jakby porażony prądem. Boże, to nie Livia. Gwałtownie cofnął rękę.

— Połóż ją tam z powrotem — usłyszał niewyraźny głos Ingrid.

— Jest wpół do siódmej. Kawa zaparzona — powiedziała, dotykając ostrożnie jego nadwerężonego ramienia.

Komisarz otworzył oczy. Ingrid miała na sobie jedynie jego koszulę.

— Przepraszam, że tak wcześnie cię budzę, ale ty sam, zanim zasnąłeś, powiedziałeś mi, że o ósmej musisz być w pracy.

Wstał z łóżka. Czuł mniejszy ból, ale ściśle owinięte bandaże utrudniały mu ruchy. Szwedka go od nich uwolniła.

— Kiedy się umyjesz, nałożę ci je znowu.

Wypili kawę. Montalbano musiał posługiwać się lewą ręką, prawa była jeszcze zdrętwiała. Jak ma się umyć? Ingrid wydawała się czytać w jego myślach.

— Ja się tym zajmę.

W łazience pomogła komisarzowi ściągnąć slipy, sama zdjęła koszulę. Montalbano starał się usilnie na nią nie patrzeć, za to ona zachowywała się tak, jakby od dziesięciu lat byli małżeństwem.

Namydliła go pod prysznicem. Montalbano nie sprzeciwił się. Odnosił bardzo miłe wrażenie, że znowu jest małym dzieckiem, którego ciało obmywają ręce kochającej osoby.

— Zauważam wyraźne objawy przebudzenia — powiedziała Ingrid ze śmiechem.

Montalbano spojrział w dół i mocno się zaczerwienił. Objawy były aż nazbyt widoczne.

— Wybacz mi, jestem zawstydzony.

— Czego się wstydzisz? — spytała Ingrid. — Że jesteś mężczyzną?

— Puść lepiej zimną wodę — powiedział komisarz.

Wycieranie się było prawdziwą męczarnią. Wciągnął znowu slipy z westchnieniem ulgi, jakby oznaczało to koniec zagrożenia. Ingrid ubrała się, zanim zaczęła ponownie zakładać mu bandażę, toteż komisarz czuł się już o wiele spokojniejszy. Przed wyjściem z domu wypili jeszcze po filiżance kawy. Za kierownicą usiadła Ingrid.

— Zawieziesz mnie do komisariatu i pojedziesz dalej do Montelusy moim samochodem — powiedział Montalbano.

— Nie — odrzekła Ingrid. — Zawiozę cię i wezmę taksówkę. Tak będzie dla mnie wygodniej, niż odstawiać ci samochód.

Przez pół drogi zachowywali milczenie. Mózg komisarza drażyła jednak pewna myśl. Zdobył się wreszcie na odwagę i zapytał:

— Co zaszło między nami dziś w nocy?

Ingrid roześmiała się.

— Nie przypominasz sobie?

— Nie.

— Czy to dla ciebie ważne?

— Powiedziałbym, że tak.

— No dobrze. Wiesz, co zaszło? Nic, jeśli twoje skrupuły wymagają takiej odpowiedzi.

— A gdybym tych skrupułów nie miał?

— W takim razie zdarzyło się wszystko. Możesz wybierać, jak ci wygodniej.

Milczeli przez chwilę.

— Czy uważasz, że po tej nocy nasze stosunki się zmieniły? — spytała Ingrid.

— W żadnym wypadku — odpowiedział szczerze komisarz.

— A więc? Dlaczego mnie wypytyjesz?

Rozumowanie było logiczne, Montalbano nie stawiał więcej pytań. Gdy zajechali już przed komisariat, Ingrid zapytała:

— Chcesz numer telefonu Vanji?

— Naturalnie.

— Przekażę ci go telefonicznie przed południem.

Kiedy Ingrid, otworzywszy drzwi samochodu, pomagała komisarzowi wysiąść, na progu urzędu zjawił się Mimě Augello. Stanął tam, żywo zainteresowany tą sceną. Ingrid oddaliła się szybko po złożeniu lekkiego pocałunku na ustach komisarza. Mimě patrzył za nią, póki nie zniknęła mu z oczu. Montalbano z trudem poruszał się po chodniku.

— Wszystko mnie boli — powiedział, mijając Augella.

— Widzisz, jak to jest, kiedy wyjdzie się z wprawy? — skomentował Mimě z uśmiechem.

Komisarz chętnie wybiłby mu zęby, ale przestraszył się, że zbyt zabol go ramię.

16

— Mimě, słuchaj mnie teraz uważnie, ale nie zapominaj, że prowadzisz; mam już jedno uszkodzone ramię i wolałbym uniknąć innych obrażeń. A przede wszystkim nie przerywaj mi pytaniami, bo stracę wątek. Pytania zadasz mi na końcu, wszystkie razem, zgoda?

— Zgoda.

— I nie pytaj mnie, jak doszedłem do pewnych spraw.

— Zgoda.

— I nie pytaj o zbędne szczegóły, zgoda?

— Zgoda. Ale zanim zaczniesz mówić, mogę zadać ci jedno pytanie?

— Tylko jedno.

— Uderzyłeś się tylko w ramię czy także w głowę?

— Do czego zmierzasz?

— Mam serdecznie dość tych twoich pytań, czy się zgadzam. Co cię napadło? Oświadczam, że zgadzam się na wszystko, z tym, o czym nie mam pojęcia, włącznie. Zadowolony jesteś? No to zaczynaj.

— Pani Margherita Griffio miała brata i siostrę Giulianę, która mieszkała w Trapani, była nauczycielką.

— Umarła?

— No widzisz?! Widzisz?! — wybuchnął komisarz. — A przecież obiecałeś! I wyskakujesz mi teraz z idiotycznym pytaniem jak głupi kutas! Oczywiście umarła, skoro mówię „mieszkała”, „była”.

Augello nie ośmielił się pisnąć.

— Margherita od wczesnej młodości nie utrzymywała stosunków z siostrą,

poróżniły się o spadek. W końcu nawiązały jednak kontakt. Kiedy Margherita dowiaduje się, że siostra niebawem umrze, jedzie do niej wraz z mężem. Zatrzymują się u Giuliany. Z umierającą mieszka od niepamiętnych czasów jej przyjaciółka, panna Baeri. Małżonkowie Griffo dowiadują się, że Giuliana zapisała siostrze w testamencie jakąś dawną stajnię z kawałkiem ziemi pod Vigatą, w okolicy zwanej Maurem — tam, gdzie teraz jedziemy. Zapis na pamiątkę, prawie bezwartościowy. W dzień po pogrzebie, kiedy Griffo są jeszcze w Trapani, dzwoni jakiś facet i mówi, że interesuje go ta dawna stajnia; nie wie, że Giuliana umarła. Panna Baeri oddaje słuchawkę Alfonsowi Griffo, bo nową właścicielką jest jego żona. Facet z nim rozmawia. Potem Alfonso nie wyjaśnia bliżej, o czym rozmawiali. Mówi tylko, że dzwonił ktoś, kto mieszka w tym samym domu co oni.

— Jezusie! Nenč Sanfilippo! — zawołał Mimě, a samochód o mało co nie wpadł w poślizg.

— Prowadź, jak należy, albo nic ci już więcej nie opowiem. Wiadomość, że właściciele dawnej stajni mieszkają w tym samym domu co on, Nenč odbiera jako wspaniały zbieg okoliczności.

— Stop. Jesteś pewien, że to zbieg okoliczności?

— Tak, to był zbieg okoliczności. Nawiasem mówiąc, jeśli mam już znosić twoje pytania, to niech będą one przynajmniej inteligentne. Mówię, że to zbieg okoliczności. Sanfilippo nie wiedział, że Giuliana umarła, ani nie miał powodu udawać, że nie wie. Nie wiedział też, że właścicielką byłej stajni została pani Griffo, bo testament nie został podany do wiadomości publicznej.

— Zgoda.

— W kilka godzin po rozmowie Alfonso Griffo spotyka się z Nenč.

— Gdzie? W Vigacie?

— Nie, w Trapani. Sanfilippowi nie zależy na tym, by się afiszować z małżonkami Griffa. Ale założyłbym się o własne jaja, że opowiada staremu jakąś historię o miłości szalonej i niebezpiecznej, która jeśli wyjdzie na jaw, skończy się masakrą... Jednym słowem, potrzebuje tej dawnej stajni, żeby ją zamienić w rodzaj *pied-à-terre*. Trzeba będzie jednak przestrzegać pewnych reguł. Griffa zatają spadek w urzędzie podatkowym, a jeśli sprawa się wyda, zapłaci Sanfilippo; nie będą mieli wstępu do swojej posiadłości. Od tej chwili, spotykając Sanfilippa w Vigacie, nie powiedzą mu nawet „dzień dobry”; nie wspomną o niczym synowi. Starym zależy na pieniądzu; zgadzają się na te warunki i inkasują pierwsze dwa miliony.

— Ale jaki pożytek miał Sanfilippo z tak bardzo odosobnionego miejsca?

— Na pewno nie chciał w nim urządzić jakiejś spelunki. Nie ma tam nawet wody ani wychodka. Za potrzebą wychodzisz w pole.

— A więc?

— Sam zrozumiesz. Widzisz tę kapliczkę? Po lewej stronie jest za nią polna dróżka. Jedź powoli, bo pełno tam dziur.

Drzwi stały oparte o futrynę dokładnie tak samo, jak je postawił poprzedniego wieczoru; nikt tam nie przyszedł. Mimě odsunął je, weszli do środka obaj. Pokój wydał im się mniejszy, niż był w rzeczywistości.

Augello rozejrzył się w milczeniu.

— Wyczyścili dokładnie wszystko — powiedziała.

— Widzisz te gniazdko? Doprowadza się światło i telefon, ale zapomina o klozecie. To było jego biuro, dokąd mógł przychodzić codziennie i pracować jako urzędnik.

— Urzędnik?

— Oczywiście. Pracował dla innych.

— Kim byli ci inni?

— To ci sami, którzy zlecili mu znaleźć miejsce odosobnione, daleko od wszystkiego i wszystkich. Chcesz, żebym zaczął stawiać hipotezy? Po pierwsze — handlarze narkotyków. Po drugie — pedofile. Potem cała procesja podejrzanych typów posługujących się Internetem. Stąd Sanfilippo mógł kontaktować się z całym światem. Surfował, spotykał się w sieci, porozumiewał się, a potem relacjonował swoim pracodawcom. Przez dwa lata wszystko dobrze szło. Potem musiało się stać coś poważnego: trzeba było zamknąć interes, zerwać kontakty, zatrzeć ślady. Na polecenie swoich zwierzchników Sanfilippo przekonuje małżonków Griffa, żeby zrobili sobie ładną wycieczkę do Tindari.

— Ale po co?

— Zapewne wmówił tym biednym staruszkom jakieś bzdury. Mógł im na przykład powiedzieć, że groźny mąż wykrył romans, że chce zamordować także ich dwoje jako współników... A on wpadł na dobry pomysł: niech pojedą na tę wycieczkę do Tindari. Rozwścieczonemu mężowi na pewno nie przyjdzie do głowy szukać ich w autokarze... Wystarczy, że zostaną cały dzień poza domem, jego przyjaciele wkroczyli już do akcji, postarają się uspokoić rogowca... On sam też pojedzie na tę wycieczkę, ale samochodem. Przerażeni staruszkowie zgadzają się. Sanfilippo mówi im, że będzie śledził rozwój sytuacji przez swój telefon komórkowy. Przed powrotem do Vigaty stary Griffa ma zażądać dodatkowego postoju; wtedy Sanfilippo powie mu, jak sprawa wygląda. Wszystko przebiega zgodnie z planem. Ale na postoju przed Vigatą Sanfilippo mówi starym, że na razie nic nie zostało załatwione i że będzie lepiej, jeśli przenocują poza domem. Wsadza ich do swojego samochodu i dostarcza kierowcom. Nie wie jeszcze, że i jego mają zamordować.

— Nie wytłumaczyłeś mi dotąd, dlaczego stało się konieczne wywabienie z domu małżonków Griffa. Przecież nie wiedzieli nawet, gdzie leży ta ich

posiadłość!

— Ktoś musiał wejść do ich mieszkania i zabrać dotyczące jej dokumenty. Powiedzmy — kopię testamentu, jakieś listy, w których Giuliana pisze, że zrobi zapis dla siostry. Coś w tym rodzaju. Człowiek, który przeprowadza tam rewizję, znajduje także książeczkę banku pocztowego z wkładem, który mógłby się wydać zbyt wysoki jak na dwoje ubogich emerytów. Zabiera ją ze sobą i popełnia błąd, bo budzi moje podejrzenia.

— Salvo, szczerze mówiąc, ta historia o wycieczce do Tindari nie trafia mi do przekonania, przynajmniej w twojej rekonstrukcji. Wycieczka nie była w ogóle potrzebna. Mogli pod jakimkolwiek pretekstem wejść do mieszkania Griffa i zrobić, co im się podobało.

— Tak, ale potem musieliby zamordować starych Griffa tam, w ich mieszkaniu. I zaniepokoiliby Sanfilippa, któremu powiedzieli z pewnością, że nie mają zamiaru nikogo zabić, że chcą tylko porządnie ich nastraszyć... Ponadto pamiętaj o jednym: bardzo zależało im na tym, abyśmy uwierzyli, że między zniknięciem małżonków Griffa a śmiercią Sanfilippa nie ma związku. I rzeczywiście — ile czasu upłynęło, zanim zrozumieliśmy, że te dwie sprawy łączą się z sobą?

— Może masz rację.

— Bez może, Mimě. Potem przy pomocy Sanfilippa wywożą wszystko z dawnej stajni i biorą ze sobą chłopaka — pewno pod pretekstem, że muszą z nim porozmawiać o reorganizacji działalności. W tym czasie ktoś idzie przetrząsnąć jego mieszkanie, podobnie jak zrobiono to wcześniej u starych Griffa. Trzeba na przykład zabrać rachunki z tutejszym adresem za światło i za telefon — nie znaleźliśmy ich przecież. Odsyłają Sanfilippa do domu w środku nocy i...

— Potrzebowali go odsyłać? Mogli rozprawić się z nim tam, dokąd go zawieźli.

— No i w ten sposób mielibyśmy w tym samym domu aż trzy tajemnicze zniknięcia.

— Prawda.

— Sanfilippo zatem wraca, jest już prawie rano. Wysiada z samochodu, wkłada klucz do bramy. Wtedy ten ktoś, kto na niego czeka, woła go.

— Więc co teraz robimy? — spytał po chwili Augello.

— Nie wiem — odpowiedział Montalbano. — Stąd możemy sobie spokojnie pójść. Nie ma sensu sprowadzać ludzi z sądówki, żeby pobrali odciski palców. Tamci wyczyścili na pewno wszystko, nawet sufit.

Wsiedli do samochodu i odjechali.

— Z pewnością nie brak ci wyobraźni — skomentował Mimě po przemyśleniu rekonstrukcji komisarza. — Jak przejdziesz na emeryturę, będziesz mógł pisać powieści.

— Pisałbym bez wątpienia kryminały. A nie warto.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo pewna część krytyków i profesorów uniwersyteckich albo takich, którzy chcą nimi zostać, uważa powieści kryminalne za gatunek pośledni. W podręcznikach historii literatury nawet się o nich nie wspomina.

— A dlaczego to ciebie martwi? Chciałbyś wejść do historii literatury jak Dante i Manzoni?

— Wstydzilibym się.

— No to pisz, i już.

Po chwili Augello odezwał się znowu.

— Znaczy, że wczorajszy dzień zmarnowałem.

— Dlaczego?

— Jak to „dlaczego”? Zapomniałeś? Przez cały czas zbierałem informacje

o profesorze Ingrñ — tak jak zdecydowaliśmy, sądząc jeszcze, że Sanfilippa zabito w związku ze zdradą małżeńską.

— A, tak. Nie szkodzi, opowiadaj.

— To naprawdę światowa sława. Między Vigatą a Caltanissettą ma prywatną klinikę, bardzo dyskretną, przeznaczoną dla nielicznych, wybranych osobistości. Pojechałem tam, żeby obejrzeć ją z zewnątrz. Willa otoczona bardzo wysokim murem, odgradzającym ogromny obszar. Pomyśl tylko: z lądowiskiem dla helikopterów! Dwaj uzbrojeni ochroniarze powiedzieli mi, że willa jest chwilowo zamknięta. Ale doktor Ingrñ praktycznie operuje tam, gdzie zechce.

— Gdzie obecnie przebywa?

— Ten mój przyjaciel, który go zna, powiedział mi, że zamknął się w swojej willi nad morzem między Vigatą a Santoli. Podobno przeżywa ciężkie chwile.

— Może dlatego, że dowiedział się o zdradzie żony.

— Możliwe. Przyjaciel mówi, że także ponad dwa lata temu doktor przechodził kryzys, ale szybko się otrząsnął.

— Pewno i tamtym razem jego miła małżonka...

— Nie, Salvo, wtedy, jak mi powiedziano, miał jeszcze ważniejszy powód. Nie jest to wprawdzie pewne, lecz krąży pogłoska, że chciał wydać ogromną sumę na zakup jakiegoś obrazu, ale zabrakło mu pieniędzy. Więc podpisał kilka czeków bez pokrycia, no i zagrożono mu sądem. Potem znalazł pieniądze i wszystko się ułożyło.

— Gdzie trzyma swoje obrazy?

— W skarbcu bankowym. W domu wiesza tylko reprodukcje.

Znowu chwila milczenia. Potem Augello zapytał ostrożnie:

— Jak ci poszło z Ingrid?

Montalbano obruszył się.

— Mimě, nie podoba mi się taka gadka.

— Ale ja pytam tylko, czy wyciągnąłeś z niej coś o Vanji, żonie doktora Ingrň.

— Ingrid wiedziała, że Vanja ma kochanka, ale nie знаła jego nazwiska. Nie skojarzyła zupełnie swojej przyjaciółki z zabójstwem Sanfilippa. W każdym razie Vanja wyjechała, wróciła do Rumunii do chorego ojca. Jeszcze przed śmiercią kochanka.

Dojeżdżali już do komisariatu.

— A tak z ciekawości... Przeczytałeś powieść Sanfilippa?

— Wierz mi, nie miałem czasu. Przejrzałem ją tylko. Osobliwa rzecz: są w niej strony bardzo dobre i inne, napisane źle.

— Przynieś mi ją dzisiaj po południu.

Wchodząc do komisariatu, zauważył, że w centralce siedzi Galluzzo.

— Gdzie Catarella? Nie widziałem go od rana.

— Panie komisarzu, wezwali go do Montelusy na komputerowy kurs uzupełniający. Wróci pod wieczór, koło wpół do szóstej.

— Więc co teraz robimy? — spytał znowu Augello, który wszedł za swoim zwierzchnikiem.

— Mimě, posłuchaj mnie. Kwestor kazał mi zajmować się tylko drobnymi sprawami. Twoim zdaniem zamordowanie starych Griffo i Sanfilippa to sprawa drobna czy poważna?

— Poważna, bardzo poważna.

— No to nie nasza. Przyszykuj mi raport dla kwestora zawierający tylko fakty, bardzo cię proszę, bez moich opinii. Kwestor powierzy sprawę szefowi ostrego pogotowia, jeśli już przeszła mu sraczka czy inna choroba.

— No i podamy im na tacy taką historię! — zirytował się Augello. — Przecież oni nawet nam nie podziękują.

— Tak bardzo ci zależy na podziękowaniu? Postaraj się raczej właściwie zredagować raport. Przyniesiesz mi go jutro rano do podpisu.

— Co znaczy „właściwie zredagować”?

— Masz go okraścić takimi wyrażeniami jak: po udaniu się na miejsce, a zatem, wypływa stąd wniosek, jednakowoż. Znajdą się wtedy na znanym im gruncie, usłyszą swój język i zajmą się sprawą.

Przez godzinę napawał się własnym sprytem. Potem zawołał Fazia.

— Są jakieś wiadomości o Japichinu?

— Żadnej. Oficjalnie nadal się ukrywa.

— Co z tym bezrobotnym, który się podpalił?

— Czuje się już lepiej, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Gallo przyszedł mu opowiedzieć o grupie Albańczyków, którzy uciekli z obozu koncentracyjnego, to znaczy — według urzędowej terminologii — z obozu przejściowego.

— Połapaliście ich?

— Ani jednego, panie komisarzu. I nie połapiemy.

— Dlaczego?

— Bo te ucieczki odbywają się w porozumieniu z innymi Albańczykami, którzy zapuścili już tutaj korzenie. Pewien mój kolega z Montelusy utrzymuje jednak, że niektórzy Albańczycy uciekają, żeby wrócić do Albanii. Po namyśle zrozumieli, że mają lepiej u siebie w domu. Milion lirów na głowę, żeby tu się dostać, dwa miliony, żeby tam wrócić. Przewoźnicy zarabiają w każdym wypadku.

— To ma być dowcip?

— Nie sędzę — powiedział Gallo. Zadzwoił telefon. Odezwała się Ingrid.

— Dzwonię, żeby podać ci numer Vanji.

Montalbano go zapisał. Ingrid jednak, zamiast pożegnać się z komisarzem, powiedziała:

— Rozmawiałam z nią.

— Kiedy?

— Teraz, zanim zadzwoniłam do ciebie. To była długa rozmowa.

— Chcesz, żebyśmy się spotkali?

— Tak będzie lepiej. Mam już samochód, naprawili go.

— Doskonale, zmienisz mi opatrunek. Spotkajmy się o pierwszej w zajeździe „San Calogero”.

Głos Ingrid brzmiał jakoś dziwnie, wydawała się niespokojna.

Wśród wielu zalet, jakimi Pan Bóg obdarzył Szwedkę, była również punktualność. Jak tylko weszli do środka, komisarz ujrzał siedzącą przy czteroosobowym stole parę: Mimě i Bebe. Augello zerwał się na nogi; zarumienił się nieco, choć zazwyczaj trudno było go poruszyć. Zrobił zapraszający gest, wskazując na wolne miejsca przy stole. Powtórzyła się scena sprzed kilku dni, tyle że w odwrotnej wersji.

— Nie chcielibyśmy przeszkadzać... — powiedział obłudnie Montalbano.

— Ależ skąd, wręcz przeciwnie, będzie nam bardzo miło! — odpowiedział jeszcze obłudniej Mimě.

Panie przedstawiły się sobie, wymieniły szczere, otwarte uśmiechy. Komisarz podziękował Bogu, bo spożywanie obiadu z dwiema kobietami, które nie przypadły sobie wzajemnie do gustu, byłoby zapewne ciężką próbą. Ale przenikliwe oko gliny zauważyło coś niepokojącego — między Augellem a Bebą panowało pewne napięcie. Może wprawiała ich w

zakłopotanie jego obecność? Zamówili wszyscy to samo: na przystawkę owoce morza, potem ogromny półmisek ryb z rusztu. Zanim przeszli do głównego dania, Montalbano nie miał już wątpliwości, że Mimè pokłócił się z Bebą i że chyba właśnie pojawienie się jego i Ingrid tę kłótnię przerwało. Jezu! Trzeba koniecznie coś zrobić, żeby się pogodzili. Począł wysilać umysł, chcąc znaleźć jakieś rozwiązanie, gdy zobaczył, że ręka Beby dotyka lekko ręki jego zastępcy. Augello spojrział na dziewczynę, dziewczyna spojrzała na Augella; przez kilka sekund wpatrywali się w siebie. Pokój! Zawarli pokój! Jedzenie zaczęło komisarzowi jeszcze lepiej smakować.

— Pojedziemy do Marinelli dwoma samochodami — powiedziała Ingrid po wyjściu z zajazdu — muszę wrócić wcześniej do Montelusy, mam spotkanie.

Ramię o wiele mniej już komisarzowi dokuczalo. Zmieniając opatrunek, Szwedka powiedziała:

— Jestem trochę zdezorientowana.

— Z powodu tego telefonu?

— Tak. Widzisz...

— Później — przerwał jej Montalbano. — Pomówimy o tym później.

Rozkoszował się uczuciem świeżości, doświadczanym za sprawą balsamu, który Ingrid wcierała w jego skórę. Sprawiało mu też przyjemność — dlaczego tego nie przyznać? — że ręce kobiety w gruncie rzeczy pieszczą jego plecy, ramiona i pierś. W pewnej chwili uświadomił sobie, że ma zamknięte oczy i gotów jest mruczeć jak kot.

— Skończyłam — powiedziała Ingrid.

— Chodźmy na werandę. Napijesz się whisky?

Ingrid przystała na propozycję. Milczeli przez chwilę, patrząc na morze.

Rozmowę zaczął komisarz.

— Jak przyszło ci na myśl, żeby do niej zadzwonić?

— Tak sobie, niespodziewanie, kiedy szukałam kartki z numerem jej telefonu.

— No dobrze, opowiadaj.

— Kiedy powiedziałam, że to ja, chyba się przestraszyła. Zapytała, czy coś się stało, a ja zaraz poczułam się zakłopotana. Zastanawiałam się, czy wie o śmierci kochanka, ale ona nie wymieniała przecież nigdy jego imienia. Uspokoiliam ją, mówiąc, że nic się nie stało, że chciałam się tylko dowiedzieć, co u niej słyhać. Odparła wtedy, że szybko nie wróci, potem zaczęła płakać.

— Wyjaśniła ci, dlaczego nieprędko się tu pojawi?

— Tak. Opowiem ci po kolei to, co usłyszałam od niej kawałkami, w nieładzie. Pewnego wieczoru Vanja, przekonana, że męża nie ma w mieście i że nie wróci przez kilka dni, zaprasza kochanka, jak wiele razy przedtem, do willi w pobliżu Santoli. W nocy obudził ich ktoś, kto wszedł do sypialni. To był doktor Ingrñ. „Więc to prawda” — szepnął. Vanja mówi, że mąż i chłopak długo na siebie patrzyli. Potem doktor powiedział: „Chodź ze mną”, i przeszedł do salonu. Chłopak ubrał się bez słowa i podążył za nim. Największe wrażenie na mojej przyjaciółce zrobiło to, że... no więc wydało się jej, że oni obaj już się znają, i to dobrze.

— Poczekaj chwilę. Wiesz, jak doszło do pierwszego spotkania między Vanją a Nenč Sanfilippem?

— Tak, powiedziała mi o tym jeszcze przed wyjazdem, kiedy ją spytałam, czy jest zakochana. Poznali się przypadkiem w jakimś barze w Montelusie.

— Sanfilippo wiedział, czyją żoną jest twoja przyjaciółka?

— Tak, Vanja mu powiedziała.

— Mów dalej.

— Potem mąż i Nenč... w tym punkcie swojego opowiadania Vanja powiedziała: „Nazywa się Nenč”... wrócili do sypialni i...

— „Nazywa się”, tak właśnie powiedziała? Użyła czasu teraźniejszego?

— Tak, mnie to też uderzyło. Nie wie jeszcze, że jej kochanka zamordowano. A więc, jak powiedziałam, wrócili obaj do sypialni i Nenč ze spuszczonej oczyma wyszeptał, że ich związek był poważnym błędem, że wina jest po jego stronie i że już nigdy się nie zobaczą. I poszedł sobie. Wkrótce potem odszedł bez słowa także Ingrň. Vanja nie wiedziała, co począć, była jakby rozczarowana zachowaniem Sanfilippa. Postanowiła zostać w willi. Następnego dnia rano doktor wrócił. Kazał Vanji natychmiast wracać do Montelusy i pakować się. Powiedział, że kupił już dla niej bilet do Bukaresztu; o świcie zostanie odwieziona na lotnisko w Katanii. Wieczorem Vanja była sama w domu i próbowała dodzwonić się do Sanfilippa, ale bez skutku. Nazajutrz wyjechała; przyjaciółkom uzasadniła swoją podróż rzekomą chorobą ojca. Przez telefon powiedziała mi jeszcze, że tamtego dnia, kiedy mąż wrócił do willi i kazał jej natychmiast wyjeżdżać, wyglądał nie na rozzłoszczonego, obrażonego czy rozgoryczonego, ale na zaniepokojonego. Wczoraj zadzwonił do niej, radząc, żeby trzymała się z dala od Sycylii możliwie jak najdłużej. Nie chciał podać przyczyny. No i to wszystko.

— A ty dlaczego czujesz się zdezorientowana?

— Jak to? Uważasz, że to normalne zachowanie męża, który nakrywa żonę w łóżku z innym we własnym domu?

— Przecież sama mi mówiłaś, że już się nie kochali.

— Normalne wydaje ci się też zachowanie chłopaka? Odkąd to wy, Sycylijczycy, staliście się bardziej szwedzcy od Szwedów?

— Widzisz, Ingrid, Vanja ma prawdopodobnie rację, mówiąc, że Ingrň i

Sanfilippo się znali... Chłopak uchodził za specja od komputerów, a w klinice doktora musi być ich dużo. Kiedy Nenč zaczyna romansować z Vanją, nie dowiaduje się od razu, kto jest jej mężem. Gdy zaś ona mu to mówi, są już zbyt w sobie zakochani. Wszystko jasne jak słońce!

— Tak sądzisz... — powiedziała z wahaniem Ingrid.

— Posłuchaj. Chłopak mówi, że popełnił poważny błąd, i ma rację, bo z pewnością stracił pracę. Doktor oddała żonę, bo obawia się plotek, konsekwencji... Gdyby tak na przykład tych dwoje chciało zrobić jakies głupstwo, uciec razem... Lepiej nie stwarzać im sposobności.

Ze spojrzenia Ingrid komisarz wyczytał, że te wyjaśnienia wcale jej nie przekonały. Ponieważ jednak była taka, jaka była, nie stawiała mu więcej pytań.

Po odjeździe Ingrid siedział nadal na werandzie. Z portu wypływały kutry na nocny połów. Nie chciało mu się o niczym myśleć. Potem usłyszał melodyjny, bardzo bliski dźwięk. Ktoś pogwizdywał. Kto? Rozejrzał się wokoło, nie było nikogo. Ależ to on sam! To on gwizdał! Zaledwie to sobie uświadomił, a już musiał przestać, dłużej nie potrafił. Zdarzały się więc chwile jakby rozdwojenia jaźni, w których on także potrafił gwizdać. Zachciało mu się śmiać.

— Doktor Jekyll i mister Hyde — szepnął. — Doktor Jekyll i mister Hyde. Doktor Jekyll i mister Hyde.

Za trzecim razem już się nie uśmiechał. Wręcz przeciwnie, zrobił się bardzo poważny. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Napełnił szklanekę czystą whisky.

— Panie komisarzu, ach, panie komisarzu, panie komisarzu! — wołał, biegnąc za nim, Catarella. — Od wczoraj mam pana osobie wręczyć

osobiście list. Dał mi go adwokat Guttadauro i powiedział, żeby go panu dać osobiście we własnej osobie.

Wyjął list z kieszeni.

Montalbano otworzył kopertę.

„Szanowny Panie Komisarzu — przeczytał — znany Panu mój klient i przyjaciel wyraził zamiar napisania do Pana listu, aby dać w nim wyraz coraz większemu podziwowi, jaki żywi względem Pana. Zmienił następnie zdanie i poprosił mnie, abym Pana zawiadomił, że do Pana zatelefonuje. Pozostaję z najgłębszym poważaniem, szczerze Panu oddany Guttadauro”.

Podarł list na drobne kawałki i wszedł do gabinetu Augella. Mimě siedział za biurkiem.

— Piszę raport — powiedział.

— Pluń na to — usłyszał od komisarza.

— Co się dzieje? — spytał zaniepokojony Augello. — Masz bardzo dziwną minę.

— Przyniosłeś mi powieść?

— Powieść Sanfilippa? Tak.

Wskazał dużą kopertę na biurku. Montalbano wziął ją i wsadził sobie pod pachę.

— Co ci jest? — nalegał Augello.

Montalbano nie odpowiedział.

— Wracam do Marinelli. Nie dzwońcie do mnie. Będę znów w komisariacie koło północy. Macie wszyscy tu być.

Zaledwie wyszedł na ulicę, cała ta wielka ochota, aby pędzić do Marinelli, zaniknąć się tam i zacząć czytać, nagle go opuściła, podobnie jak dzieje się niekiedy z wiatrem, który przewraca drzewa, a w chwilę później znika, jakby nigdy go nie było. Przekręcił kluczyk w stacyjce i skierował się w stronę portu. Tam wysiadł, zabierając ze sobą kopertę. Prawda była taka, że brakowało mu odwagi; obawiał się, iż w słowach Sanfilippa znajdzie potwierdzenie myśli, która zrodziła się w jego głowie po odejściu Ingrid. Powlókł się noga za nogą aż pod latarnię morską, usiadł na płaskim głazie. Czuć było wyraźnie cierpki zapach zielonego meszku, który porasta obmywane wodą dolne partie skał. Spojrzał na zegarek. Przez godzinę będzie jeszcze jasno; gdyby chciał, mógłby zacząć czytać teraz, tutaj. Nie czuł się jednak na siłach, nie miał jeszcze dość odwagi. A jeśli w ostatecznym rozrachunku tekst Sanfilippa okaże się zlepkim bredni, wytworem niewydarzonej wyobraźni amatora, który chce napisać powieść tylko dlatego, że w szkole podstawowej nauczono go stawiać kreski, żeby ćwiczył sobie rękę? Teraz już zresztą tego nie uczą. Oto kolejny dowód — jeśli komu był potrzebny — że on sam ma już swoje lata, bo jego przecież jeszcze uczono. Kiedy tak trzymał w ręku te strony, ciągle się wahając, zaczął jednak odczuwać rodzaj swędzenia. Chyba już lepiej jechać do Marinelli i zasiąść do czytania na werandzie. Tam też będzie oddychał morskim powietrzem.

Zrozumiał od razu, że Nenč Sanfilippo, aby ukryć to, co w rzeczywistości chciał powiedzieć, chwycił się tego samego sposobu, którego użył już przedtem, filmując Vanję nagą. Wtedy pierwsze dwadzieścia minut taśmy pochodziło z filmu *Ucieczka gangstera*, teraz pierwsze strony tekstu zostały

przepisane ze sławnej powieści Asimova *Ja, robot*.

Lektura całego tekstu zabrała komisarzowi dwie godziny. W miarę jak zbliżał się do końca i coraz jaśniej pojmował treść opowieści Sanfilippa, jego ręka coraz częściej sięgała po butelkę whisky.

Tekst był niedokończony, urywał się w pół zdania, ale to, co Montalbano przeczytał, wystarczało mu z nadmiarem. Gwałtowny przypływ mdłości z żołądka chwycił go za gardło. Ledwie zdążył dobiec do łazienki. Uklęknął przed miską klozetową i zaczął wymiotować. Zwymiotował dopiero co wypitą whisky, zwymiotował to, co zjadł tego dnia i dnia poprzedniego, i jeszcze dawniej. Spoconą głowę wsadził już całą do miski, czuł bóle w bokach i wydawało mu się, że będzie musiał tak wymiotować bez końca to wszystko, co kiedykolwiek w życiu zjadł, cofając się aż do papki, którą karmiono go w dzieciństwie; a nawet gdy wycieknie już z niego wyssane z matczynej piersi mleko, będzie wymiotował dalej gorzką trucizną, żółcią, czystą nienawiścią.

Zdołał wstać, przytrzymując się umywalki, lecz chwiał się na nogach. Miał z pewnością trochę gorączki. Odkręcił kran i wsadził głowę pod strumień wody.

— Za stary już jestem na policjanta.

Wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy.

Leżał krótko. Wstał, szumiało mu w głowie, ale ślepa wściekłość, która go dopadła, zamieniała się teraz w trzeźwą determinację. Zadzwoił do biura.

— Halo, halo? Tu byłby komisariat...

— Catarella, mówi Montalbano. Połącz mnie z komisarzem Augello, jeśli jest.

Był.

— Słucham cię, Salvo.

— Mimě, posłuchaj mnie uważnie. Ty i Fazio weźcie zaraz samochód, ale pamiętaj, nie służbowy, i jedźcie w okolice Santoli. Chcę wiedzieć, czy willa doktora jest strzeżona.

— Przez kogo?

— Mimě, żadnych pytań. Jeśli jest strzeżona, to na pewno nie przez nas. Musicie się też przekonać, czy doktor jest sam, czy w towarzystwie. Nie spieszcie się, macie być pewni tego, co zobaczycie. Zarządziłem ogólną zbiórkę o północy — teraz ją odwołuję, nie będzie już potrzebna. Kiedy skończycie pod Santoli, zwolnij Fazia i przyjedź tu, do Marinelli, żeby mi opowiedzieć, jak sprawy stoją.

Odłożył słuchawkę i usłyszał dzwonek telefonu. To była Livia.

— Jak to się dzieje, że jesteś w domu o tej porze? — zapytała.

Była zadowolona. Lub raczej nie tyle zadowolona, ile przyjemnie zaskoczona.

— Skoro wiesz, że o tej porze nigdy nie ma mnie w domu, to dlaczego zadzwoniłaś?

Odpowiedział pytaniem na pytanie. Musiał jednak zyskać na czasie, bo inaczej Livia, która przecież tak dobrze go zna, spostrzegłaby od razu, że jest z nim coś nie w porządku.

— Wiesz, Salvo, już prawie od godziny jakoś się dziwnie czuję. Nigdy mi się to przedtem nie zdarzało albo przynajmniej nigdy z taką siłą. Trudno to wytłumaczyć.

Teraz Livia usiłowała zyskać na czasie.

— Spróbuj.

— No więc czuję się tak, jakbym była u ciebie...

— Wybacz, ale...

— Masz rację. Kiedy więc weszłam do mieszkania, nie zobaczyłam mojej jadalni, tylko twoją, w Marinelli. To znaczy nie, nie tak... to był z pewnością mój pokój, lecz jednocześnie także twój.

— Zdarza się we śnie.

— Tak, coś w tym rodzaju. Od tej chwili przeżywam jakby rozdwojenie jaźni. Jestem tu, w Boccadasse, i jednocześnie jestem z tobą w Marinelli. To... to wspaniałe uczucie. Zadzwoiłam, bo byłam pewna, że cię zastanę.

Aby nie poddać się wzruszeniu, Montalbano spróbował obrócić sprawę w żart.

— To dlatego, że jesteś ciekawa.

— Ciekawa czego?

— Jak wygląda mój dom.

— Ale przecież ja... — zareagowała Livia.

I umilkła. Przypomniała sobie nagle grę, jaką jej zaproponował: zaręczyć się znowu, zacząć wszystko od początku.

— Chciałabym go zobaczyć.

— No to przyjeźdź.

Nie udało mu się opanować głosu, wyraził szczere życzenie. Livia zauważyła to.

— Co z tobą, Salvo?

— Nic, nic. Chwila przygnębienia. Zajmuję się wstrętnym przypadkiem.

— Naprawdę chcesz, żebym przyjechała?

— Tak.

— Jutro po południu wsiadam do samolotu. Kocham cię.

W oczekiwaniu na przybycie Augella musiał jakoś zabić czas. Na jedzenie

nie miał ochoty, chociaż wyzbył się wszystkiego, co mógł mieć w żołądku. Prawie mimo woli sięgnął ręką na półkę i wziął stamtąd jakąś książkę. Spojrzał na tytuł: *Tajny agent* Conrada. Przypominał sobie, że mu się podobała, nawet bardzo; ale nic więcej nie przychodziło mu na myśl. Zdarzało się często, że po przeczytaniu pierwszych linijek albo zakończenia powieści otwierała się w jego pamięci przegródka, z której wyłaniały się postaci, sytuacje, zdania. „Pan Verloc, wychodząc rano z domu, zostawił sklep teoretycznie pod opieką szwagra”.

Książka Conrada tak się zaczynała, lecz te słowa nic mu nie mówiły. „Szedł niepodejrzewany, a śmiertelnie niebezpieczny, jak zaraza na ulicy pełnej ludzi”. Tak się kończyła i te słowa mówiły mu wręcz zbyt wiele. Przypominał sobie wtedy pewne zdanie z powieści: „Żadnej litości dla niczego, nawet dla siebie samych, i śmierć wreszcie w służbie rodzaju ludzkiego...”¹ Odstawił szybko tom na miejsce. Nie, jego ręka nie działała w oderwaniu od myśli, pokierował nią bez wątpienia nieświadomie on sam, pokierowało nią to, co teraz przeżywał. Usiadł w fotelu i włączył telewizor. Już w pierwszej chwili zobaczył obraz więźniów obozu koncentracyjnego, nie z czasów Hitlera, lecz z dnia dzisiejszego. Trudno było się zorientować, z której części świata, bo przerażone twarze są wszystkie do siebie podobne. Wyłączył odbiornik. Wyszedł na werandę i patrzył na morze, starając się oddychać w rytmie przyboju.

Czy to dzwonek u drzwi, czy telefon? Spojrzał na zegarek. Było dopiero po jedenastej, zbyt wcześnie na Augella.

— Halo? Mówi Sinagra.

Nie sposób nie rozpoznać cichutkiego głosu Sinagry, tak słabego, że wydawało się, iż zaraz pęknie jak szarpnięta podmuchem wiatru pajęczyna.

— Panie Sinagra, jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, proszę dzwonić do

komisariatu.

— Chwileczkę. Co to, boi się pan? Mój telefon nie jest kontrolowany, chyba że pod kontrolą jest pański.

— O co chodzi?

— Chciałem panu powiedzieć, że bardzo, ale to bardzo źle się czuję.

— Bo nie ma pan wiadomości od ukochanego wnuczka Japichinu?

Cios wymierzony był dokładnie w same jaja. Balduccio Sinagra zamilkł na chwilę, musiał przyjść do siebie i odzyskać oddech.

— Jestem pewien, że mój wnuczek, gdziekolwiek teraz jest, czuje się lepiej niż ja. Mnie nerki odmawiają już posłuszeństwa, potrzebuję przeszczepu, inaczej umrę.

Montalbano nic nie powiedział. Pozwolił jastrzębiowi zakreślać coraz to węższe kręgi.

— Wie pan — ciągnął starzec — ilu jest nas, chorych, wymagających takiej operacji? Ponad dziesięć tysięcy, panie komisarzu. Czekając na swoją kolej, można na pewno umrzeć.

Jastrząb skończył zataczać kręgi, teraz rzuci się lotem nurkowym do celu.

— No i trzeba mieć pewność, że ten, kto operuje, jest godny zaufania, zna swój zawód...

— Jak profesor Ingrň?

Dotarł do celu pierwszy, wyprzedzając jastrzębia, który zbyt długo zwlekał. Udało mu się rozbroić bombę, którą Sinagra trzymał w ręku. Nie będzie mógł się chwalić, że po raz drugi wymanewrował komisarza Montalbano, że poruszał nim jak lalką w teatrzyku kukielkowym. Reakcja starca była szczerą.

— Wyrazy uznania, panie komisarzu, gorąco gratuluję. I mówił dalej:

— Profesor Ingrñ jest z pewnością właściwą osobą. Słyszę jednak, że musiał zamknąć szpital, który ma tu, w Montelusie. Zdaje się, że on także, biedak, ma kłopoty ze zdrowiem.

— Co mówią lekarze? To coś poważnego?

— Jeszcze nie wiedzą, chcą być pewni, zanim ustalą kurację. Tak, zacny panie komisarzu, jesteśmy wszyscy w ręku Boga.

I zakończył rozmowę.

Wreszcie dzwonek u drzwi. Montalbano parzył właśnie kawę.

— Willi nikt nie pilnuje — powiedział Mimě, wchodząc. — I jeszcze pół godziny temu, bo tyle czasu jechałem, doktor był sam.

— Ale teraz może już ktoś tam się zjawił.

— Jeżeli tak, Fazio zadzwoni do mnie z komórki. Tymczasem powiedz mi, dlaczego nagle zająłeś się profesorem Ingrñ.

— Bo jeszcze żyje. Nie zdecydowali, czy pozwolić mu dalej pracować, czy go załatwić jak starych Griffo i Sanfilippa.

— Więc profesor jest w to wmieszany?

— I jak jeszcze!

— Kto ci powiedział?

Drzewo, saraceńskie drzewo oliwne — powinna brzmieć prawidłowa odpowiedź, ale wtedy Mimě wzięłyby go za wariata.

— Ingrid zatelefonowała do Vanji, która bardzo się boi, bo pewnych rzeczy nie rozumie. Na przykład tego, że Nenč znał doskonale profesora, ale nigdy jej o tym nie powiedział. Że mąż, zaskoczywszy ją w łóżku z kochankiem, nie rozzłościł się ani nie zmartwił. Zaniepokoił się tylko, i to bardzo. Moje podejrzenia potwierdził dziś wieczorem Balduccio Sinagra.

— Boże! — zawołał Mimě. — A co ma do tego Sinagra? Dlaczego miałby

go wydać?

— Nie wydał go. Powiedział, że potrzebuje przeszczepu nerek, i przyznał mi rację, kiedy wymieniłem nazwisko profesora Ingrň. Dodał, że profesor ma kłopoty ze zdrowiem. Już ty mi o tym wspominałeś, pamiętasz? Tyle że ty i Balduccio inaczej pojmujecie słowo „zdrowie”.

Kawa była już zaparzona. Wypili ją.

— Widzisz — ciągnął komisarz — Nenč Sanfilippo jasno całą tę historię opisał.

— Gdzie?

— W powieści. Zaczyna ją stronami przepisanyymi ze słynnej książki, potem opowiada swoją historię, następnie przepisuje znowu kawałek tej książki, i tak dalej. To historia o robotach.

— Fantastyka naukowa, dlatego wydało mi się...

— Wpadłeś w pułapkę, którą Sanfilippo obmyślił. Jego roboty narratorzy — nazwał je Alfą 715 i Omegą 37 — są wykonane z metalu i obwodów elektrycznych, ale rozumują jak my, mają te same uczucia co my. Świat robotów Sanfilippa jest dokładną kopią naszego świata.

— I o czym mówi ta powieść?

— To historia młodego robota, Deltę 32, który zakochuje się w robocie płci żeńskiej, Gamie 1024, żonie Bety 5, sławnego na całym świecie, bo potrafi zastąpić popsute części robotów innymi, całkiem nowymi. Robot chirurg, tak go nazwijmy, jest człowiekiem... przepraszam, robotem... potrzebującym nieustannie pieniędzy, bo ma manię kolekcjonowania bardzo drogich obrazów. Popada w długi, których nie jest w stanie spłacić. Wtedy pewien robot przestępca, stojący na czele bandy, składa mu następującą propozycję. Dostanie pieniędzy, ile tylko zechce, pod warunkiem że będzie potajemnie robił przeszczepy klientom, których oni mu dostarczą, ważnym

osobistościom z całego świata, bogatym i potężnym, nie mającym czasu ani ochoty czekać w kolejce. Robot profesor pyta wtedy, w jaki sposób zapewni się mu części wymienne zgodnie z zapotrzebowaniem i we właściwym czasie. Wyjaśniają, że to nie problem, że oni są w stanie zawsze dostarczyć potrzebną część zamienną. Ale jak? Złomując odpowiadającego wymogom robota i demontując z niego właściwą część. Złomowanego robota wrzuca się do morza albo grzebie pod ziemią. Możemy zadowolić każdego klienta, mówi herszt imieniem Omikron 1. Wszędzie na świecie — tłumaczy — nie brak więźniów, siedzą w więzieniach, w specjalnych obozach. W każdym z tych obozów mamy swojego robota, a w pobliżu — lądowisko. My tutaj — ciągnie Omikron 1 — jesteśmy tylko małą częścią ogromnej, globalnej organizacji. No i Beta 5 godzi się. Swoje żądania będzie komunikował Omikronowi 1, który przekaże je z kolei Delcie 32, a ten, posługując się niezwykle udoskonalonym systemem internetowym, będzie je przysyłał dalej organom, nazwijmy je tak, wykonawczym. W tym miejscu powieść się urywa. Nenč Sanfilippo nie zdążył napisać zakończenia. Napisał je dla niego Omikron 1.

Augello długo się zastanawiał, widocznie nie uświadamiając sobie jeszcze w pełni całej wymowy tego, co usłyszał od Montalbana. Wreszcie zrozumiał. Zbladł i zapytał cicho:

- Oczywiście wchodziły w rachubę także roboty dzieci.
- Oczywiście.
- Jaki jest twoim zdaniem ciąg dalszy tej historii?
- Musisz wziąć pod uwagę, że na ludziach, którzy to wszystko zorganizowali, ciąży straszliwa odpowiedzialność.
- Naturalnie, śmierć...
- Nie tylko śmierć, Mimě. Także życie.

— Życie?

— Z pewnością, życie tych, którzy zostali zoperowani. Zapłacili przerażającą cenę, nie mam tu na myśli pieniędzy; zapłacili życiem innej ludzkiej istoty. Gdyby sprawa wyszła na jaw, byłiby skończeni niezależnie od tego, kim są: szefami rządów, imperiów gospodarczych, kolosów bankowych. Byliby skompromitowani na zawsze. Dlatego moim zdaniem było tak. Pewnego dnia ktoś odkrywa romans Sanfilippa z żoną profesora. Vanja stanowi od tej chwili zagrożenie dla całej organizacji jako potencjalne ogniwo między chirurgiem a tą organizacją; taki związek jest absolutnie niedopuszczalny. Co robić? Zabić Vanję? Profesor znalazłby się w centrum dochodzenia, pisałyby o nim w kronice zabójstw wszystkie gazety... Lepiej zlikwidować centralę w Vigacie. Najpierw donoszą profesorowi o zdradzie żony; z jej zachowania będzie musiał wywnioskować, czy ona coś wie. Vanja nie wie nic i pozwalają jej wyjechać. Organizacja zaciera teraz wszelkie ślady, które mogłyby do niej zaprowadzić: rozprawia się z małżonkami Griffo, z Sanfilippem...

— Dlaczego nie zamordowali również profesora?

— Bo może jeszcze im się przydać. Jego nazwisko — jak mówi się w języku reklamy — stanowi gwarancję dla klientów. Tamci czekają teraz, jak rozwinie się sytuacja.

Jeśli w dobrym kierunku, pozwolą mu pracować dalej; jeśli w złym, zabiją go.

— A ty co chcesz teraz zrobić?

— A co mogę zrobić? W tej chwili nic. Jedź do domu, Mimě, dziękuję ci. Fazio jest jeszcze pod Santoli?

— Tak, czeka na mój telefon.

— Zadzwoń do niego i powiedz, żeby szedł spać. Jutro rano zdecydujemy,

czy obserwować dalej.

Augello zatelefonował do Fazia.

— Jedzie do domu — oznajmił, gdy skończył rozmowę. — Tam nic nowego. Profesor jest sam, ogląda telewizję.

O trzeciej w nocy włożył ciepłą marynarkę, bo na dworze było chłodno, wsiadł do samochodu i pojechał. Od Augella dowiedział się, udając zwykłą ciekawość, gdzie dokładnie leży willa doktora Ingrň. W drodze zastanowił się nad reakcją swojego zastępcy na to, co mu opowiedział o sprawie przeszczepów. On sam zareagował tak, jak zareagował, o mało nie wyzionął ducha, natomiast Mimě pobladł, lecz właściwie nie wydawał się wstrząśnięty. Panowanie nad sobą? Brak wrażliwości? Nie, przyczyna była bez wątpienia prostsza: różnica wieku. On miał lat pięćdziesiąt, a Mimě — trzydzieści. Augello był już gotów na dwudzieste pierwsze stulecie, on sam nie będzie nigdy. Nic ponadto. Mimě wiedział, że w sposób naturalny wkracza w epokę bezlitosnych zbrodni, popełnianych przez anonimowych osobników z własną stroną, z adresem w Internecie, czy jak to się tam nazywa, ale bez twarzy, bez pary oczu, bez wyrazu. Nie, on był już stanowczo za stary.

Zatrzymał samochód jakieś dwadzieścia metrów przed willą i zgasił światła. Popatrzył uważnie przez lornetkę. Z okien nie przebijała ani odrobina światła, profesor doktor Ingrň najwidoczniej położył się spać.

Wysiadł z wozu, podszedł ostrożnie do bramy w ogrodzeniu. Odczekał nieruchomo jeszcze z dziesięć minut. Nikt się nie pojawił, nikt nie spytał, czego tu szuka. W świetle kieszonkowej latarki przyjrzał się zamkowi w bramie. Nie było urządzenia alarmowego. Czy to możliwe? Potem pomyślał, że profesor Ingrň nie potrzebuje urządzeń alarmowych. Tylko szalenciec mógł wpaść na pomysł okradzenia willi człowieka, który miał takich przyjaciół. Otwarcie zamka zajęło jedną chwilę. Ruszył szeroką aleją wysadzaną

drzewami; ogród musiał być wzorowo utrzymany. Psów nie było, bo już rzuciłyby się na niego. Otworzył z łatwością wytrychem także drzwi wejściowe do willi. Obszerny westybul, skąd wchodziło się do pełnego luster salonu i do innych pokoi. Sypialnie były na piętrze. Wszedł na zbytkowne schody, pokryte grubą, miękką wykładziną dywanową. W pierwszej sypialni nie było nikogo. Z przyległego pokoju dochodził za to ciężki oddech. Montalbano lewą ręką zaczął szukać kontaktu, w prawej trzymał pistolet. Nie zdążył — na jednej z szafek nocnych zapaliła się lampa.

Profesor doktor Ingrñ leżał na łóżku w ubraniu, nie zdjął nawet butów. Nie wydawał się przy tym bynajmniej zdziwiony widokiem nieznanego i na dodatek uzbrojonego mężczyzny w swojej sypialni. Bez wątpienia na kogoś takiego czekał. W pokoju załatywało stęchlizną i potem, powietrze było nieświeże. Profesor Ingrñ nie przypominał już człowieka, którego komisarz oglądał dwa lub trzy razy w telewizji. Nieogolony, z zaczerwienionymi oczyma, potargany.

— Postanowiliście mnie zabić? — spytał cicho.

Montalbano milczał. Stał jeszcze nieruchomo w drzwiach, rękę z pistoletem opuścił, lecz broń była dobrze widoczna.

— Popełniacie błąd — powiedział Ingrñ. Wyciągnął dłoń w stronę szafki nocnej — Montalbano widział ją już w filmie z Vanją nagą, *Vanja desnuda* — ujął stojącą tam szklankę i pociągnął długi łyk, rozlewając na siebie trochę wody, bo trzęsła mu się ręka. Odstawił szklankę i odezwał się znowu.

— Jeszcze mogę się wam przydać.

Siedział teraz na łóżku, nogi spuścił na podłogę.

— Gdzie znajdziecie specjalistę lepszego ode mnie? „Lpszego może nie, ale uczciwszego na pewno tak” — pomyślał komisarz, lecz nic nie powiedział. Niech się dalej dusi we własnym sosie. Choć może lepiej trochę

go postraszyć. Profesor wstał z łóżka, wyprostował się; Montalbano podniósł powoli pistolet i wycelował mu w głowę.

Wtedy stało się. Jakby przecięto nagle niewidzialny, utrzymujący go w pozycji pionowej sznur, mężczyzna upadł na kolana. Złożył ręce jak do modlitwy.

— Litości! Litości!

Litości? Czy on okazywał litość ludziom, których kazał rznąć na kawałki, tak, dosłownie rznąć?

Profesor płakał. Od łez i śliny połyskiwał mu zarost na brodzie. I to miała być postać z Conrada, którą sobie wyobraził?

— Zapłacę ci, jeśli pozwolisz mi uciec — wyszeptał. Włożył rękę do kieszeni, wyjął pęk kluczy i podał je komisarzowi, który jednak nadal trwał w bezruchu.

— To są klucze... od wszystkich moich obrazów... weź je sobie... będziesz bogaty.

Montalbano nie mógł się już dłużej powstrzymać. Zrobił dwa kroki do przodu, podniósł nogę i kopnął profesora prosto w twarz. Ten upadł na wznak, udało mu się krzyknąć:

— Nie! Nie! Tak nie!

Obejmował twarz dłońmi, pomiędzy palcami ciekła krew z rozbitego nosa. Montalbano znowu uniósł nogę.

— Dosyć tego — rozległ się głos zza jego pleców. Montalbano obejrzał się szybko. W drzwiach stali Augello i Fazio, obaj z pistoletami w ręku. Popatrzyli sobie z komisarzem w oczy i zrozumieli się natychmiast. Zaczęło się przedstawienie.

— Policja — powiedział Mimě.

— Widzieliśmy cię, jak wchodziłeś, ty zbóju! — powiedział Fazio.

— Chciałeś go zamordować, prawda? — wyrecytował Mimě.

— Rzuć pistolet! — rozkazał Fazio.

— Nie! — krzyknął komisarz. Schwycił profesora za włosy, pociągnął go do tyłu, przytknął mu lufę pistoletu do skroni. — Odejdźcie albo go zabiję!

No tak, ta scena powtarzała się wielokrotnie w różnych amerykańskich filmach, ale w gruncie rzeczy mogli sobie pogratulować — zaimprovizowali ją bezbłędnie. W tym punkcie, jak przewidywałby to scenariusz, przyszła kolej na kwestię profesora.

— Nie odchódźcie! — odezwał się błagalnym głosem. — Powiem wam wszystko! Złożę zeznanie! Ratujcie mnie!

Fazio skoczył jednym susem i schwycił Montalbana, Augello podtrzymał profesora. Fazio i komisarz udali, że ze sobą walczą; z walki wyszedł zwycięsko ten pierwszy. Augello opanował sytuację.

— Załóż mu kajdanki — rozkazał.

Komisarz miał jednak wydać im jeszcze polecenia, musieli koniecznie odejść na bok i omówić wspólne postępowanie. Złapał za nadgarstek Fazia i wykorzystując jakby jego zaskoczenie, zdołał go rozbroić. Wystrzelił, ogłuszając wszystkich, i rzucił się do ucieczki. Augello odepchnął profesora, który płacząc, czepiał się jego ramion, i pobiegł za uciekającym. Montalbano był już na samym dole schodów, kiedy potknął się na ostatnim stopniu i upadł na brzuch. Przy upadku wystrzelił jego pistolet. Mimě pomógł mu wstać, krzycząc nadal: „Stój, bo strzelam!” Wyszli na dwór.

— Narobił pod siebie — powiedział Mimě. — Jest całkiem ugotowany.

— Doskonale — odrzekł Montalbano. — Zawieźcie go na kwesturę do Montelusy. Po drodze zatrzymajcie się, rozejrzyjcie wokoło, jakbyście się bali zasadzki. Kiedy stanie przed kwestorem, ma wszystko wyśpiewać.

— A ty?

— Ja uciekłem — powiedział komisarz i wystrzelił raz jeszcze w powietrze, aby dodać wagi swoim słowom.

W drodze powrotnej do Marinelli zmienił zdanie. Skręcił i skierował się do Montelusy. Wjechał w obwodnicę i zatrzymał się przed numerem 38 na ulicy De Gasperiego, gdzie mieszkał jego przyjaciel, dziennikarz Nicolò Zito. Zanim nacisnął guzik domofonu, spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta nad ranem. Musiał dzwonić trzy razy, i to długo, zanim usłyszał zaspany i poirytowany głos dziennikarza.

— To ja, Montalbano — odpowiedział. — Musimy porozmawiać.

— Poczekaj chwilę, lepiej, jeśli ja zejść, bo obudzisz cały dom.

Wkrótce potem Montalbano, siedząc na schodach, opowiadał całą historię. Zito przerywał mu od czasu do czasu.

— Zaczekaj. O mój Boże, o mój Boże! — mówił.

Opowieść komisarza pozbawiała go tchu, dusił się prawie.

— Co mam zrobić? — zapytał tylko, gdy Montalbano skończył.

— Już dziś rano nadasz nadzwyczajne wydanie wiadomości. Powiesz ogólnikowo, że profesor Ingrò oddał się w ręce sprawiedliwości, ponieważ — jak się wydaje — jest zamieszany w nielegalny handel narządami... Nadaj tej wiadomości rozgłos, niech dotrze do ogólnokrajowej prasy i telewizji.

— Czego się obawiasz?

— Że wyciszy się całą sprawę; Ingrò ma bardzo wpływowych przyjaciół. I wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę. W wydaniu o pierwszej powiedz także o czymś innym, również ogólnikowo: że ukrywający się przed wymiarem sprawiedliwości Jacopo Sinagra, zwany Japichinu, prawdopodobnie został zamordowany. Dodaj, że wiele wskazuje na to, iż należał do organizacji, która miała pod swoimi rozkazami profesora Ingrò.

— Czy to prawda?

— Myślę, że tak. Jestem też prawie pewien, że z tej właśnie przyczyny jego dziadek, Balduccio Sinagra, kazał go zamordować. Uważaj — nie dlatego, że miał skrupuły natury moralnej, ale dlatego, że po zawarciu sojuszu z nową mafią wnuk mógłby go załatwić, kiedy tylko by zechciał.

Była siódma rano, gdy wreszcie położył się do łóżka. Postanowił, że prześpi całe przedpołudnie; następnie pojedzie do Palermo po Livię, która miała przylecieć z Genui. Udało mu się przespać dwie godziny, potem zadzwonił telefon. To był Mimě; ale pierwszy zabrał głos komisarz.

— Dlaczego dziś w nocy pojechaliście za mną, chociaż...

— ...chociaż starałeś się nas wyrolować? — dokończył Augello. — Słuchaj, Salvo, jak mogłeś przypuszczać, że nie domyślimy się, co zamierzasz? Fazio dostał ode mnie rozkaz, żeby nie oddalał się od willi nawet wtedy, gdybym miał ten rozkaz odwołać. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później przyjedziesz. Kiedy wyszedłeś z domu, pojechałem za tobą. No i dobrze chyba zrobiłem, prawda?

Montalbano zainkasował cios i zmienił temat.

— Jak poszło w kwesturze?

— Salvo, ale burdel! Przybiegli galopem wszyscy — kwestor, prokurator naczelny... A profesor gadał i gadał... Nie można go było zatrzymać... Zobaczymy się później w biurze, opowiem ci wszystko dokładnie.

— Nie padło moje nazwisko, prawda?

— Nie, bądź spokojny. Wyjaśniliśmy, że przejeżdżając przypadkowo obok willi, spostrzegliśmy otwartą bramę i drzwi wejściowe, co obudziło nasze podejrzenia. Przestępcy udało się, niestety, zbiec. Do zobaczenia wkrótce.

— Dzisiaj nie przyjdę do komisariatu.

— Wiesz — powiedział Mimě z zakłopotaniem — jutro mnie tam nie

będzie.

— Dokądś się wybierasz?

— Do Tindari. Beba ma tam jechać, bo pracuje jak zwykle...

Nie można wykluczyć, że podczas podróży Augello kupi komplet naczyń kuchennych.

Do Tindari. Montalbano przypomniał sobie tajemniczy teatrzyk grecki i plażę w kształcie ręki z różnymi palcami... Gdyby Livia została przez kilka dni, może i oni wybraliby się do Tindari.

Od autora

Cała ta książka — imiona, nazwiska (zwłaszcza nazwiska), sytuacje — została przeze mnie wymyślona. Jeżeli zaszła jakaś zbieżność, to jedynie dlatego, że moja wyobraźnia ma swoje granice.

Książkę dedykuję Oraziowi Costa, mojemu mistrzowi i przyjacielowi.

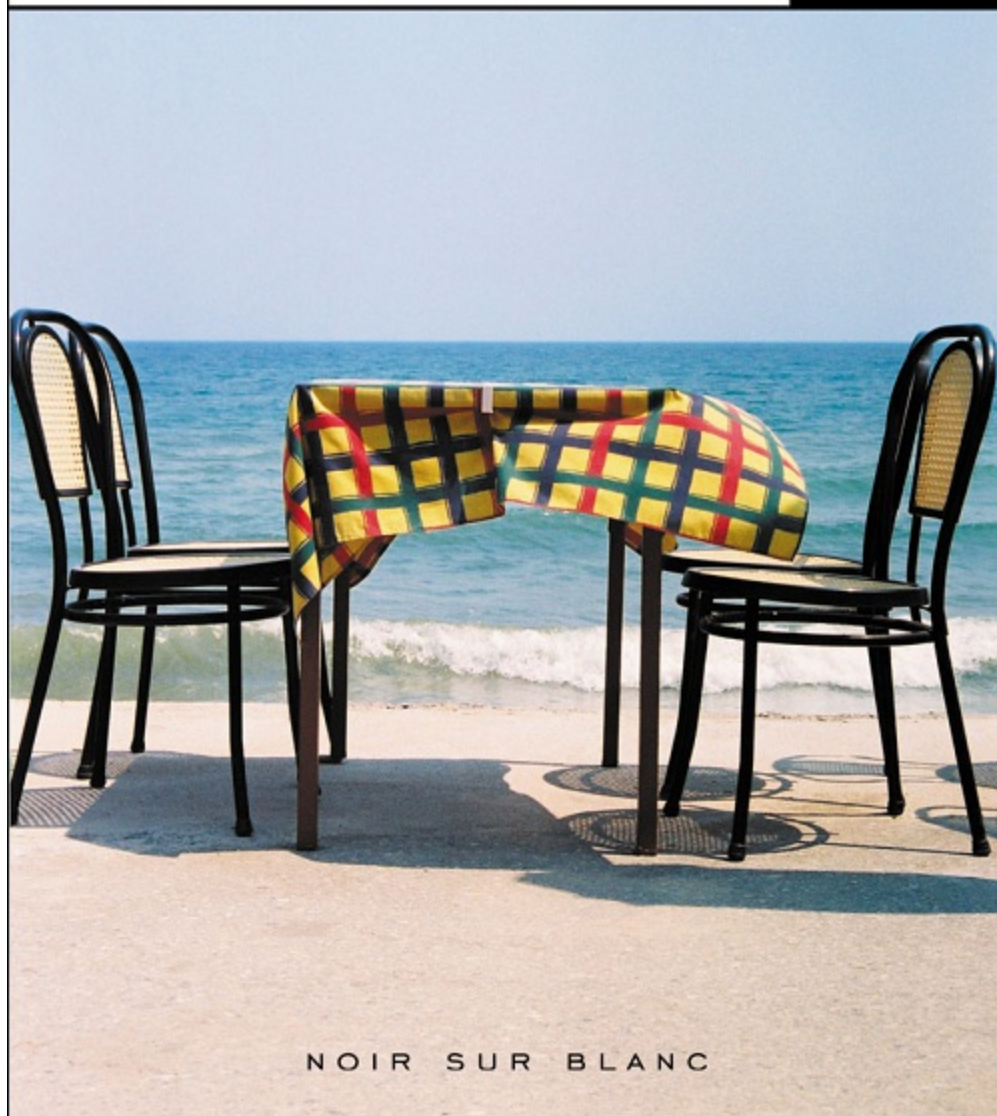


[1](#) Wszystkie cytaty z *Tajnego agenta Josepha Conrada* w przekładzie Agnieszki Glinczanki.

ANDREA Camilleri



Wycieczka do Tindari



NOIR SUR BLANC